

*Małkowska  
Jadwiga x Hausmanowa  
Fulcińska*  
—  
OTTONOWNA

PODLASKIE  
„HOSPODY POMYŁUJ“

1872—1905.

KRONIKA 33 LAT PRZEŚLADOWANIA UNII PRZEZ  
NAOCZNEGO ŚWIADKA

==  
KRAKÓW  
ODBITO W DRUKARNI „CZASU“  
1908.

108

[JADWIGA TWBIENISWA]  
OTTONÓWNA.

PODLASKIE  
„HOSPODY POMYŁUJ“  
1872 — 1905.

KRONIKA 33 LAT PRZEŚLADOWANIA UNII  
PRZEZ NAOCZNEGO ŚWIADKA



KRAKÓW  
ODBITO W DRUKARNI „CZASU“  
1908



Odbitka z „Przeglądu Polskiego“

NAKŁADEM AUTORKI.

## *Śórcce mojej*

*na pamiątkę wspólnej pracy na krwawem polu,  
na zachętę do dalszej pracy na innej... dotychczas mniej  
krwawej ale niemniej łzami zrosszonej niwie*

*wspomnienia te moje*

*poświęcam.*

*Pamiętaj! Glebę Ci wydrzeć mogą...  
Ducha... bez zezwolenia Twego... nigdy.  
Ziemia święta bywa... to prawda... ale  
Bóg i Ojczyzna przed wszystkim i nad  
wszystko, w sercu, w myśli i w woli  
człowieka się mieszczą.*

*Gdybyś kiedy o tem wątpić chciała...  
niech na wszelkie zwątpienie... odpowie  
Ci... Podlasie!...*

*A słowa matki „najlichszej sługi tych  
Świętych... powtarzaj dzieciom swoim.*

*Kraków, dnia 22 października 1908.*

## PRZEDMOWA.

---

Dlaczego teraz, a nie pierwej, wydaję to streszczone dzieło doświadczeń moich zebranych na miejscu i spostrzeżeń długoletnich?

Dlatego, że wówczas opublikowanie tej pracy mogło pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa dla walczących wyznawców i dla ich przyjaciół.

Dlaczego w ogóle je wydaję?

Dlatego, że dziś, przy pewnej zachowanej oględności, rzecz przestaje być groźną; dlatego, że ani w szczerą rządu rosyjskiego, ani w czystość jego intencyj nie wierząc, korzystam z chwili ulgi (ograniczonej), jaka wobec groźnych objawów ogólnego rozjątżenia wewnątrz a klęski zewnętrznej nastąpiła, aby opowiedzieć, czego świadkiem byłam naocznym przez ostatnich lat 33; dlatego, że udzkość prawo ma do prawdy, a męczennicy i wyznawcy do czci na ziemi, choć nagroda ich jest wyższą i nieskończoną; dlatego wreszcie, aby dokładna znajomość przeszłości ostrzeżeniem i ochroną się stała dla mglistej i niepewnej jeszcze przyszłości.

Skreśliłam obraz rzezi w Pratolinie, pod wrażeniem świeżem, z całą swobodą, jaką dają czas wolny i zdrowie.

Dziś dodałam w skróceniu resztę notatek moich, od r. 1872 do dnia obecnego.

Życie czynne mało pozostawia godzin wolnych do literackich upiększeń. Wzrok straciłam prawie zupełnie. Poprawiać, zaokrąglać, przepisywać — w tych warunkach — trudno.

Proszę o pobłażliwość dla stylu i formy. Nie chodzi tu o autora, ani o estetyczny dział jego opracowania. Treść zaś niechaj za siebie do sere czytelników przemawia.

Pisałam powyższe słowa w jesieni 1905 r., a jednak wahałam się jeszcze, jeszcze odkładałam wydanie tych notatek.

Dwa lata minęły i nowy powód opublikowania ich przyłączył się do poprzednich.

Bolesny rozdźwięk między dwoma cierpiącymi bratnimi szczepami słowiańskimi w Galicyi spotęgował się do zgrzytu, do szczęku broni.

Dla nas Polaków i Rusinów Podlaskich, to tak dziwne, tak niezrozumiałe!...

Wśród tylu głosów, obustronnie tu podnoszących się dla wyliczania gorliwie krzywd, win i błędów (prawdziwych, pozornych, urojonych lub wmawianych), zaostrozając i rozogniając waśń wyrodną... niechże jeden głos przemówi... inaczej, inaczej!

Wszak wszyscy ludzie dobrej wiary i dobrej woli musimy być zgodni w jednym ogólnem przekonaniu: świętą nad wszystko jest Prawda Boża czyli wiara, mistrzyni ducha i życia ludzkiego, podająca jedyne przyczyny rdzenne godności człowieka i wartości jego życia.

Świętszą niż jednostka jest rodzina, świętszym niż rodzina naród, świętszą niż narodowość ludzkość.

Lecz ludzkość winna szanować narodowości, narody winny opieką otaczać rodziny, rodzina winna starać się dla swych członków bez wyjątku o pełny rozwój, do jakiego jest zdolna każda pojedyncza indywidualność.

Gdyby na prawdę ziemia była zbyt szczupłą i zbyt ubogą, aby łączna praca inteligencji serca i sił wszystkich jednostek mogła starczyć dla wydobycia z niej chleba, a w następstwach poszanowania i szczęścia dla każdego z jej dzieci, gdyby istotnie — jak twierdzą niektórzy materyaliści — ostat-

niem słowem przyszłości miała być dzika, niesprawiedliwa, bezwzględna, nienawistna walka o byt, gdyby chwałą a nawet powinnością samozachowawczą państw i narodów miało być samolubne i okrutne upokarzanie państw ościennych i zgnębienie narodów słabszych na wspólnej glebie zamieszkałych, taka ludzkość, złożona z takich ras i osobistości, nie zasługiwałaby na życie.

Narodów-chwastów do wyplenienia nie ma!

Każdy gatunek, posiadający duszę, ma prawo przyrodzone i nadprzyrodzone do miłości i do troskliwości ogółu.

Gdyby człowiek każdy — w myśl Ewangelii — nauczył się myśleć o drugim jak o samym sobie, zasługiwać na moralny kredyt, i otwierać kredyt moralny bliźniemu, gdyby stał oręża obrócił na lemiesz, wyższość zaś uprzywilejowanych umysłów bez lichwy kierowała wspólną pracą przeciętnego społeczeństwa, wtedy łono matki ziemi stałoby się płodniejszym w ziarno, a duch i życie ludzkie w dobro!

Państwa zaborcze i ludzie twardego serca, wrogami są ludzkości.

Ale grzechu grzechem, ani gwałtu gwałtem nie wypełnisz!... Ziarna miłości i opamiętania na przyszłość krwawym przewrotem nie zasiejesz.

Wściekłość zbuntowanych straszniejszych tyranów samej sobie narzuea, niżli ci, których wytępiła.

Jedynie łagodną a wytrwałą stanowczością może sprzymierzona łączność uciemiężonych wyleczyć winowajców z choroby wielkości i przemoey, z puchliny pychy i bezprawia.

Wilki, robactwo i kiankę gubić wolno, ale ani samowiedzy, ani sumienia, ani poszczególnych a nieszkodliwych właściwości rasowych lub indywidualnych żadnego jestestwa słabego czy silnego obdarzonego duchem. Kto sądząc po sobie zaprzecza istnieniu duszy, sam na siebie wyrok wydaje — pierwszy jako szkodnik ginąć powinien, gdyż odejmuje wszelką wartość życiu, ogałając je z możności wierzenia w jakikolwiek ideał.

Opatrzność w historii stale się przejawia.

Zbrodnia nadużycia potęgi bywa niechybnie karana, ale dzikie pogańskie narzędzia pomsty łamią się i kruszą nawzajem w chwili bezwiednego spełnienia posłannictwa swego.

Uchowaj nas Boże od kuszenia się na takie przeznaczenie!

Szowinizm nie jest patriotyzmem. Samochwalstwo i taniec ran własnych nie jest ich uzdrowieniem. Jedynym zdrowym patriotyzmem jest żądać dla siebie tylko tego, co chętni jesteśmy przyznać i udzielić drugim. Zasada wyłącznego prawa siły brutalnej do bytu — na rzekomej podstawie istoty tej przewagi — jest rdzennie fałszywą, gdyż umysł jest siłą wyższą, niż siła muszkularna, a dowodem tego przewaga człowieka nad wszelkiem najsilniejszym zwierzęciem; ale umysł, zbydłcony samolubstwem i pychą, jest siłą ujemną i poślednią, organicznie ograniczoną, wobec umysłu, rządzonego poczuciem prawa, a natchnionego bezgranicznymi potrzebami wierzącej duszy. Ten spodziewać się może łaski i cudu w porządku harmonii Bożej, jak płuca leczą mogą na powietrze, a wnętrzności na pokarm dla nich stworzony.

Kłamcą i szkodnikiem jest ten, kto mu chce tego zaprzeczyć, a krótkotrwałem zwycięstwem jego, gdyż: „Wiara góry przenosi“, a Bóg czuwa!

.....

Polką jestem, a kocham Rusinów. Znałam ich na Podlasiu w ciągu długiego życia: Ruś, krasawicę łagodną, wdzięczną i enotliwą, Ruś, rzewnie rozśpiewaną, rozmarzoną, zamodloną, cichą i skromną, Ruś, bohaterską i męczeńską, wytrwałą i cierpliwą, Ruś, pełną godności, szczodrobliwą i ofiarną, oddającą bez zastrzeżeń mienie, łzy i krew w zamian za wyższe dobra. Innej... ja nie znam. Zbyt ściśle się z nią żyłam, aby mózdz kiedykolwiek i gdziekolwiek czego innego pragnąć, niż tego, żeby wszędzie i zawsze taką była...

Wybaczenie mi, bracia moi, jeżeli w bolesnej chwili... z tem wyznaniem do Was się zwracam i w Imię Boże, w imię męczenników!

Wszak nie znam stosunków galicyjskich zbliska, nie winuję nikogo, mówię za siebie, nie za Was, a jeżeli prosząc Was o gościnność w łamach Waszego pisma, odzywam się także z błyskiem sympatii i nadziei do rodaków najdroższego mi ludu, toć głos serca, przemawiający do serca, żadnej sprawie jeszcze nie zaszkodził, a nie jedną ranę duchową zagoił. Mówię do ludzi dobrej woli, których znajdziesz w łonie każdego narodu, a nawet do zapaleńców... zdolnych do uspokojenia. Nie przemawiam do agitatorów, ani do zdrajców, których również niestety nie brak w żadnym narodzie! Do Polaków i do Rusinów zarówno, w imię tak długo ukrzyżowanego Podlasia wołam: czytajcie z uszanowaniem dzieje wyznawców siedleckiej gubernii przez 33 długie lata. I za niemi bardzo pokornie powtarzam — tak się nieraz modlili oni... za swych prześladowców: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

I znów zawahałam się... znów odłożyłam wydanie długoletniej pracy mojej, w obawie, żeby po spełnionej świeżo ohydnej zbrodni, niektóre ustępy, odnośne do Rusinów galicyjskich, nawołujące ich do zgody i do naśladowania braci Podlaskiej, nie stały się kamieniem obrażenia dla wielu Polaków, w chwili, gdy każda ucziwa dusza wdrygać się musiała przed potwornym czynem.

Poklask, bezwstydnie dany niecnemu mordercy przez całą partję podżegaczy, wyklucza możność przypisywania występku jednemu wyłącznie wyjątkowemu nędznikowi.

A jednak, ochłonawszy z grozy i z wrażenia rozpaczliwej niemal pogardy dla zespołu podobnych ludzi, przyjrzyłam się uważnie motywom i faktom.

Powodem zwierzęcej zemsty nad bezbronnym i ufnym rycerzem-Polakiem była nie sprawa polsko-ruska, lecz zapamiętała wściekłość rzekomych Ukraińców przeciwko lepszym i życzliwszym dla nas żywiołom ich własnej narodowości. Całe gminy Unitów galicyjskich przeszły na obrządek

łaciński, zaznaczając w ten sposób swój wstręt i oburzenie wobec dokonanego zamachu. Pewna włościanka Rusinka wołała: „Zgon ten unieszczęśliwia nas więcej, niż was. Wam ból jedynie pozostaje, nam ból... i hańba!“

W czambuł winować naród cały za srom i grzech najgorszej jego części — niepodobna. Między Rosyanami nawet, których rząd i czynownicy pastwili się nad Unią i pastwią się jeszcze nad nami, znajdziesz ludzi, sprzyjających nam tak dalece sercem i przekonaniem, że niektórzy położyli życie swe w ofierze za nas, jedni w powstaniu na polu bitwy, drudzy później... na szubiennicy.

Skrytobójczym siewcom anarchii zostawmy smętny i mętny przywilej ślepej nienawiści bezwzględne fanatyzmu.

Andrzej Potocki, męczennik świętego obowiązku, padł jedną więcej po tyłu podlaskich wyznawców niewinną ofiarą, choć pośrednią i okolicznościową, krwawej a różnorodnej tragedji historycznej, przywiązanej do bytu Unii.

On, panem był na Międzyrzeczu podlaskim, tem sercu bijącym prześladowanej Unii, prześladowanej tam przez rząd moskiewski, prześladowanej inaczej tu przez wielu własnych synów swoich, niechętnych dla Rzymu, wrogich dla pobratymczych szczeptów słowiańskich, schlebiających Niemcom, lutrom, hakatystom, świadomym i nieprzeblaganym tępiciełom Słowiańszczyzny.

On... Unię kochał. Holdem pamięci Jego niechaj będzie to ściśle, aczkolwiek nieudolne zestawienie martyrologii podlaskiej.

Małżonka Jego rzekła do osieroconych dzieci swoich: „Modlmy się za winowajcę!“

Chrystus Pan w ostatniej godzinie tak modlił się do Ojca: „Daruj im, gdyż nie wiedzą, co czynią!“

Popłynąć więc rzeką krwi i łez, pieśnią błagalną na ustach ofiar całopalnych, mimo sere kamiennych i Judaszowych zmów, popłynąć do stóp Tronu Najwyższego, biedna jękliwa opowieści najszczytniejszych dziejów wiary, na przelomie dwóch stuleci najskrajniejszej niewiary, zwątpienia i materyalizmu.

## I.

Niniejsze obrazy i notatki są ściśle odbiciem prawdy. Od 25 lat żyję wśród Unitów podlaskich, zżyłam się z nimi, dzieląc troskę i grozę, a do pewnego stopnia cierpienie — od pełni którego nic nas w przyszłości nie zabezpiecza. Jeżeli cyfry nie mogą być statystycznie kontrolowane, to dlatego, że nikt ich dokładniej pod pressą moskiewską nie obliczy. Jeżeli nazwiska osób i miejscowości rozmyślnie są nieco zasłonięte, to z obawy, aby zemsta osobiście dotkniętych władców i oprawców nie znalazła urzędowej podstawy do pastwienia się nad wymienionemi siołami i poszczególnemi ofiarami. Lecz jeżeli opowiadania moje są fałszem lub przesadą, i owszem, niech mi kłamstwa dowiodą. Niech w różnych proporcjach zebrana — z Rosyan i z niezależnych od Rosyi Polaków złożona — komisya, protokolarnie (jak w Kroczach) zbada sprawę unicką w przebiegu ostatnich 23 lat na miejscu; niech sądownie roztrząśnie rzeznie drelowskie i pratorlińskie, a choćby w trakcie udowodnienia mi, że w Pratorlinie 60 ludzi nie zabito, wykazało się Europie, że... tylko 40 bezbronnych wyznawców obu plei wymordowano, toć za chwale i pożytek poczytam sobie upokorzenie moje, które światło rzuci na szereg zbrodni, bezkarnie w zakordonowym mroku spełnianych.

Rzecz dzieje się w r. 1873.

Płaszczyzna. Przepaściste bagna groblami rżnięte, szerokie, niedbale utrzymywane drogi, niebotycznymi topolami wysadzone, bory na piaskach rosnące, potem łany i łąki, blade a mizerne, wieczną powłoką oparu otulone; dziurawe

mosty dużą wypukłą belką pośrodku wzmocnione; szmer wiatraków, majaczenie zab, krakanie wron, klekotanie bocianich sejmów na marnych pastwiskach; jasne niewyraźne niebo, o pięknych, cichych, różowych zachodach słońca na ogromnych widnokręgach; krzyże, i krzyże, i krzyże wszędzie, po trzy, po pięć, na rozdrożach, na groblach, pod lasami, w ogrodach, przy folwarkach, a szczególnie co druga chata, po wsiach nieskończenie długą wstęgą się ciągnących z obu stron błotnistej gościńca. Wsie, dość czyste i porządne, noszą jednak charakter bardzo a bardzo duchowo staroświecki. Mówię „duchowo“, gdyż okiennice, sztachetki, ogródki — to dowody postępu, które tu na każdym kroku napotkasz; ale kształt studni o długich żórawiach, gęsty aż do ciasnoty szereg chałup, na węgly budowanych i słomą krytych — bosa dzieci o dzikich rozmarzonych oczach, długowłose chłopcy w brązowych sukmanach, smutek, i cisza, i zastój na Podlasiu panujące — to cechy średniowiecznego niemal ducha i życia u włościan, cecha przywiązania do dawnych kształtów, strojów i obyczajów, dowód zamilowania do braterskiego przez próg sąsiedztwa. A przed wszystkim, i nad wszystko, te krzyże, krzyże, krzyże rozsiane wszędzie, niby godło, niby herb miejscowy, stokrotnie powtarzany, skupiony wreszcie w jeden las błagalnych krzyżów na dalekich od wsi ementarzach, lub wyniesiony tryumfalnym znakiem na niebie, nad wszystko przewyższającą wieżycą kościelną.

Tu wszystko dzieje się milcząco, poważnie, jakby wymarzył wszelki żywioł wesolości, młodości, ziemskiego życia. Nędza? Nie nędza... Przeciwnie, pewien dobrobyt zda się panować u kmieci — jeżeli uwzględnimy ich stan i nawyknięcia społeczne. Kozuchów, płótna i sukna nie brak, przędziwa dużo, lnu, konopi, wełny, a po świętach kołowrotki w ką, wystąpią warsztaty na kilimki. Statków i sprzętów dość, do domu i do roli. Serwituty nie rozdzielone, więc i paszy i drzewa nie brak na pańskim gruncie, a pańszczyzny się już nie odrabia. Przeludnienia jeszcze niema. Szmat spory ziemi i dobytku nie mało przyznano niedawno każdemu gospodarzowi.

Skąd więc ta melancholia, ta powaga prawie zakonna, ten wyraz na każdej niemal twarzy — oderwania od rzeczy doczesnych? Czy to tkwi we krwi małoruskiej rasy? Czy może w naturze smętnej ziemi podlaskiej? W srogiej zimie? W krótkim lecie? Czy w długoletnich wymaganiach pańszczyznianej służby, lub też w braku właściwego narodowego życia? Czy nie raczej w tem, że na surowem tle monotonnej, bezbarwnej, beznadziejnej walki o byt, jedyną miał ten lud od wieków siłę i otuchę, nadzieję i pewność, ozdobę nawet i rozrywkę w życiu, jedyny uśmiech i zrównanie z wyższymi estetycznymi warstwami społeczeństwa, jedyne wdrożenie się do rozwoju intelektualnego: w kościele, w jego śpiewach i organach, w jego dzwonach i kwiatach, w jego światłach i baldachimach złożonych, w jego wonnem kadzidle i uroczystych procesyach, w jego mistycznych obrazach i pociechą brzmiających ambonach?... A treścią kościoła, warunkiem zgody z jego duchem, z jego krasą, nadzieją, nauką — to pokora, to pokuta, to czystość, powaga i umartwienie ciała. Więc lud ten, mało nawykły do szczęścia i używania, zadowolony wprawdzie obecnie materialną swobodą i normalnym dostatkiem, nie nauczył się jeszcze wyciągać z tych nowości wątku do uciech i do nadużycia. Ten lud, dziś jak przed wieki, nawiedzany regularnie nieuniknionymi chorobami wiosny i jesieni, nieraz pozbawiony jedną epidemią całej dziatwy swojej, nienfny w lekarzy, odcięty od ruchu stulecia rzadką siecią trudnych do przebycia dróg, bezbronny wobec klęsk losu, przekonany, że dola ludzka na ziemi jest krótkim a ciężkim przejściem tylko, przykuty do pracy codziennej, nie towarzyskiej i niezmiennej, stał się świętym poniekąd mocą okoliczności. Każdy człowiek jak dla ciała potrzebuje chleba, tak dla umysłu potrzebuje gwiazdy przewodniej, a ten głód duchowy, to łaknienie zajęcia i celu, to cecha typowa człowieczeństwa. My nieraz odwracamy oczy od nieba dla ogników poziomych; ci ludzie ogników nie mieli, nie znali, nie wiedzieli nawet o nich, więc prosto w górę patrzyli — a nerwy i wyobrażenia, te czyniki u prostaków równie jak u nas wymagające pokarmu,



zamiast im być pokusą, stały się im sprzymierzeńcami do entuzjazmu religijnego, który ich unosił, zadawałniał i takimi czynił, jacy byli.

I oto stała się rzecz dziwna: ten rząd, który tanim kosztem oblekłszy się w charakter dobroczyńcy, obdarzył stan włościański ziemią i uwolnił go od zobowiązań wieczystej dzierżawy, nabrał wielkiej do chłopstwa ufności, wnioskując z postawy jego w czasie powstania. Skutkiem tego popełnił błąd kolosalny, niepowetowany.

Pamiętając o łatwości, z którą przeszła na schizmę lekomyślna, ciemna, pełna południowej zwierzęcości Kozaczyzna, zachęcony tem, że nawet wytrwali Unicy na Wołyniu, Podolu i Ukrainie z czasem dali się przemódz pod przewagą gwałtu i podstępny — rząd zapomniał jedno, że owe zabrane prowincje już od dawna były po części zespolone z duchem moskiewskim, po części wielce sponiewierane przez szlachtę polską — w ogóle od wieków to najazdem, to buntem, to chwiejnością losów głęboko zdemoralizowane. Zdawało się władzom rosyjskim, że nierównie łatwiej jeszcze im przyjdzie podciągnąć pod moralny jassyr carskiego zakonu naród podlaski, świeżo oswobodzony od kar cielesnych i od licznych dni odrobku.

A oto spotkał się rząd z oporem szalonym, absolutnym, kamiennym.

Ten lud, karmiony mniej chlebem niż nadzieją Nieba, mniej czuły na kołysankę macierzyńską niż na supplikację kościelną, był jak żołnierstwo zahartowany bez zawisłości na ciężkie potrzeby osobistej służby. Wdzięczny był swym panom za równość duchową, za szkółki, za ochronki, za pielęgnowanie chorych przez Siostry Felicjanki, za porady mądrych spowiedników i kaznodziei, za wszystko, czego mu nie żałowały dwory. Łańcuch życia pobożnego, rzetelnie pojęty, jednoczy stany wobec Boga i samowiedzy naszej lepiej, niż krańcowe nowoczesne zasady. Wytwarza istotne siostrzeństwo między babą kościelną a starą księżną, idącą o świcie z książeczką i latarką w ręku na mroczną Mszę zimową; łączą się w jednym dobrowolnem utrudzeniu, a później w jednej uczcie

Stolu Pańskiego, gdzie giną pierwszeństwa światowe. Jak na polu bitwy szeregowiec zapomina krzywdy i kary, a wdzięcznie dzieli chwałę i zwycięstwo swego dowódcy, tak na polu ducha chłop i pan byli braćmi w pokucie i w nadziei. Teraz, gdy lud podlaski w jednej chwili uczuł się zagrożonym zgubą duszy, utratą zbawienia i skarbów wiekuistych, zamęczeniem nabytej prawdy i spokoju sumienia, zawrzał oburzeniem i zwrócił się całem sercem po ratunek do dawnych panów Polaków, do twardej, ale ojcowskiej dłoni.

Marzycielem jest każdy prostak podlaski, hodowany na samotnej pasterece, pełnej snów i nieznaney poezji. Uważa on sobie pogodę ducha za dobro, wyższe nad wszelką troskę ludzką, gdyż stawia godność człowieka na stanowisku niedostępnem ani razem, ani upokorzeniom, a stopniuje wartość i znaczenie istot podług skali cnót i zasług. I tak lud ten zbuntował się jednomyślnie na straszny gwałt, mieszczący się w samej propozycyi zmiany wiary. Gdy zaś namowa przeszła w naleganie, potem w usiłowanie przymusu, lud stracił wdzięczność za materialne dobrodziejstwa Rosyi, uważając je za zadatek żądanego przeniewierstwa i postanowił umrzeć raczej, niż ustąpić. Naczelnicy zaś i wyżsi oficerowie, nie przywykli do nieposłuszeństwa u „chamów“, osłupieli na pierwsze słowo protestacyi, stracili wszelką równowagę wobec stanowczego zaprzeczenia im prawa nad duszami, rozbestwili się nareszcie zupełnie, gdy poczuli wytrwałość niezłomną a tak niespodziewaną tam, gdzie oni obiecywali sobie zebrać wiano nagród i zysków, awansu i chwały za przedwcześnie w Petersburgu zapowiedziane „dobrowolne nawrócenie Unitów!“ I wtedy rozpoczęła się ta krwawa i łzawa dwudziestoletnia już z górą epopea męczeńskiego Podlasia, podczas której niemal w każdej rodzinie rozgrywały się rozdzierające dramata, szarpiące wszelkie zasady i węzły życia rodzinnego, a miażdżące w pył po syberyjskich traktach, po lochach więziennych i nieświęconych grobach, tysiące poszczególnych istot myślących.

Obok Gromejki, obok unickiego biskupa Popela, perekińca chełmskiej dyecezyi, obok osławionego Mirosława Do-

bryańskiego, skazanego za zdradę stanu w Galicyi Austryaka, który później najgoręcej walczył za przeprowadzeniem schizmy w Lubelskiem i na Podlasiu, odznaczało się w tej haniebnej kampanii kilku innych istotnych wykonawców zarządzonego okrucieństwa. Jeden z nich, baron K..... łączył w swej osobie naczałstwo powiatu bialskiego (potem radzyńskiego), rangę czynnego pułkownika i tytuł „urzędnika do szczególnych poruczeń“. Miał zatem w ręku: siłę wykonawczą wojskową, szerokie prawa administracyjne regularne i prawie bezgraniczne przywileje wyjątkowe, tak rozległe, jak nieprzewidzianymi były odmiany, zachodzące w miejscowej sytuacji stron. Miał prawo tłumienia buntów, tworzenia ustaw, podchodzenia i karcenia, nawracania i nagradzania. Przechwalał się nieraz żelazną ręką, granitowem sercem, lisią przebiegłością i uludną oglądą.

Ostrożny Szulgin, brutalny Beks, nieublagany a krokodylowemi łzami płaczący nad swemi ofiarami gubernator Milutyn, ubiegali się z nim o pierwszeństwo w gorliwym tępieniu Unii i Unitów.

## II.

Było to 13-go grudnia r. 1872. Odwilż po kilkodniowej śnieżycy. Wieś Hunna literalnie niknęła w głębinach czarnego wydeptanego błota. Południe. Mężczyźni flegmatycznie wylaniali się ze stodół, gdzie cepami młócili nędzne żyto, z obórek, gdzie nadawali trochę lichej paszy krowom; inni nadjeżdżali z lasu pańskiego na przesadnie naładowanych wozikach zbieraniny, każdy ciągniony przez mizerną zdyszana szkapinę. Kilkunastu młodych wracało na obiad z podwórza pańskiego. Mało który zagwizdał lub żartował, i to z cicha, nieśmiało, ostrożnie. Dziewczęta leciały także do domu z oczyma spuszczone, szybko, nie oglądając się, nie wychylając noska z pod ciasno zakutanych chustek. Kobiety krzątały się koło rodzinnej misy.

W chałupie Sylwucha Rusia było najwidniej, najpiękniej, najporządniej. Uwolniony on został jeszcze od pańszczyzny przed laty, za wyjątkowe zasługi położone u dawnych właścicieli. Dostał grunt na własność, większy od tego, jaki później rząd przeznaczył calorolnym gospodarzom. Umie on czytać, pisać, rachować — uczył się i więcej przy młodszym bracie dziedzica, który księdzem został i umarł w Rzymie; więc Ruś zna dokładnie, różnice zachodzące między Kościołem prawosławnym a katolickim i wie, że podobieństwo rytuału między schizmą grecką a grecką Unią katolicką nie stanowi jedności w dogmatach, tylko w formie zewnętrznej. On mądry, dobry, oczytany, przytem bogaty, przyjaciel panów, a jednak przyjaciel i braci swojej, ich nauczyciel, wzór, patriarchy, dziś więcej niż to wszystko:

ich świętość, relikwia z dawnych czasów. Synowi oddał grunt i gospodarstwo, sam zaś mistyczny starzec o łagodnych rysach, w modlitwie pogrążony żyje, obcując więcej z Bogiem niż z ludźmi, występując rzadko, wtedy tylko, gdy wezwany do rady w ważnych kwestyach gminy lub w sporach pojedynczych gospodarzy. Siwiuteńki jak gołąb, ośmdziesięcioletni dziadek, bił się w r. 1831 przy boku swego pana — podróżował, pamięta wiele, pogrzebał więcej, a teraz na uwieńczenie życia, jak na ostatnią próbę, dano mu widzieć pokusę i prześladowanie swej braci. Na byłego wiarusa Ruś nie wygląda. Wyniosłe czoło, miękkie śnieżne kędziory w tył odgarnięte, błękitne, głębokie, zamglone oczy niby wewnątrz własnej duszy wpatrzone, woskowo-blade lica, bez zmarszczek, wymizerowane, skulona wysoka postać, wyraz jakby roztrągnięcia, jakby wsłuchania w jakąś niezmierną rozmowę, nadają Rusiowi cechę ascety czy pokornego proroka uciekniętego plemienia raczej, niż żyjącego wpośród żyjących. Zda się nic nie wie, nie uważa, lecz niech się stanie cokolwiek, niech padnie słowo wymagające nagany lub objaśnienia, widać, że zmysły zewnętrznego człowieka, bezwiednie na godzinę potrzeby zebrały dźwięki i ruchy, bo z nienacka dziadek milczący się budzi — jasne źrenice rzucają płomień, drżące, misternie rzeźbione wargi wydają słowa lapidarne, jędrne i mądre, nie przypominają niczego, snadź nie nie uszło baczności jego; choć żyje jakoby nie żył, na wzór pochrystusowych apostołów, karcii, poucza, prostuje, trafia do celu całą potęgą duszy skupionej w jedną najdonioślejszą ideę.

Od dwóch lat ludzie zaczęli stronić od cerkwi. Coś się w niej źle dzieje — księża dziwne prawią nauki, dziwne głoszą ukazy. W miejscowościach pokątnych, gdzie wojska i kancelaryi niema, lud przeklął swoich pasterzy, wypędził, a klucze od domu Bożego odebrał. Gdzieindziej gromada przestała tylko chodzić na odmienne nabożeństwo, szczególnie tam, gdzie cerkwi brak. I tak z Hunnej wierni szli dawniej to do cerkwi dalekiej w Pratolinie, to do swojej kaplicy dworskiej łacińskiej. Teraz niema co robić w Pratolinie, a co niedziela, gdy w pałacu dzwonią na Mszę księdza

kapelana w Hunnej, strażak się zjawia u bramy ogrodowej, a natrętnym rozdaje szturchańce z admonicą:

— A ty tu po co? Marsz do cerkwi. Czy ci żal butów na miłą drogi?

Z początku wprawdzie przybiegała panienka i mówiła, że ten to posłaniec na pocztę, tamci znów ludzie, którzy wczoraj tygodniowej zapłaty nie otrzymali. Strażak czapkę zdjął, krzywił się, drapał w głowę i puszczał. Ale od pół roku jest strażaków dwóch, a ten drugi z Białej przybyły nie dba o panienkę, ledwie czapki dotknie, a raz nawet powiedział:

— Niechno państwo się w to nie wdają, bo już nie jedną katolicką kaplicę zamknięto, jak było tego za wiele!

Panienka strasznie się zaczerwieniła i do bramy już nie wracała. Odtąd ludziska gromadzą się w dniu święteczne u Rusia, słuchają jego czytania i tłumaczeń, modlą się za nim, a wieczorem młodzież się schodzi pod chałupę i śpiewa chórem, a strażak jeszcze nie mówić nie śmie, tylko zapisuje coś ołówkiem w notesiku, patrzy z podełba i odchodzi.

Zewsząd dochodzą głuche wieści o biciach, karach, więzieniach, katowaniach; ale w Hunnej do tego jeszcze nie doszło. Wtedy właśnie dwóch włościan ze starszyny wsi Gęsi powiatu radzyńskiego zabrano na indagację do Białej, aby za wszystkich Unitów podlaskich się wytłumaczyć. Archirej, popi, starali się rozumowaniem ich pokonać; lecz jeden z nich, Andrzej Kruszyński, okazał się tak biegłym w teologii (był to druh wojenny Rusia), przytaczał tak płynnie artykuły soborów i rokowania florenckie o rozłące Kościołów, że go niezwłocznie odesłano, aby nie bałamucił drugiego. Ten drugi, nazwiskiem Lisak, był prostakiem. Powiedli go do cerkwi pod strażą i przemocą pomazali czoło jego olejem, święconym przez schizmatyków. Gdy go następnie pop objaśnił, że ten obrządek uczynił go prawosławnym, Lisak znikł; po kilku godzinach zaś stanął napowrót w oczach archireja, błądy, zakrwawiony, z twarzą straszliwie od bólu skureczoną i z okropną raną na czole.

Ottónówna: Podlaskie „Hospody pomyłuj“.



— Teraz już nie jestem i nigdy być nie mogę prawosławnym — rzekł z dumą — bo obrałem sobie brzytwą skórę z czola.

Rzeczywiście od brwi do włosów miał wyrżnięty wydłużony kwadrat ciała, na głębokość kilku milimetrów. W szpitalu odratowano go z trudnością, gdyż rzucił w ogień olejem skalany kawał skóry, a żywe mięso nie pokryte groziło zakażeniem krwi.

Dziś w chacie Rusia siedzą na ławach około wspólnej misy stary Sylwuch, syn jego już pięćdziesięcioletni Trochim, niemłoda gospodyni, żona Trochima i dzieci ich, piętnastoletni Wiktor, młodszy nieco Iwanek i córka najstarsza Fruzia. Biedna dziewczyna jest zaręczona, ale czeka z zamążpójściem, aż będzie jakiś koniec z tym nieładem w cerkwiach. Pomodlili się i jedzą, skupieni, zadumani, jak to zwykle chłopci, wdzięczni za zapracowany posiłek, więc używający go z namaszczeniem. Nagle na błotnistym gościńcu rozległ się hałas niezwykły: trzaskanie z batów, miękkie a głębokie stąpanie potężnych kopyt w grzęskiej mieliznie, szczekanie przerażonych psów, gęganie uciekających band gęsi, pisk świń, brzęczenie kół i blaszek. Chłopcem oczy zabłyśły, lecz nie śmieli się ruszyć. Trochim spojrzął na ojca i wstał, zbliżył się do okienka, potem dopadł do drzwi, otworzył, wychylił się za próg i patrzył.

— Karetą w kare konie zaprzężona... dwóch konnych żandarmów na przedzie! Stanęli... coś się Sergeja rozpytuja... znów ruszyli... jada... ach jakie świecidła z nich kapią!... Dalibóg!... Pan naczelnik się wychyla... coś gada do stangreta... już są tuż, tuż... Jezus Marya!... Przy nas stanęli!!!

Nim skończył, już cała wylękła rodzina przy nim stała z szeroko otwartymi oczami. Stary sam jeden został w głębi chaty. Zbliżył się do wizerunku Matki Boskiej, malowanego na blasze, pod którym w szklaneczce była woda święcona. Umaczał palce, przeżegnał się i coś szeptał, a oczy i ręce podnosił do góry. Pod rozpiętą koszulą na chudej piersi

błyszczał krzyżyk miedziany, czernił się szkaplerzyk karmelitański, wil się długi różaniec o wytartych do połowy brunatnych ziarnkach. Ruś modlił się jeszcze, gdy już „Naczelnik“ był w izbie. Długa sztywna kibić jego zgięła się z przesadnym niesmakiem w niskich drzwiach, usta jednak się w uśmiech składały, któremu zadawało kłam złowrogie siwych ocz spojrzeń. Z chłopami mówił on zazwyczaj systemem rosyjskim: krótko, szorstko, donośnie — niby z bardzo wysoka, jak człowiek mówi do psa, kiedy chce być słuchanym. Dziś przeciwnie — było w nim coś szczególnego, coś w rodzaju zakłopotania, prawie przymilenia, gdy się zbliżył do starca głęboko przed nim pochylonego.

— Mam do was interes ojezulku — rzekł tonem uprzejmym — lecz chcę pomówić z wami sam na sam!

Tu natura i przyzwyczajenie wzięły górę nad napiętą wolą, zwrócił się nagle do zagapionej rodziny, machnął ręką i wypuścił brutalne „won!“, które wypłoszyło biedaków jak stado wróbli na dwór. Zamknęli drzwi za sobą i poszli oglądać z daleka karetę i konie; kobieta tylko podsunęła się do żandarmów, usiłując dowiedzieć się od nich, czego to naczelnik chce. Milczkiem najechana, odskoczyła, poprzestając na żalosnym stękanii.

Tymczasem w chałupie stary podał naczelnikowi jedyne krzesło, przeznaczone na odwiedziny państwa i pochodzące ze dworu. Lecz pułkownik krzesła nie przyjął, zbliżył się do Sylwucha, położył mu rękę na ramieniu i tak do niego przemówił:

— Słuchajcie ojeze! Ja wiem, że z was mądry i uczony chłop, i religiant, i że macie wasze sumienie i rozumienie, nie tak jak to było co krzyczy: „My katoliki! my nie chcemy być ruscy!“ a nie wiedzą nawet co to znaczy. To też ja was, człowieku, nie będę nigdy, nigdy zmuszać do zmiany; słowem wam za to ręczę, że do waszej śmierci pozostaniecie według waszego wierzenia... Ale zważajcie ino trochę co się dzieje: Najjaśniejszy Pan chce, żeby wasze plemię do niego całkiem należało i duszą, i ciałem, tak jak my. Najjaśniejszy car jest panem połowy świata i wszystkie

inne narody są jak pchły obok jego państwa. Chciał mieć Polskę i ma, i co zechce mieć będzie, bo on silny i pan, i Bóg z nim trzyma — a wy garstka głupich ludzi giniecie nie wiadomo dlaczego, bo żaden nawet nie wie, czego chce w swojej wierze, a czego nie chce w naszej; i za to tracą gospodarstwa i dobytek, dzieci i siebie. Przecie zrozumieć możecie, że carowi przykro, żeby jego poddani gdzieś tam jakiegoś papieża w Rzymie słuchali, który nawet o nich nie wie, kiedy on jest waszym ojcem i papieżem! Słuchajcie!... Tam się w Pratołynie głupstwo stało. Jak wiecie, tamten ksiądz, cośmy go za upór do kozy wzięli, uciekł do Austrii i opuścił was biedne owieczki, jak ten wilk do lasu, nie jak pasterz żaden! Więc przywiozłem wam księdza, jakiegoście nawet jeszcze nigdy nie widzieli. Czysty święty, mówię wam! Taki duży, piękny, z długą brodą i włosami, jak malowanie! A te durnie klucz od cerkwi zabrali i nie chcą dać! Posłałem po słuszarza... obstarpi cerkiew i ani majstra, ani księdza, ani mnie puścić nie chcą!

Na to straszne a świeżutkie wspomnienie krew gburatyrana zawrzała w wojskowym czynowniku. Posiniał, wnet zbladł i wbrew własnej woli, zaryczał w dzikiej zawziętej furii:

— Słyszysz?! Te huncwoty, te waryaty, te psy tam stoją i mnie, mnie od rana nie puszczaają, mówiąc, że tam jest Sakrament i że go katolicki ksiądz zabrać musi! Słyszalesz ty co podobnego? Łajdaki! Oni chcą, żebym ich do ostatniego powystrzelał jak psów! Łotry! Nędzne lice szelmy! Ja im pokażę, co to znaczy mnie opór stawić — kto? Chamy! Ścierwa! Za kogo oni mnie mają?!!!

Oplwał się i dławił, z nerwowego rozdrażnienia brzydko się krzywił, kociemi żrenicami błyskał, a wszelka dystynkcyja światowca w tej chwili go opuściła. Nagle się opamiętał i doł spokojniejszym już głosem:

— Posłałem po wojsko, ale żal mi ludzi. Wołałbym ich nawrócić, niż rozstrzelać. Mówił mi porucznik Kobryńskij, że ty masz wpływ nad nimi, że jak ty im co powiesz, to cię posłuchają — więc przyjechałem po ciebie, żebyś ich ra-

tował. Powiedz im u dyabła, że pan nasz jest mocniejszy od nich, że im będzie rad, że ich obsypie łaskami, że im da więcej gruntu, niż już dał, byle mu byli wierni, że będą mieć opiekę rządu, bezpłatne wychowanie dzieci, pierwszeństwo wszędzie — i do wójtostwa, i do cerkwi, i do serwitutów — że wyjdą na ludzi! A na to, co oni wiedzą o religii, to nie mają co się spierać; bo jeżeli ich ojcowie byli Uniaty, to ich dziadkowie byli prawosławni; a jeżeli wy macie posty, i modlitwy, i cudowne obrazy, to my ich mamy więcej! A pierwsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo — więc jak będą słuchać monarchy, to i Bogu się spodobają; a jak nie, to zginą! Jak Bóg na niebie, że marnie zginą, a my ich dzieci wyhodujemy tak, jak nam się spodoba, bez nich! Słyszysz? Powiesz im to? Chcesz mieć zasługę u Pana Boga i życie braci ocalić, i dusze ich, że nie zmuszą nas do krwi rozlewu?... A zresztą — dodał ciszej — co oni sobie tam w sercu będą wierzyć, to nam wszystko jedno. Pojmujesz? Powiedz im to! Aby tylko nam oddali posłuszeństwo i chodzili do cerkwi jak Bóg przykazał, to nam dosyć! A ty, już stary i mądry, to co innego! Ciebie my zostawimy w spokoju jak szlachcica... Chodź nie chodź do kościola, byleś tamtych duraków namówił, będzie dobrze! Co?

Stary był bleśszy niż zwykle i dygotał jak w febrze, a pot kroplisty występował mu na czole, lecz wydłużona, martwa, ostro zarysowana twarz jego żadnego nie zdradzała wrażenia. Milczał długo, zwróciwszy oczy błagalne i zamglone do wizerunku Matki Najświętszej.

Naczelnik przestępował z nogi na nogę, gryząc paznogie...

— I będziecie ich rozstrzelać, panoczku — nareszcie wyjąknął chłop żałośliwie, ale stłumionym głosem.

Baron zaklął:

— Aboż nie?!!! I tak jestem dobry, że jeszcze się tu pofatygowałem, żeby sukinsyny oszczędzić!

Ruś dumał i dumał. Czolo w ręce ukrył, kiwał się i chodził, palce łamał, jakby pod wpływem fizycznego bólu, a cią-

gle zalzawiony wzrok zawracał od zajadłego okrutnika do Niepokalanej Paniarki.

Naczelnik drżał z hamowanego rozdrażnienia. Zagryzał usta, wydymał nozdrza, już, już miał wrzasnąć szpetne przekleństwo i wylecieć z izby, już, już zaglądała niespokojnie w okienko synowa z chłopcami, gdy nagle starzec przystanął, wyprostował się tak, iż zdał się dotykać pułapu siwinteńką głową i rzekł:

— Pójdę panie, powiem!

Wtedy pułkownik, opadnięty jakimś dzikiem rozczuleniem, chciał mu się nieomal rzucić na szyję, czując się zwolnionym od nieco gnębiącej alternatywy ustępstwa lub mordy. Starzec cofnął się i pochylił mu zimno do ramienia. W milezeniu znikł na chwilę do alkierza, skąd wrócił w odświętnej sukmanie, świeżych butach i z baranią czapką w ręku. Przeszli oba wśród zdumionej i oniemiałej rodziny, dokoła której się zbiegła gromadka wylekłych sąsiadów. Stary chciał wdrapywać się na kozioł, lecz baron szarpnął go za ramię i weciągnął do karęty, mówiąc ostro:

— Aby lepiej szanowali słowa twoje!

Trochim cisnął się za rodzicem, wołając:

— Jasny panie! O la Boga rety!... Co wy z ojcem naszym robicie?

Synowa lamentowała, czepiając się błyszczącej kłamki; lecz żandarmi najechali ich brutalnie jak pierwej, odtrącili piersią i łbami końskimi, odcinając bezpowrotnie od pojazdu. Drzwiczki zatrzaśnięto. Kare rysaki ruszyły z kopyta z wielkim brzękiem blaszek i trzaskaniem z batów. Żandarmi spięli rumaki, doganiając i przeganiając karetę; jęk trwogi, potem płacz głośny rozległ się przed chatą: „O Jezu, Jezu, co to będzie?” — biadał Trochim, chwytając się oburącz bezwładnie za głowę; a mały, bosy Wiktor, w koszulinę i majtki z lnianego samodziału odziany, nie pytając, co z tego będzie, jak pies za odjeżdżającymi się puścił w cwał w ten zimny dzień grudniowy; padał, grzebał się, zrywał, pełzał po ziemi jak waryat, sapiąc, krew z nosa płynącą w biegu rękawem ocierając, wreszcie, gdy miał już przekłętą powóz

z oczu stracić, a spostrzegł się, że stangret skręcił na szosę pratolińską, zawył dziko, zmienił kierunek, na przelaj łąki przeciął, skracając sobie drogi, a tak gonił i gonił i harował za dziadkiem aż do dalekiego Pratolina, do którego zdążył na wpół omdlały, niedługo po rysakach pana naczelnika.

## III.

Kościółek na wzgórzu, przed nim plac. Na placu ciasno zbита, ponura, bezbronna kupa ludzi, o brunatnych siermięgach, o długich płowych włosach i przerażonych jasnych oczach. Cisną się do zamkniętych wrót kościółka. Niektórzy klęczą i modlą się, inni podejrzliwie zagląдают, czy druga, mniejsza, lecz bardziej jeszcze zwarta garstka ludzi przy drzwiach zakrystyi nie dała się obejść.

Tłum prawie przeważnie się składa z mężczyzn wszelkiego wieku, nie wyłączając wyrostków i starców. Gdzie niegdzie jednak kobieta tuli się do „swego“, a z tyłu kilkoro piskląt z płaczem się wiesza u jej spódnic.

Słońce już miało się ku wczesnemu grudniowemu zachodowi, trawy i błota sztywniały pod idącym z nocą mrozem; bokiem czerwona luna wypogodzonego horyzontu oświecała jaskrawo blade twarze i zapalała iskry wzdłuż żółtych guzików u ciemno-zielonych mundurów. Naprzeciw tłoku z golemi rękami warujących włościan, stał mur wojska, z najezonemi bagnietami. Oficerowie silnie znudzeni wałęsali się na uboczu, coś szmerząc po cichu między sobą, paląc ukradkiem papierosy, tupiąc w ziemię skostniałymi nogami i wyglądając niecierpliwie czegoś w dali.

Kilku Kozaków i żandarmów konnych uzupełniało ten obraz. Na progu dawnej opustoszałej plebanii, u stóp pagórka, stał zmarszczony, zdenerwowany pop, o długiej sukni, długich włosach, długiej brodzie i powłóczyistych rękawach. Z nim rozmawiał po rosyjsku ślusarz, katolik łacinnik, podła fizyognomia i podła dusza, prosto z kryminału zawrócona.

W rękę miał ścierkę pełną wytrychów i rozmaitych ostrych narzędzi.

— Jada! jada! — wrzasnął któryś z konnych kozaków.

W tej chwili oficerowie rzucili papierosy, prostując się i stając każdy na swym posterunku z palaszem w rękę. Orłowski ogiery zamaszystym klusem i zgrabnym łukiem wpadłszy na wzgórze, stanęły osadzone na miejscu między gromadą a wojskiem. Ordynans nie zdołał przyskoczyć do drzwi, gdy wypadł z nich rozpromieniony pułkownik i szerokim ruchem wskazując karete, z której powoli wysuwał się staruszek, zawołał na ludzi:

— No dzieci! Patrzajcie, jakim dobry. Zamiast was śmiercią karać, jak się wam za bunt należało, pojechałem sam po waszego baćka. Mówiliście, że co on wam powie, wy zrobicie. Otóż macie go! Słuchajcie co wam każe! Ja nic więcej nie żądam niż on, bo on mądry i rozumie lepiej od was czego Bóg chce i Najjaśniejszy Pan!

Kareta odjechała.

Ogromne milczenie zapanowało — straszne, urocze jak cisza przed burzą, jak przerwa między wydaniem a przeczytaniem wyroku.

Ruś, blade na twarzy okolonej białymi włosami, stał opromieniony ostatnim tryumfalnym blaskiem ognistej kuli słonecznej, chylącej się ku zachodowi. Ręce miał złożone, oczy wzniesione do głębokiego nieba — a to niebo było nad nim błękitne i niezmiernie przezroczyste, potem wpadało w tęczowe odmiany, zielonkavo-żółte, liliowo-purpurowe, a dusza śnać z piersi mu się wyrwała, bieząc do tych świetlanych głębi, a krzyż na kościelnej wieżycy przed nim ostro się rysował na tle bezdennego lazuru, jak surowy rys obowiązku na bezdennem tle obietnic niebieskich.

Lud, chwilowo zachwiany słowami naczelnika, spojrział tylko na postać zamodlonego starca-Serafina i odzyskał pewnością niezamąconą.

Chłopi wstrzymywali oddech z obawy, by ojciec zbyt słabym głosem nie przemówił do nich i żeby czego nie stracili z nauki jego. Wstrzymywali oddech żołnierze, sami nie

wiedząc dlaczego, może w przeczuciu, że im lada chwila jakiś rozkaz danym będzie.

I baron milczał, tamując oddech; naraz zaniepokojony dziwną postacią Rusia, która nawet jego tygryziej duszy stawała się przejrzystą w tej sekundzie, nie wątpiąc jednak o własnym rozumie i wysokim wpływie, otrząsnął się z przywidzenia i ruszył z lekka ramionami, tłómacząc sobie, że Sylwuch, spełniając święty akt ocalenia w tym momencie, słusznie robi, że się modli, by lud skorzystał z namowy jego i poddał się carowi.

Uroczyście i silny rozległ się srebrny głos staruszka, gdy nareszcie przemówił, przeżegnawszy się pobożnie:

— Bracia, dzieci, sąsiady i kumy moje! Przyszedłem na żądanie Jaśnie Wielmożnego Pana Naczelnika, by powtórzyć wam słowa jego, które on mi powiedzieć raczył, a które są prawdziwe!

Tu pułkownik zacisnął dłonie z zadowolenia i rzucił zwycięsko-ironiczne spojrzenie ku oficerom.

Lud słuchał trochę natężony, jakby przelotne zdziwienie i troska musnęły czoła słuchających.

— Pan Naczelnik mówi, i to jest prawdą — powtórzył starzec — że Najjaśniejszy Car jest mocniejszy od wszystkich ludzi, od panów i od księży naszych, od dawnych królów polskich, od was i od dzieci waszych; że mocen jest i chętny wam dać wszelkie wygody i dobra ziemskie, jeżeli mu dusze własne oddacie w pańszczyznę, a zaprzecie się wiary ojców waszych. Mówi też Pan Naczelnik — i to jest prawda — że jeżeli tego nie zrobicie, to pójdziecie na śmierć i na Sybir, ojcowizna wasza na zmarnowanie, a dzieci wasze na chowanie i na pomstę u prawosławnych; że wielu katolików nawet o was nie wie i wiedzieć nie chce, albo nie może, więc pomocy od ludzi daremnie wam oczekiwać, tak, iż potomstwo wasze nie odziedziczy nawet wiary, za którą zginiecie.

Chłopom oczy dziką rozpaczą się rozbłysły, patrzyli po sobie osłupieni, w niemym bólu rękami rzucając, jakby nie chcieli własnym uszom wierzyć, że ich ojciec zdradza.

Baron aż się trząsł z wewnętrznego śmiechu szatańskiej radości. Ruś bardzo spokojny ciągnął dalej:

— Powiedziałem wam, co mówi Pan Naczelnik i co jest prawdą. A teraz powiem od siebie to, co jest prawdą także i prawdą większą nad wszystkie. Ja dziś z jedną nogą w grobie stojąc nad brzegiem wieczności, gdzie przyjdzie mi zdać sprawę z sumienia mojego wobec Stwórcy wszechrzeczy, powiadam wam, że życie jest krótkie, a wieczność bez końca, że car mocniejszy od ludzi, a Bóg od cara, że Chrystus umarł za nas na krzyżu, więc nam także warto dla niego umierać, że kto raz poznał wiarę prawdziwą, która z Boga jest, a dla bojaźni ludzkiej zaprzedałby się zakonowi, w który nie wierzy...

Tu pułkownik chwilowo odrętwiały z oburzenia, ryknął:

— Milcz! — i skoczył do starca, bijąc, szarpiąc, usiłując osobiście zagłuszyć słowa jego — lecz ten, dziwną siłą ogarnięty, przytrzymał na minutę ręce Naczelnika i podnosząc głos, dokończył:

— Ten byłby zdrajcą i perekińcem, hańbą swojego rodu, mordercą duszy swojej i swych dzieci. A dzieci wiernych wytrwają mimo pokus, bo im łaska Boża będzie matką i ojcem, jak była pierwszym chrześcianom!

Wyrwał się Naczelnik spieniony z rąk omdlewającego starca, jasny włos stanął mu jeżem na głowie, dobył z kieszeni rewolwer, przyłożył do czoła Rusia i... wypalił.

Po strzale Sylwuch stał przez chwilę jak w zawieszaniu, ramiona miał rozkrzyżowane, twarz białą jak chusta, w konającym blasku zachodnim kapana, a po niej spływały krople krwi od skroni. Nagle, bez jęku osunął się na ziemię, a lud na kolanach, wśród głośnego łkania kobiet i dzieci, wołał:

— Nie damy się! — nie damy!... Umrzemy z nim — umrzemy!... Bóg z nami!... Bóg utajony tu, w Przenajświętszym Sakramencie! Nigdy, nigdy kościoła nie oddamy! Wiary się nie zaprzemy!...



— Z drogi!... Ruszajcie!... — kipiał Naczelnik. —  
Uciekajcie do czorta, bo każę strzelać!... Won psy!... Mówię wam, won z przed świątyni!

W tem sygnaturka dworskiej kaplicy z łona zacisznego parku poczęła dzwonić na Anioł Pański, a lud klęczący złamanym głosem, niby falą wezbraną jęklivego morza, zaśpiewał z całej głębi zbiorowej męczeńskiej duszy:

Bogarodzica Dziewica, Bogiem sławiona  
Maryja, u Twego Syna hospodyna  
Matko zwolona  
Maryja ziści nam, spuści nam,  
Kyrie elejson Twego Syna  
Chrzcziciela zbożny czas...

Naczelnik skoczył w bok, skoczył w tył:

— Drugi raz wzywam was, rozejdźcie się — wrzeszczał — bo spadnie na was krew wasza i dzieci waszych.

A zwracając się do wojska, dodał:

Za broń!

Ale lud ani słuchał, ani wiedział i śpiewał bez przerwy:

Usłysz głosy, napelnij myśli człowieka,  
Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy,  
Daj na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebyt,  
Kyrie elejson!

Żołnierze, na komendę swych oficerów rozstawieni wszerz, byli już w pogotowiu. Pierwszy szereg przykląkł na jednym kolanie, mierząc lufami do wyznawców. Drugi rząd ziejących luf sterczał ponuro nad pierwszym.

— W imię Najjaśniejszego Pana, po raz trzeci i ostatni wzywam was, rozstapcie się!

A do żołnierzy:

— Cel! — krzyknął.

Lud śpiewał:

Narodził się dla nas Syn Boży,  
W to wierzaj człowiecze zbożny,  
Iż przez trud Bóg swój lud  
Odjął dyabłu z straży!...

— Pal! — zawył Baron.

Zagrzmiał rotowy ogień przeciągle ....raz — i ustał. Kilkunastu ludzi runęło! Baron patrzył skwapliwie, czy reszta nie ustąpi.

Rzadsze i słabsze były głosy, które po nad jękiem rannych i dogorywających śpiewały jeszcze:

Śmierć podjął, wspominał człowieka pierwszego,  
Jeszcze trudy cierpiał bezmierne,  
Jeszcze był nie przyśpiał za wierne,  
Aże sam Bóg zmartwychwstał.

— Pal! — powtórzył dziko Baron.

I po raz drugi zionęła śmierć z luf dwustu karabinów. Już dwa głosy tylko, głos męski i głos kobiecy wznośli się nad dyszeniem konania i warczeniem bólu:

Dla ciebie, człowiecze, Bóg dał przekłuć sobie  
Bok, ręce, nodze obie,  
Krew święta szła z boku, na zbawienie Tobie!...

— Na bagnety! — odezwał się pułkownik.

Tłuszcza żołnierstwa rzuciła się naprzód i rozniosła ostatki niedobitków.

Jak podcięte kłosa, padały szeregi ofiar, same się układając w tragiczne snopy zakłutych ciał. Pośród tych zdrętwiałych owieczek, poddających się na rzeź bez oporu, byli tacy, którzy szalem rozpaczy opętani bronili się do ostatka, bez najmniejszej nadziei ocalenia.

Chwyтали gołemi rękami za ostrza bagnetów, owijali się wokół napastników jak węże, wytrącając im broń z garści, gryząc, drąc i dławiąc nieprzyjaciela, dopóki zadżgani nie

padli z nim pod ciężarem zmarłych druhów przytłaczających im nogi i walących się na nich kolumn *arriere-gardy*. Byli wreszcie tacy, którzy oblędem strachu zdjęci, ranni czyli cali, udali się do ucieczki; zrazu strzałami ścigani, później biorąc dudnienie własnej krwi w tętnach i w uszach za huk pogoni, biegli bez pamięci, kto do chaty (gdzie w konwulsyjnej panice po ciemku, zaryglowawszy drzwi, pod ławą lub w alkierzu szukali schronienia), kto do lasu, kto w pole, kto wprost przed siebie w świat, dopóki nie odeszły siły lub zaskoczyli obcy ludzie o kilka mil odległości.

Byli inni, którzy śmiertelnie postrzeleni, zdołali zbiedz i złożyli kości pod jaką naddrożną burta lub poprostu na środku gościńca. Jednego pod dalekim znaleziono krzyżem.

Równocześnie co żyło we wsi, zrywało się ku placu boju. Pozostawieni w domu chorzy, kalecy, kobiety, dziady, dzieci z chałup się wysypały, odważniejsi docierając do krwawej mety, inni kryjąc się za płotami i drzewami, za węglem budynku lub na dnie głębokiego rowu, aby śledzić wilczym wzrokiem i wyteżonym słuchem ohydny przebieg dopełniającej się hekatombi. Były matki, były narzeczone, które nadbiegły na czas, aby paść przy swoich i podzielić ich los. Z dalszych zagród przybiegły równie bohaterskie niewiasty już po dokonanej rzezi, które daremnie śmierci wzywały, przeklinając na głos oprawców i nadstawiając im brzemienne łona do ciosu.

Przed kościołem, gradem kul zeszeconym, sześćdziesiąt trupów leżało bezładną masą; ci twarzami do góry, z bielmem na oczach szeroko otwartych, tamci czołem do ziemi. Martwe ręce oplatały ciała bez duszy; dłoń w dłoni broczył we krwi ojciec z synem, brat z bratem, kum z kumem. Między zwłokami rzucały się w bezwiednej agonii żyjące postacie, wyrzywały się jęki z rozprutych piersi, białe chusty kobiet, sterczały niemowlęce rączki, wiły się członki porąbane, syczały usta tężcem bólu skórczone.

— Ślusarza! księdza! — wołał pułkownik, rozgorączkowany własnym dziełem i odpowiedzialnością.

Zjawił się ślusarz, kozak z latarnią i pop, na twarzy którego zaciętość walczyła o lepsze z przerażeniem. Kilka uderzeń młotem na żelaznym dłucie, a zardzewiały zamek z hałasem wyleciał z odwiecznych wrót. Po ciepłych trupach przeszli pop i pułkownik, a za nimi żołnierze z czapkami w rękę, znacząc kamienną posadzkę domu Bożego krwawą posoką swych stóp.

Już zapadł zmierzch zupełny, ciemność pokryła potworne czyny ludzkie, a ciche łzawe gwiazdy wystąpiły nad sprofanowaną cerkwią na czystym niebios szafirze. Na zastygłym trupie Rusia, wysuniętym naprzód od zbitego pomostu ciała, leżał chłopiec żyjący, bosy, w płótno odziany i namiętnie się tulił do zmarłego, całował krzepnące rysy jego, a jasne włosy dziecka mieszały się z siwizną starca.

— Oj dziadku, mój dziadku ty najmilszy, mój dobry, mój słodki, mój święty — zawodził biedak — obiecuję Ci i przysięgam tu, tu przed tym Bogiem i tą Panią Najświętszą w kościele, i na te złote gwiazdki co nam z nieba świecą, i na pamięć i na tę krew naszą tu niewinnie rozlaną, że nigdy, nigdy nie będę perekińcem, nigdy, nigdy wiary nie zdradzę... nie!

W tej chwili wychodził z kościoła baron w towarzystwie popa, zostawiwszy liczną wartę w cerkwi, a silny patrol dokoła. Kozacy ściągali z nieboszczyków sukmany, buty i srebrne obrączki ślubne. Ślusarz zmierzał do kuźni z zamkiem kościelnym w rękę, baby z przeraźliwym pisaniem i biadaniem odszukiwały swoich bliskich w stosach zabitych i rannych. Biły i drapały żołdatów, którzy dotąd nie dostawszy wódki ani jada, nie bardzo chwacko wyglądali, a raczej wstydzili się trochę swej roboty. Niektóre niewiasty, za pomocą młodszych chłopaków, wynosiły już na płachtach to trupy, to bezwładną zamierającą postać.

Z jakiejś wsi sąsiedniej, gdzie jeszcze nie wiedziano o niczem, przypisując wojskowym manewrom ogień rotowy często na Podlasiu słyszany, jesienna ligawka rozlegała swe smętne tony, rozdzierając na kilka mil dokoła czyste powietrze nocne. Naczelnik potknął się na trupie Sylwucha

i na leżącej postaci Wiktora. Chłopak zerwał się jak wściekły, skoczył pułkownikowi do gardła jak kot, a sycząc z bólu i gniewu, pluł mu w oczy:

„Przeklęty!... Przeklęty! Przeklęty!...“ I drobną pięścią uderzył go z całej siły w twarz. Potem puścił, zwinął się w kłębek i przepadł. Baron strzelił, ale noc zasłoniła zarówno i srom barona i osobę zmykającego chłopca. Jak w cwał przyleciał do Pratulina, tak w cwał powracał do Hunnej, biedny krwią zbryzgany wyrostek; wracał sam jeden z widmami w oczach i dreszczami w kościach, do osieroczonej wsi, rodziny, chałupy, na progu której nazajutrz rano znalazła go zemdlonego matka.

Z parku dworskiego w Pratulinie o jakie dwieście kroków od pobojowiska wyszedł młody człowiek. Dziedzic. Stał pod lipą nie opodal cerkwi i patrzył długo na plac dokonanej zbrodni. „Mój Boże, mój Boże — biadał — jaki straszny świat twój!“...

W zdobytej plebanii pułkownik posepnie leżał ubrany na łóżku, nie mogąc usnąć i układając w myśli kłamlivy protokół do raportu. W izbie obok popi i oficerowie, nad wódką półgłosem rozprawiali. W cerkwi dogasały latarnie, kozacy usypiali, kto pod ścianą, kto na progu, kto na dworze, nie daleko trupów. Sprytniejsi trafili do karczmy; regularne wojsko koczowało na łące. A wiatraki i krzyże podlaskie sterzały po zastygłych błotach i bagnach, po łanach i rozdrożach. We wsi pies wył przeciągle, bity odchodził dalej i z pyłkiem wzniesionym do góry, zdawał się wołać i wołać o pomoc nie do ludzi, ale do Stwórcy tych ludzi... Kobieta, która pod strzałami ostatnia śpiewała pieśń Bogarodzicy, przy boku nieżywego męża, tknięta nagle pomieszaniem zmysłów, weale też śpiewać nie przestała, ani się z miejsca nie ruszyła, lecz huśtając się łagodnie nad sztywnymi członkami małżonka, wtórowała ligawce dalekiej i psu we wsi zawodzącemu.

Wierz-że w to człowiecze iż Jezus Chryst prawy,  
Cierpiał za nas rany,  
Swą świętą krew przelał za nas chrześciany,

Maryja Dziewica, proś Syna Swego,  
Króla Niebieskiego,  
Aby nas uchował od wszego zlego. Amen!

.....  
.....  
Dwadzieścia lat minęło — nie się nie zmieniło.

Kobieta była młoda i piękna, dziś stara i przerażenie budząca. Jak duch pokutujący czy błagalny nieszczęśliwej Unii, chodzi ona po mrozie i skwarze, po drogach i miedzach Podlasia, po wsiach i miasteczkach, po chałupach, po dworach i po urzędach, o żebranym chlebie, w obdartych łachmanach; oczy jej szklane, nie widzą nie przed sobą ani w sobie, prócz jednego obrazu... Pratulńskiej krzywdy!... I śpiewa bezkarnie wobec rosyjskich władców, śpiewa rozdzierająco wobec bezbronnej braci, ach! śpiewa, może nie bezowocnie, choć my owocu tego nie widzimy wobec Boga uwięzionego w schizmatyzowanej cerkwi:

Boga Rodzico Dziewico  
Bogiem sławiona Maryjo!  
Proś Syna Swego!  
Króla Niebieskiego!  
Aby nas uchował od zlego! Amen.

#### IV.

Rok 1874.

K..... na Podlasiu 29 października.

W I... stoi wojsko.

Spędzono włościan ze wsi naszej i wszystkich wsi okolicznych, aby ich „nawrócić“ na schizmę. Wszyscy odmówili. Mężów, kobiety i dzieci „opornych“ kolejno kładą na śniegu i biją; biją nahajkami, biją do krwi, biją do połamania kości, biją na śmierć. Ksiądz unicki, ojciec wielu dorosłych synów, kapłan bez wiary, ale nie bez szczątków ludzkiego serca, Judasz bezwiedny, który lekkomyślnie podjął się dzieła apostazy... za pieniądze, dla zapewnienia szczęśliwego losu „wolnomyślnym“, głupim, brutalnym, chciwym swoim potomkom-popom i jeden z pierwszych przedzierzgnął swą cerkiew unicką na prawosławną, wyklęty przez konającego pod cięgami wyznawcę, ujrawszy nieprzewidziane skutki ludzkie... swojej zdrady duchowej, w stodole się powiesił.

Kozaków rozlokowano po chatach wieśniaczych „na utrzymaniu“ gospodarzy — dopóki się nie namyślą. Kozacy wypróżniają alkierze i śpichrze, pasą konie na stożkach siana, na zapasie zimowym gminy. Wyrznęli najpierw prosięta, potem warchlaki, wreszcie tuczniaki i maciory i zjedli. Teraz biorą się do krów i walców, podcinają im nogi w pięcinie — w oczach właścicieli, aby patrzyli na zmarnowanie swego dobytku. Owce już poszły; nędza zagląda w oczy nieszczęśliwym. Ale ci, natchnieni jakimś duchem rycerskim, szczytniejszym, niżli duch żołnierza na polu bitwy, niżli duch

szlachcica ginącego bez skargi w pojedynku, zacinają zęby... mileżą... udają obojętnych: „aby wróg nie widział, iż zdołał im sprawić przykrość, aby wiedział, że im miło cierpieć za wiarę“.

Rok 1875.

K..... 3 maja.

W Drelowie włościanie wzięli klucz od cerkwi, wydać go władzom nie chcieli. Ksiądz uciekł. Wezwano wojsko. Wieś cała wyległa przed świątynię, i ludność bezbronna pierśią własną ją zasłaniała. Dano ognia... zabito 18 osób, ranniono 50. Zdobyto kościół jak fortecę. Osadzono tam popa perekińca.

Przejeżdżam do siebie wczesnym rankiem z Międzyrzecza przez Drelów. Cały front cerkwi jak pierś trupa, pokaleczona kulami. Nikt do cerkwi nie chodzi, więc zamknięta i martwa jak grób. Śladów gwałtu nie zatarto. Facyaty nie pobielono. Kul nie wykruszono. „Na postrach“, jak ciało wisielca na szubiennicy, sterczy ranne ciało znieważonego Domu Bożego, świecąc czarnymi dziurami, mozaiką ołowiu, na tle strzaskanych cegieł i opadłego tynku.

K.... 13 czerwca.

Mojemu ogrodnikowi urodziło się dziecko. Nie podał do kancelaryi, nie podał do cerkwi. Sam ochrzcił. Wzięli go do więzienia.

Jestem bez ogrodnika. Z mojej służby, od pół roku, jest to szesnasty w ten sposób zabrany.

K..... 21 września.

Stefan Lewczuk w Gęsi otrzymał 300 różg za odmowę pójścia do cerkwi i za namawianie drugich do wytrwania w wierze. Leży bez przytomności.

K..... 30 października.

Ludzie wierzyć nie chcą, iż znajdują się w położeniu, przewidzianem przez Sobór Trydencki, uświęcający przysięgę

małżeńską, zwolnioną od wszelkich form, przyjętych do Sakramentu, tam, gdzie w skutek prześladowania i przemocy właściwego proboszcza niema. „Po kartoflach“ — to pora zwykła wesel.

I oto 25 par rozpierzchło się po rozmaitych wsiach, aby ztamtąd, pod wodzą „prowodjerów“, dostać się do granic Austrii, przeprowdzić się chyłkiem przez bagna i lasy, i otrzymać ślub od księży łacińskich w Galicyi. — Co z tego będzie? — Nie wiem.

Tylko zamożniejsi zdobyć się mogli na ten kosztowny sposób. Inni czekają zmiłowania Bożego.

Hanusia i Hryć zgodzili się na przysięgę przed starszą, na krzyż poświęcony, w rękach obu trzymany. Ale wesela nie wyprawili. Matka Hanusi do domu jej nie przysięła.... w oczy jej plunęła. A pan młody jakiś szorstki ze swoją młodą żoną. Patrzy ponuro z pod oka, niby pogardliwie, na nią. Ona wylekniona, zawstydzona, oczu na ludzi podnieść nie śmie. Niektórzy się śmieją.

K..... 6 grudnia.

Zdecydowano wziąć się na ostro do „nawracania“ opornych. Wojsko spędziło ludność wiejską z dziesięciu gmin, na wielkie, zamarżnięte stawy za Rudnem. Otoczyło biedaków kordonem, sobie na brzegach rozpałiło ognie, ich zaś mrozi i głodzi od tygodnia — obiecując puścić do domu a nawet obdarzyć indemnizacją sowitą za przeszłe szkody i koszta kwaterek, skoro zgodzą się i podpiszą. Co parę godzin pop i urzadnik zbliżają się do nich i kuszą, a oni wszyscy, wszyscy jednogłośnie, jednomyślnie, mówią: „Nie“, i mileżą. Niektórzy przezorniejsi opatrzyli się w węzłki z chlebem, kawałkiem sera lub słoniny i tem dzielą się po kruszynie z rzeszą kilkutysięczną. Dlatego żyją jeszcze. Mrozu mamy — 12°.

K..... 10 grudnia.

Na stawie zamarżłym, obłożonym kozakami, ludzie pokładli się pokotem, grzejąc się jedni o drugich. Jedna ko-

bieta porodziła niemowlę: matka i dziecię zmarli. Kilkunastu ludzi zemdlało. Stary Maciej wyzionął ducha. Dzieci przeżajają kaszlą i płaczą. Kilku ojców poczęło szemrać i wyzywać. Tych oddano pod różgi: jeden wyzionął ducha, tamtych okuto w kajdanki i uprowadzono. Mnóstwo kobiet majaczy w gorączce. Wszyscy chciwie chwytają śnieg i piją. Podobno pragnienie gorsze, niż głód. Mróz podskoczył na — 15°.

K..... 13 grudnia.

Dziwna rzecz się stała. Hordej Wasilczuk, dotychczas najcichszy i najpokorniejszy, nagle wpadł w furę. Począł lżyć i przeklinać. Chciano go pojmać, lecz stał się tak straszny, iż nikt z żołnierzy nie chciał pierwszy do niego przystąpić. Kotoff chciał dać rozkaz strzelania, lecz urzadnik usiłował jeszcze raz do ludu przemówić. Powiedział: „Co czynimy, nie czynimy z własnej woli, ale z woli Najjaśniejszego, najmiłościwiej nam panującego Cara Wszechrosyi Aleksandra II“. Wtedy Hordej ryknął: „Łżesz! Gdyby to był rozkaz Monarchy, toby już nas nie było, tobyście nas już wszystkich byli zgładzili, jak psów! Ale to wy, psy, chcecie Najjaśniejszego oszukać, wmawiać mu, że my się buntujemy — co jest nieprawdą — aby z nas skórę drzeć bezkarnie i za to jeszcze otrzymać nagrodę. Ale on się dowie! Nasze pany widzą i mają gębę, a nie jeden ma przystęp do niego, a ty nie! Zaprząć! chamie!“ Poczem posiniał na twarzy, z ust mu buchnęła krwawa piana — i zmarł.

A oni się zlekli i poczęli się naradzać, że jeżeli taki chłop o tem wie, to i drudzy wiedzą, i może naprawdę cała rzecz stanie, jak była, przed obliczem cara. A tu już ludziska wszyscy skostnieli, wszystkich piersi wydawały rżenia, a flaki grały w zapadłych brzuchach. Szał głodu i przemrożenia mózgi wszystkich ogarniał. Byliby wszyscy pomarli, a zasługi nie będzie żadnej, tylko wstyd, bo żaden, żaden na prawosławie się nie zgodził. Więc trąbki zagrały i dano hasło do wymarszu i wojsko opuściło miejsce.

A oni biedni długo jeszcze, długo, bez ruchu trwali, przytuleni — kto na kuczkach, kto powalony — na tym lodzie, gdzie przekoczowali dwanaście dni i nocy.

Nareszcie któryś silniejszy, przytomny, zawołał na nich: „Ludzie! wstawajcie! Odstąpili nas!“ I powoli, leniwie, przeciągając się w okropnych dreszczach, niektórzy powstali, jęcząc i płacząc, i starając się drugich budzić i podźwignąć. Ale wielu już było usnęło snem wiecznym, inni wlekli się na kolanach, niezdolni stanąć na nogi. Ten miał odmrożone ręce, ten nogi, uszy albo nos. Kobiety teraz z cicha lkały, wiedząc, że już wróg nie zobaczy, nie usłyszy.

Nadjechaliśmy z fornalkami i zabrali omdlałych. Trupy złożono rzędem, a włościanie wsi niektórych, którzy przed branką uciekli gromadnie w las i zdrowi byli, przyjechali z prowiantem dla żywych, a nieboszczyków zabrali na swe jednokonne wózki, aby je w nocy pochować po Bożemu. I złożyły się gromadki z różnych gmin, i szare, obdarte, bezkształtne masy szmat i kożuchów pociągnęły każde w swą stronę.

A władze, zrozpaczone, iż istotnego „nawrócenia“ ludu donieść nie mogą do Petersburga i otrzymać za to odznaczenia, orderów, tytułów, wyższej rangi i wyższej pensji, zwołali mianowanych przez siebie w nieobecności ludzi wójtów, sołtysów i ławników, z moskiewskimi pisarzami na czele (u których wójt perekinieć był jakoby sługą pańszczyźnianym), spisali wszystkie nazwiska rodzin każdej gminy do księgi ludności prawosławnej, wpisali dziatki niepodane do kancelaryi i w cerkwi niechrzczone na „podumajkę“ pod imionami zmyślonymi jako chrzczonej i podanych, zapisali jako bezżennych i w nieprawych węzłach żyjących i nieprawe dzieci rodzących wszystkie stadła w Galicyi skojarzone, zapisali jako zmarłych na epidemię tyfusu wszystkich zabitych mrozem, głodem i pod nahajkami — i statystykę takową wysłali do Petersburga, donosząc, że kraj uspokojony, że naród przeszedł dobrowolnie na łono pierwotnej religii, świętej, prawosławnej, podając jeszcze prośbę o zapomogę pieniężną na „zbyt małe a przepelnione cerkwie i na szkoły

potrzebne dla umacniania wiary i szerzenia światła wśród wyrastających pokoleń nawróconego ludu“.

Więcej lgać nie śmieli. Bali się zbyt rażących kontrastów w razie odkrycia.

Rok 1876.

12 stycznia.

Wsie opustoszały.

Ludność pozostawiła swe zrujnowane zagrody na pastwę Kozakom, którzy, pożarliszy wszystko, znęcali się nad mężczyznami i zabrali się do plugawienia kobiet i dziewcząt. Wyznawcy zaś jedni dotarli do puszczy Rożańskiej i Białowieskiej, do błot Pińskich, na wyspy i w knieje. Drudzy obozują po lasach naszych. Ustawiają szałas, namioty ze skór i kilimków, w dzień zapalają skromne, niewidoczne ognie. Po nocach tulą się w opuszczonych szopach, leśniczówkach, strażnicach, kopią sobie doły w ziemi, zalegają puste klasztory i trupiarnie, zaprzędając nam za gotówkę lub za kaszę, mąkę i kartofle, dniie robocze przyszłego lata. Za najmniejszym alarmem rozbiegają się. Żyją jak dzieci, jak pustelnicy, jak chrześciance pierwszych wieków prześladowania — za Nerona i Dioklecyana.

Służba folwarczna, ze względu na nas, nieco mniej jest trapiąca, to też łatwo bardzo o parobków i dziewczki.

Wyjeżdżam do Rzymu, wstąpię do Krakowa. Podano mi paręset imion i nazwisk ludzi, ślubami związanych nad granicą, i dzieci, potajemnie zrodzonych i ochrzczonych, abym im przywozła austriackie akta ślubu i metryki. Proszą też o krzyże i medaliki z odpustami na godzinę śmierci, o katechizmy, abecadła i książeczki do nabożeństwa, o relikwie św. Jozafata, patrona męczenników Unii. Frankowski jest ich zwykłym posłem i dostawcą. Ja teraz stałam się jego nieznaną, nowomianowaną pomocnicą.

15 maja.

Wróciłam. W Rzymie daremnie prosiłam kardynała Jacobiniego o otrzymanie zezwolenia, aby kto z Unitów może, przeszedł na obrządek łaciński.

On mówi, że Unia, to żywa ofiara Kościoła, to pomost do zbawienia milionów Rosyan.

Przywiozłam 6 krzyżów, udzielających odpustu zupełnego na godzinę śmierci, po użyciu krzyża choćby do stu po kolei konających. Ale krzyże mają „pozostać w rękach duchownych!“ Nikt pojąć nie może, iż dla nas to prawie ironia. Duchownych gdzie tu szukać? W ich braku właśnie, prosiłam o takie krzyże! Proboszczowie łacińscy się boją. Misyjonarze-Jezuici popadli w ręce moskiewskie i pomimo obco-poddaństwa, gniją w podziemiach cytadeli warszawskiej. Duchowni unicy, jedni perekińcy, dziś popi, drudzy wywiezieni na Sybir, inni zbiegli zagranicę.

Oddałam krzyże do kapelana prywatnego szpitalika ksiąząt Cz. w M...., ale zdaje mi się, że tam leżeć będą bez pożytku. Wszak siostrom wyruszać z domu nie wolno, pod zarzutem, że „jeżdżą, spowiadają i śluby dają Unitom!“ (*sic*).

Przywiozłam na piersiach 160 metryk i aktów ślubnych, po kieszeniach 200 medalików i 100 relikwii św. Jozafata z dyplomami, a spodnicę miałam podszytą 50-ma egzemplarzami: *Parafii bez pasterza*, czyli nauki obrządków: chrztu, aktów pokuty, skruchy doskonałej w godzinie śmierci, pogrzebów bez księdza, żywych różańców, przysięgi małżeńskiej przed starszyzną, skróconego katechizmu dla dzieci — i łączenia się duchem z ofiarą Mszy św., gdzieś daleko odmawianej.

Myślałam, że się oberwę. Książeczki były oprawne, a bałam się zdrzeć oprawę, aby się wszystko nie rozsypało. Miałam ze sobą służbę unicką: dziewczynę, dwóch chłopaków, stangreta i lokajczyka. Przewiozłam ich za paszportami austriackimi, bałam się, żeby się nie wydali. Chłopców w Krynicy przygotowano do spowiedzi i Komunii św., dziewczyna wstąpiła za konwerskę do Felicyanek. Pozwolono jej wyjątkowo przejść na obrządek łaciński dla spełnienia powołania.

Dowiadując się, że dwóch „nowożeńców“ ze wsi naszej zastrzelono przy przejściu granicy. Jednego wzięto i zaginał bez śladu. Żona jednego z zabitych zwaryowała. Inna panna

młoda dostała zapalenia płuc i umarła. Są też u nas po lasach księża niegodni, zdziercy, którzy tak grubej zapłaty żądają za danie ślubu, że biedniejsi ludzie wydzierżyć nie mogą. Niemoralność się szerzy. Nieślubnych dzieci coraz więcej. Wolą grzech życia na wiarę, niż to, co mianują świętokradztwem.

Wreszcie pojawili się oszuści, jeden kowal, drugi kominiarz, którzy udają księży pod grozą cytadel wędrujących i dlatego niemających dowodów, ani stule, ani naczyń świętych; ci dają „śluby“ za zniżoną cenę!!!

Ludzie po części wrócili do swych wsi. Kozacy natłukli wielu po lasach, ale później, nie mając co robić, co łupić, ani co jeść, wycofani zostali z opustoszałych zagród. Ludzie, na „ryzyko“ zakupiwszy ziarno „na odrobek“, obsiewają swe pola i wychowują prosięta na wieprze, cieleta na krowy.

Kiedy to wszystko dorosnie?!

23 września.

Wczoraj wieczorem zapukał do mnie Iwan i prosił o skrzynkę po gwoździach. Dziecko Saweczków umarło. Wczesnym rankiem mieli je chować na burcie katolickiego cmentarza w Y....

Złożyli ciało w skrzyneczkę, skryli pod zbiórkę leśną na wozie i z eicha zawodzącym głosem przyśpiewywali mu od wsi do krzyża na granicy lasu.

Więc nasza, to całe szczęście, nie miała nigdy ani cerkwi, ani kancelaryi.

Pojechał dalej wóz samotny, wieziony przez ojca, a matka szlochala, tuląc trumienkę w ramionach, koląc twarz i czoło o sterczące gałęzie zbiórki. Ludziska wrócili do domu.

Wóz toczył się i zataczał, wioząc skrzyneczkę po wybojach drogi leśnej, pluskał się w kałużach błota; krok za krokiem posuwał się ku alei topolowej, prowadzącej po za borem na cmentarz.

Lecz nie wzywany lekarz, Moskal, jakoś odkrył zgon zatajony i zaskarżył. Wypadli policjanci i żandarmi. Zrzu-

cili chrust, znaleźli szpadel i skrzynkę. Wszczęła się bójka między matką a żandarmami. Ciało kobiety miotane tu i ówdzie lgnęło do oburącz trzymanej kurezowo trumienki. Żandarm szarpał w swą stronę. Kobieta upadła. Skrzynka runęła o ziemię, pękła, a białe martwe ciało wypadło i skąpało się w błocie. Odwieźli do cerkwi.

Posłuszny ojciec byłby sam powiózł, lecz zemdlona niewiasta zerwała się i krzyknęła: „Ty go tam nie wieź! Zostaw wszystko — umykaj!” I zniknął. A ona zdała, potykając się, brnęła w błocie, nie tracąc z oka wózka. Świtało. Niebo było szare. Ptaszki gdzieś w gęstwinie świegotwały.

Zbudzono popa, perekińca, syna wisielca-samobójcy. On wylazł leniwie — i patrzył. Ujrzał zbloczone martwe ciało, pękniętą skrzynkę, szpadel, obwisłą frendzlę chrustu u boku drabinek. Ujrzał opile, dumne twarze żandarma i strażaków, i nagle oczy jego spotkały wzrok matki... dyszącej, zbloczonej, skrwawionej, z rozciętą skronią pod uderzeniem kantu trumienki. Spojrzał w głąb tej niemej niedoli — on, ojciec zdrowych i szczęśliwych dzieci, dla których dobrobytu zaprzedał swą duszę, a ojciec oddał zeszczone życie.

I coś ludzkiego ozwało się w podłej duszy perekińca, coś, o czym... Boże miłosierny, kiedyś nie zapomnij! Spojrzał twardo, sucho, gniewnie, pogardliwie na ten obraz nędzy i rozpacz. Rzekł: „Pocoście mi tego poganina tu przywieźli? Wszak on w cerkwi nie chrzczony! Zabieraj go sobie, kobieto!” Odwrócił się plecami, postać chwilkę i znikł w przedsiönku plebanii.

A żandarm i strażacy spojrzeli po sobie. Rzekł starszy: „O tem trzeba donieść do powiatu”. A tamci pokiwali głowami, mrużąc: „No — no” i konia z wózkiem i skrzynką zabrali.

Matka porwała ciało białe na ramiona. Martwa główka opadła jej po za plecy — jęła za szpadel i z krzykiem tropionego zwierza, niedźwiedzi broniącej swe małe, nagłą siłą niesiona, popędziła ku cmentarzowi samotnemu, ku ziemi święconej, ku zbawieniu!

31 października.

Straszne są skutki ustroju administracyjnego naszych stron.

Jesień zimna i dżdżysta; wybuchła szkarlatyna, odra i dyfterya między dziećmi. Obawa popa i schizmatyckiego pogrzebu skłania ludzi nie tylko do stronienia od lekarzy-denuncyatorów prawnych, ale do ukrywania się z chorobami, w przewidywaniu konieczności ukrycia śmierci. Epidemie szerzą się i wymiatają całe niemowlęce pokolenie, całe domostwa osierocając. Najpospolitsze zasady higieny są systematycznie pomijane, a gdy śmierć nastąpi — czy aby śmierć! może letarg lub omdlenie — w przeciągu dwóch godzin włościanie wywożą i grzebią (zanim się władze dowiedzą)... trupy?... czy uśpionych i chorych?... A dzieci zdrowe zastępują zmarłych i chorych w zakażonej pościeli, aby zamydlić oczy czyhającym strażakom. Stąd wynikają potem kryminalne procesa i ciężkie a względnie zasłużone wyroki: boć przecież wszędzie znajdują się zli i interesowani ludzie, a tu jakaż kontrola otruc, gwałtów, możliwych zbrodni wszelkiego rodzaju?

W innych krajach są misye, rekolekcyje, podnoszące ducha nabożeństwa i nauki, cywilizacyjne szkoły, spowiedź, Sakramenta, opieką otoczone małżeństwa, prawem zabezpieczone dzieci z pierwszych małżeństw powtórnie ożenionych wdowców, a jednak — jednak bywają potworne występki, okropne nadużycia. A tu nie słabszych i łatwowiernych nie osłania przed przemocą siły i chciwości. Lata mijają — co z tego będzie!?

Rok 1877.

K..... 17 sierpnia.

Wojna. Wojna turecka. Branka już nie tylko rekrutów, z pominięciem przywilejów jedynaków i synów starszych, ale mobilizacya rezerwistów. Wzięto moc ojców rodzin i mężów, między innymi męża Hanusi. Ich dziecko zmarło. Ona się zgłosiła do służby u mnie — nie wiem, czy przyjąć ją,



czy nie? To tak dziwne, strwożone sumienie, to tak niezbite przekonanie, że jej małżeństwo, ślub przed starszyzną jest grzechem i świętokradztwem. Cała równowaga tej duszy zburzona. Raz mistycyzm, drugi raz cynizm i zubożenie. Może być, że da się wyrzucić na nią dodatni wpływ — spróbujmy!

Rozgrywają się sceny dziwne. Ludzie przysięgać nie chcą przed popem na wierność carowi i na posłuszeństwo w wojsku. Władze, przerażone systemem rosyjskim, szukają wybiegu. Kazań się ludziom zbierać o zmroku. Pop siedzi z naczelnikiem wojennym pod wystawą kancelaryi. Latarka rzuca światło na ich twarze, a rekruci stoją w cieniu. Pop czyta rotę przysięgi, a ludzie rzekomo podnoszą palce — ale nie podnoszą — poczem oznajmniają im, że są zaprzysiężeni. Jeden głupiec stanął jakby na złość w świetle i palcami pokazał figę. Tłum młokosów począł chichotać. Nie było sposobu skandalu zataić. Potrzeba było kozła ofiarnego.

Rzucono się na niego, spętano — gdzieś wywieziono, prawdopodobnie doraźnym sądem wojennym osądzono i stracono. Chłopak przepadł. Naród tak przywykł do cierpienia, że z pewną obojętnością patrzy na brankę swych synów, braci, mężów, ojców — na wojnę. W porównaniu z tem, co się tu dzieje, możliwość śmierci lub kalectwa na polu bitwy zdaje się niczem. Jedyna obawa to to, że pędzić zechcą do cerkwi i do schizmatyckiej spowiedzi, a oni — zdecydowani do oporu.

12 listopada.

Kaplica nasza łacińskiego obrządku, piękna prywatna, w pałacowym ogrodzie, pozbawiona kapelana od r. 1871, zamknięta zupełnie w r. 1872, aby broń Boże przy nas służba unicka się nie modliła, wystawiona jest na wielkie niebezpieczeństwo. Cerkwi niema we wsi naszej. Straszą wciąż, iż zechcą zabrać naszą kaplicę na cerkiew. Ależ to niepodobna! Ona stoi w ogrodzie, tuż przy dworze. Na froncie Matka Boska Częstochowska i napis: „Królowo Korony Polskiej módl się za nami!“ Odesłałam kamień mszalny z relikwiami Świę-

tych do Radzyna, statuy św. Józefa i św. Józafata do Warszawy. Resztę sprzętów kościelnych zabrałam do pałacu. Łańcuch odczepiłam od dzwonnicy.

Pleśnią porastają mury. Jaskółki co wiosna zlatują się, tłuką szyby, obrały sobie w niej mieszkanie. Za nimi poszły gołębie i sowy. A tu reperować nie wolno. Nocą więc założyć każę kraty i druciane siatki, zastąpić drewnianą, zmurszałą posadzkę brukiem ceglany, dreny wpuścić dookoła, zieleninę zeskrobać, ściany farbą olejną pociągnąć. A gdyby niebezpieczeństwo wzrosło, każę złożyć tam narzędzia gospodarcze, niby skład potrzebny, nie mogący być oddany na cerkiew. Boże! Boże!

Rok 1878.

K..... 20 maja.

Mąż Hanusi na wojnie zabity. Przyszło urzędowe zawiadomienie. Ona dość spokojna. Chce jechać ze mną za granicę, niby to czuje powołanie do klasztoru.

Ja nie bardzo w to wierzę. Zdaje mi się, że czuje ulgę z tej śmierci, że chce zacząć życie nowe, byle jakie, jak ktoś wyzwolony z niewoli przyjętego chronicznego grzechu. To stan niezdrowy, nie ludzki, nie chrześcijański.

Wezoraj do wsi naszej wkroczyła sotnia zbuntowanych Muzułmanów Azyatów, zgraja nieregularnego wojska, zesłana bez dozoru do „zbuntowanego kraju Lachów“. Oni po rosyjsku nawet nie mówią. Gwałty popełniają, chaty podpalają, siedzą na kuczkach wschodnim obyczajem na środku szosy, paląc fajki: trzeba ich objeżdżać albo rozjeżdżać! Modlą się wieczorami po muzułmańsku, z twarzami zwróconymi do zachodu słońca. Tańczą jakies „fantazy“, odziani w purpurowe płaszcze. Wypasają łąki i owsy swemi konikami, rzną cudze barany i pieką, gonią za kobietami z gminu i wyrywają brody Żydom. Assaul kozacki na ich czele tłómaczy się po rosyjsku. Uważa nas za kraj zdobyty, a wiarę naszą za wiarę zakazaną i pogańską, taką jak wiara jego muzułmańskich poddanych, którzy go zresztą nie słuchają i wygrażają mu się

kindzałami. Spełnili jakiś rabunek u popa, więc przyszło regularne wojsko i skarło ich dotkliwie. Oprócz plag, otrzymali karę, podobno dziwnie bolesną. Wiąza im ręce z przodu, dociągają łokcie w tył, ile się da, przeprowadzają przez trójkąt dwóch w ten sposób wyprężonych ramion tyle karabinów, ile wejdzie: 4 — 5, zmuszając kość pacierzową do wgięcia się ku przodowi, tworząc wcięcie ostre nad krzyżem. Kilka godzin tej męki i tego dźwigania ciężaru, łamie najwytrwalszych. Najpierw pot zimny występuje na czoło, potem ból, jęk, wreszcie omdlenie.

Nasi ludzie patrzą na to z trwogą, zdając sobie sprawę, że na nich rząd nie wypróbował jeszcze całego zasobu swych środków udręczenia.

Semen Pazur, obłąkany chłop, pośmiewisko wsi, pijak i dawny kryminalista, raczej z lekkomyślności niż ze złości przystał bez obawy do intruzów. Śpiewa z nimi, płacze i opowiada im po rusińsku nędze i biedy okolicy prześladowanej. Oni nie rozumieją, lecz kiwają głowami z sympatją, z uszanowaniem wschodnich ras dla naznaczonych od Boga szaleńców, a także z uczuciem takim, jakie się zwykło mieć względem psa, który sobie nas za panów obiera.

3 grudnia.

Jakiś niezręczny zagraniczny ksiądz pod pozorem szukania dzierżawy przybył do mnie, prosząc o gościnność. Apostołował dokoła, bez wzbudzenia zaufania u włościan. Gdy mu powiedziałam, że mnie ostrzeżono, zbiegł i zamieszkał u gospodarza w Gęsi. Tam krył się już Jozafat Spuś. Człowiek ten został wywieziony na Sybir na samym początku akcji przywrócenia Unii do kościoła schizmatycznego.

Spuś był łagodnym marzycielem. Odwaga i bohaterskie apostołstwo jego ku nakłanianiu wiernego ludu do wytrwania w swej religii, obudziło się w nim w chwili niebezpieczeństwa. Tak samo po cierpliwej pracy przez szereg lat na wygnaniu, zniemacka znalazł w sobie otuchę do przedsięwzięcia najeżonej nadludzkimi trudnościami ucieczki i powrotu do kraju. Przebył pieszko o żebranych chlebie, bez papierów,

bez obuwia, bez grosza, pod ciągłą grozą schwycenia przez patrole, obiegające Sybir w pogoni za zbiegami, setki i setki mil bez dróg ani drogowskazów, bez bussoli i bez życzliwych ludzi do wskazania mu kierunku lub ukrycia go przed wrogiem. Przebył rzeki krą pływające, zabójcze wichry podbiegunowe i zamiecie śnieżne, mrozy takie, przy których nikt głowy za próg nie wychyla, a ciało odpada po kilku uczynionych krokach. Przebył błota wiosenne i skwary letnie. Z całą prostotą przybył do kuma w Gęsi, osiadł za piecem, lichemi okruchami strawy się żywił. Noce spędzał na modlitwie, w dzień nawlekał koronki na druciki, lepil figurki Świętych z gliny lub nożykiem z drzewa je wyrzeźbiał. Wieczorami śpiewał cudne pieśni i przemawiał do młodzieży, która skwapliwie się zbierała, aby nauki jego słuchać. A że był skromny, w siermięgę odziany, niepokazny i do wszystkich podobny, że z chaty nie wychodził i po miejscach zbiegowisk nie świecił, uchodził niepostrzeżony.

Na nieszczęście przybył nietaktowny, niedoświadczony Misyonarz zagraniczny, ściągnął na siebie uwagę i skompromitował wielu ludzi. Nastąpiła rewizja i aresztowanie całego domostwa. Odkryto Spusia i zamknięto do czasu, gdy z nową partją wysłańców popędzą go napowrót na Sybir.

Dom, w którym się czaił, posiada już swego rodzaju pustelnika z Assyżu, a raczej Benedykta Labre. Jest nim Wasyl Brzeziak. Ten dobrowolnie rozdał małoletnim dzieciom pod opieką wuja całe swoje mienie, choć w sile wieku chłop, mógłby jeszcze sam przez długie lata gospodarować. Uczynił ślub czystości, wspólnie z żoną, młodą jeszcze kobietą, która do rodziców swych powróciła i żywot pustelniczy posługaczki tam pędzi. On, błądy mistyk, o głębokich płonących oczach, dni spędza zatopiony w rozmyślaniu, postach i umartwieniach wszelkiego rodzaju.

Do niego to Spuś jak do siebie przywędrował, a włościanie, rzekomo praktyczni i o dobra materialne dbali, nie tylko nie do zarzucenia jemu nie mieli za obrany przez niego sposób życia, ale cenią go i czezą jako błogosławieństwo i świętość swoją.

Rok 1879.

K..... 4 czerwca.

Przechodziłam dziś drogą przez wieś, dla niesienia pomocy pewnej dziewczynie, dotkniętej dysenterią. Zarządziłam kąpiel, posłałam po wannę, koce, leki.

Wracając do domu usłyszałam podniesione głosy, lamentacye, protesty. Wójt z dwoma strażnikami stał przed jedną z chat i po rosyjsku lajał. Kobieta zawodziła.

Zbliżam się i pytam, co się stało, a ona łamaną ruskopolską mową woła: „Jaśnie Pani Dziedziczko! Takie oszczerstwo! Takie!... Aby się tylko przyczepić i człowieka zgubić!“ — „O cóż chodzi?“ — „Oni mówią, że ktoś tu u nas umie pisać!... Na Rany Chrystusowe! to kłamstwo! Jezuniu najmilszy! Odczepcie się od nas!... Bóg mi świadkiem, nikt... ani ja biedna wdowa, ani dzieciśka niewinne, czytać ani pisać nie umiemy“. — „Nic nie rozumiem“. Zwracam się oczyma ku „władzom“, które nieco zmieszane, niby zawstydzone, ale przybierające dobrą minę, stoją i patrzą przed siebie, chrząkając.

A baba dalej zawodzi: „Mówią tak, że ja mam karę zapłacić, bo ktoś z nas coś na drzwiach napisał, więc my buntownicy, ocytani, nieblagonadzieźni. To wróg jakiś nam na krzywdę coś namazał na drzwiach, aby myślano, że my tu piszemy, czytamy, uczymy się. Ale my niewinne sieroty, niech nas Najświętsza Panienska broni od takich grzesznych zakusów!“ I wskazuje na drzwi, gdzie któreś z dzieci kałkiem białej kredy, przez przechodzącego „Węgra“ zgubionej, nabazgrało jakieś sznirklesy, coś na kształt powikłanej peruki z zakreconym jak u świni ogonkiem.

Patrząc znów zdziwiona na „władze“. „Co wy od tej baby chcecie? Ja nic nie rozumiem“.

„Wot — burknął wójt, uchylając czapki. — To głupia baba! niech Jaśnie Dziedziczka nie wierzy. Ot tak, na żarty, zaglądnęliśmy, czy zapalki są w bezpiecznem miejscu, czy gnój wymieciony, wot! I tak pozartowaliśmy — niechby dała

poczęstunek albo co. Haruj i haruj nieboraku za tymi chamami, aż w gardle zasechnie, a żaden za dobrodziejstwo ani kieliszka wódki nie postawi!“ — „Idźcie do dworu, do oficyny, dostaniecie wędliny i wódki, a babie dajcie spokój“, rzekłam z niechęcią.

Popędzili — a ja, rozkładając ręce w niemem zapytaniu, jaki będzie koniec europejskiego państwa w ten sposób rządzonego przy końcu XIX wieku, powoli odeszłam ku dworowi. A baba wciąż się zaklinała: „To potwarz, to wróg nam krzywdę zrządził. Nikt z nas nie umie czytać, ani pisać!“

Rok 1880.

K..... 12 grudnia.

W imię moralności Moskale rozpędzają stadła, połączone w Austrii w kościele przez księży łacińskich węzłem małżeńskim.

W imię moralności!...

Żona idzie za mężem do wsi jego. W nocy przybywa kibitka, otoczona konną żandarmeryą, zabierają kobietę, „na wiarę żyjącą z gospodarzem“, i odwożą do rodziców w drugiej wsi. Nazajutrz ona wraca do męża. Po tygodniu znów ją uwożą do ojca.

Po trzecim razie skazują ojca, całą rodzinę i ją, na przesiedlenie na Sybir. Mąż jej chce iść z nimi... odtrącają go, odprowadzają do domu, a ich poganiają.

Hryć pastuch poleciał za swoją bogdanką. Szedł i szedł sam, bez grosza, bez obuwia, bez papierów, bez środka do zaczerpnięcia wiadomości, gdzie ona i zginął. Padł gdzieś na rozdrożu, pod jakim trójramiennym krzyżem w głębi Rosyi, sam i z bezdenną tęsknotą i boleścią w duszy.

I odwrotnie bywa. Częściej nawet kobieta podąża „za wywiezionym swoim“, upada na siłach, głód ją zmaga i sen w śnieżyce, i śmierć.

Takich setkami naliczyć!

Dzieci uważane są za nieprawe, nie mają prawa do nazwiska, ani do mienia.

I, o dziwo, ci sami męczennicy, tak samo żonaci i ojcowie takich samych dzieci, w rzeczach doczesnych bywają chytry i twardzi. Korzystają z każdej śmierci kuzyni i powinowaci, aby ojcowiznę odbierać prawym, przed Bogiem i przed Europą spadkobiercom. Wyganiają wdowy i sieroty z ich chałup, zabierają grunt po nieboszczyku, jak po kawalerze-bezdzielnym, po którym dziedziczą krewni dalecy.

To samo ich czeka w przyszłości, czasem bardzo bliskiej — ale nad tem się nie zastanawiają. Ułomność ludzka bierze górę, skoro wprost rzecz się do wyznania wiary nie odnosi.

Pomiędzy parobkami naszymi był jeden, Pajdosz, ożeniony w kościele w Narolu, opatrzony prawnym austriackim aktem ślubnym. On był unitą, żona łacinniczką. Otóż dla zapewnienia dziecku prawa praktykowania religii mateczynnej, religii katolickiej, ten biedak wypierał się małżeństwa i udawał, że żyje na wiarę, że dziecko jest nieprawem dzieckiem dziewczyny, może nawet nie jego, aby tylko chłopaka nie wlekli do cerkwi, aby mu nie przeszkadzali chodzić do kościoła.

Takie poniżenie godności ludzkiej ma w sobie coś rozdzierającego, coś wstrząsającego.

Pewnego poranku przyszedł do mnie najbogatszy gospodarz wsi S..... i zeznał, że jest umierającym na wadę serca, że brutalny doktor, opukawszy go, kazał mu trumnę, a nie lekarstwo zgotować. Człowiek był jeszcze młody i zupełnie z wola Bożą zgodny. Rzekł: „Chciałbym na moją żonę przepisać grunt, aby dziecko kiedyś mogło dziedziczyć, ale władze nie pozwalają“. „To niepodobna — odpowiedziałam — to przechodzi nawet prerogatywy administracji rosyjskiej. Darowiznę za życia każdy ma prawo zrobić. Pojadę z twoją żoną do wójta w J.... i zobaczymy!“

Zabrałam kobietę na bryczkę, była to przystojna, zgrabna czarnobrewa.

Wójt zdumiał, widząc nas. Czapkę zdjął, krzesło mi podał i czekał. Śmiejąc się, zagadnęłam go: „Ci ludzie są głupi, prawa nie rozumieją. Rózia jest od lat 6-ciu sługą

u gospodarza Naponą. On chory, ona go pielęgnuje z poświęceniem wielkiem, wreszcie przez niego zmarniała. Mają dziecko. On chce naprawić krzywdę, obdarować ją swym gruntem. A ona głupia mówi, że wy nie pozwalacie, dlatego, że ona do cerkwi nie chodzi. Cóż to ma jedno do drugiego? Przecież darowizna, albo sprzedaż, to nie rzecz wasza, ale re-jenta!“

Wójt słuchał z ironicznym spokojnym uśmiechem: „Ona ma słuszość Baryni, jemu nie wolno ją obdarować“. — „Dlaczego?“ — „Bo ona nie żadna pokrzywdzona sługa, a krakowskie małżeństwo“. — „Jako? Przecież wy ich rozpędzacie dlatego, że, według was, oni grzeszą przeciw moralności, a teraz nazywacie to małżeństwem?!“ — „Wot! co! my tylko tak mówimy, żeby ich wstydzić. A co nani do tego? Ale tu jest prawo wyjątkowe. Włościanin każdy jest małoletnim, pod opieką gminy. Jemu nie wolno sprzedać gruntu ani Jasnej Pani, ani żydowi, ani krakowskiej żonie, ino swemu równemu włościaninowi. Wot tak!“ I począł ją kusić: „Róziu! zlituj się ty nad dzieckiem! Idź, popraw ślub w cerkwi, a wszystko mieć będziesz, i grunt, i chałupę, i dobytek żywy“. A ona, błyskając okiem i zębami białymi, śmiała się: „Przecie ja nie żona! Czybym ja chciała z takim starym, na wpół umarłym, iść przed ołtarz? Nie byłam żoną i nie będę, ale za krzywdę moją wynagrodzenie mieć muszę. Ej, wójeie, pozwólcie!“

A on, wspaniały, długowłosey, jak lew, perekiniec, o rozczesanej na dwie strony po rosyjsku brodzie, z łańcuchem i medalem urzędowym na szerokiej piersi, przeczył głową, powtarzając:

„Uparci jesteście! Wasza wina, i będziecie mieć nędzę dziecka na sumieniu!“

Ja zaś zarumieniona, zmieszana, zawstydzona, słuchałam tego dziwnego, tak dla natury ludzkiej poniżającego, tak cynicznego dyalogu.

Ale Rózia rozgniewana, widząc, że nic nie wskóra, nagle zmieniła ton: „Plwam na was! Jestem katoliczką, pra-

wną żoną, prawną matką. Będę pracowała dla dziecka. A wasz rachunek z Bogiem!”

I wyprostowana, otuliwszy ciemną główkę i sniadą twarzączkę o wielkich sarnich oczach w welnianą chustkę, gibka i śmiała wyszła.

Odetchnęłam. Po drodze, na bryeczce jadąc, pytałam: „A nie mógłby twój mąż pozornie sprzedać grunt matce, bratu, siostrze? Czy nie macie nikogo, ktoby zaufanie w was wzbudzał?” — „Nie mamy nikogo. Ktoby nie wziął dla siebie, jak może?” — „A tybyś wzięła?” — „A jużci!” — „Jakto: a jużci? a grzech co?” — „Abo to grzech? Tu każdy, co może, to bierze, nie nie jest nieczyje. Wszystko cara, a car wszystko zagarnął! Kto co ma, to trzyma, aż mu odbiorą. Zostawię innemu, a wezmą jemu, to ja zostaję głupia!”

Takie są moralizujące skutki gospodarki rosyjskiej — nawet w sumieniach męczenników.

Patrzałam na nią z żalem. Byłabym jej ręce całowała za to pyszne wyrzeczenie się wszystkiego dla wiary, a tu taka ciemnota, takie słowa, taki cień obok tak cudnej iskry Bożej! Wprost na płacz mi się zbierało, jak zbieraczowi klejnotów, gdy brylant czystej wody i niezwykłych rozmiarów pada w ogień i popieleje!

Duszo ludzka, duszo ludzka, co z ciebie robia?!

„A dlaczegoż ty mnie wierzysz? — ciągnęłam dalej. — Wszak mnie chcieliście pozornie sprzedać grunt, tylko nie wolno”. — „Pani moja — odparła Różia zakłopotana — boć Pani ma włości huk, i ziemi szmat wielki, mój grunt ci nie potrzebny”. — „Tylko dla tego, Róziu?” Spojrzała na mnie wielkimi, dzikiemi oczyma.

Teraz jej się na płacz zbierało. Ruszyła ramionami. Widocznie jakaś niejasna, nieświadoma, niepochwytna, nie do wysłowienia myśl w jej biednym czółku kotłowała.

„Ja nie wiem” — westchnęła wreszcie, i umilkła.

Tej samej nocy jeszcze pojechali do Włodawy, z kummem Adameczukiem, drugim bogaczem wsi naszej, i Napon grunt jemu sprzedał. Rubli 500 u niego zostawił pod przysięgą, że dziecka nie skrzywdzi, że mu pieniędzy nie za-

prze, że sobie nie zatrzyma. Drugie 500 rubli u mnie złożył nazajutrz wieczorem. Kwitu odemnie wziąć nie chciał. „Pani będzie pamiętać, że ma, i w dzień ślubu odda mojej córeczce. A tymczasem za procent krowę trzymać im będzie na oborze, i zbiórkę pozwoli w lesie, i ordynaryi trochę wydać każe. A jak będzie u nas rewizya po mojej śmierci, to kwitby znaleźli i zmusili panią oddać pieniądze na moich siostrzeńców, Byka i Hurkę”.

Odszedł. Położył się — po trzech dniach zmarł. Bez księdza pochowali go w nocy.

Nastąpiło śledztwo. Adameczuka pociągnęli do przysięgi, pieniądze odebrali i podzielili się niemi z krewnymi zmarłego. „Dworanki” do przysięgi się nie pociąga: więc chociaż śledzili i badali, z jakiej racyi dają dach, opał, krowę i ordynacyę Rózi, na tem się skończyło, i dali nam pokój, jak na teraz.

A ja, patrząc na Rózię, coraz więcej się ustalam w myśli, że niech będzie co chce, ja własne bezpieczeństwo narazić muszę, ale uczyć, uczyć, uczyć tych świętych, drogiech, tych ciemnych, pomimo ich świętości, a niegodności mojej!

Rok 1881.

K... we wrześniu.

Po kolei zaczęto zamykać i zwijać kościoły i parafie łacińskiego obrządku, których bez tego było za mało, tak, że trzeba było mile i mile drogi jechać i do dnia wstawać, aby na jedyną Mszę św. trafić w niedziele i święta uroczyste.

Ale chodziło o to Moskałom, żeby materyalnem się stało niepodobieństwem dla Unitów znaleźć kącik dla siebie w kościołach naszych.

Rososz i Wołyń zapieczętowano, a księgi parafialne przeniesiono do Radzynia i do Wisznic. I od tej chwili księża musieli kazania swe czytać z ambony po poddaniu treści pod cenzurę. Strażnik, obecny przy każdym nabożeństwie, sprawdzał, czy kaznodzieja słowa nie dodał do cenzurowanego tekstu, sprawdzał, czy modły za rodzinę carską na końcu na-

bożeństwa odbywają się solennie i stojąco. Siedzących notował lub aresztował. Sprawdzał, czy ksiądz spowiada wyłącznie łacinników i żąda od nich przed wysłuchaniem spowiedzi książeczek legitymacyjnych. Uniei przebierali się za „Polaków“ i podawali sobie książeczkę lub paszport jeden i ten sam z ręki do ręki. Ale wszystkich księży dobrych — już nie mówię gorliwych, ale po prostu katolickich i uczciwych — wywieziono na Sybir lub przeniesiono na mniejsze parafie, czysto zamieszkałe przez ludność łacińską, a wszystkich złych, niemoralnych, sprzedajnych księży, a co najmniej obojętnych i oziębłych, a nieraz brutalnych i występnych, karanych dyscyplinarnie, ściągano i mianowano na proboszczów podlaskich. Ci stawali się narzędziami russyfikacyi i schizmy, demoralizacyi i szpiegostwa rządowego. W Brześciu był zdrajca taki, u którego spowiadać się było niepodobieństwem, bo spowiedź stawała się indagacją i pociągała za sobą areszt lub wywiezienie na Sybir.

Felicjanka pewna, przysłana z Galicyi do konających rodziców, spędziła pół roku bez spowiedzi z tej przyczyny. Oniemal, że jej i mnie razem w Zakroczymiu nie wsadzono do więzienia.

W Parczewie przez czas dłuższy grasował wikary G., hańba stanu duchownego w Królestwie.

W Wiszniewie był ksiądz tak niegodny (o którym później jeszcze wspomnę), że nie tylko dawał zgorszenie swemi obyczajami rozwiązłymi, jeździł pijany z oficerami i uradnikami rosyjskimi, ale chodził do cerkwi i wmawiał Unitom, że ich wiara a schizmatycka, to jedno i to samo.

Pewien włościanin, przyprowadzony do niego przez naczelnika, dla usłyszenia podobnej nauki, wyciągnął wreszcie z kieszeni rubla, podał mu go i rzekł: „Jeżeli to jedna wiara, proszę Jegomości wziąć ornat i pójść do cerkwi odmówić Mszę, za którą płacę, a ja za Jegomością pójdę“. Tego jednak niegodny kapłan uczynić nie mógł. Włościanin odszedł, a naczelnik się wściekał.

Po nieustannych skargach przez nas do Konsystorza lubelskiego wnoszonych, Biskup posyła proboszczowi lub wi-

karemu naganę, skazuje go na karę dyscyplinarną, którą odbywa na Łysej Górze, a w czasie której parafia pozostaje bez nabożeństwa i w niebezpieczeństwie dla każdego śmierci bez Sakramentów! Ale gdy to nie pomaga i władze duchowne chcą niegodziwieca zasuspendować lub zupełnie usunąć, ten się tylko śmieje, nam się odgraża, władzom rządowym się skarży. A wtedy ostrzegają diecezyę, że jeżeli postanowienie przeciw temu a temu kapłanowi w najkrótszym czasie nie będzie cofnięte, rząd nie zezwoli na mianowanie żadnego innego na jego miejsce, kościół zostanie zamknięty, czem też i przed nami przechwalał się taki duszpasterz.

Oczywiście, że taki nie tylko nie spowiada Unitów świadomie, ale przebranych lub podejrzanych brutalizuje, odpycha, denuncjuje, choćby z lenistwa i przeciężenia robotą.

Łagodna cierpliwość wyznawców w tej mierze jest czemś przedziwnem. Nieraz całemi latami, po kilkanaście razy daremnie, biedacy lecą nocą już do kościoła, tłocząc się do konfesyonału, spędzając dzień cały na czczo, tracąc dzień roboczy na to, aby z ubliżającemi słowami być wreszcie wypędzeni, po kilkunastogodzinnem klęczeniu na kamieniach, w błocie, na słońcu lub na mrozie. A gdy po trzech latach podobnych pieszych kilkunastomilowych wycieczek dotrze który do konfesyonału i powie, że przez trzy lata nie był u spowiedzi, bez wyznania przyczyny — aby się naturalnie ze swą narodowością i obrządkiem nie zdradzić — bywa zwymlany od „poganów i zbrodniarzy“, pytany, po co w ogóle przyszedł, skoro obowiązku chrześcianina przez trzy lata nie spełniał i obłożony zbyt ciężką pokutą za bezbożność!

A jaką radość wynosi biedak z takiej osiągniętej nareszcie spowiedzi!

Nie straszniejszego, jak usiłowania konających ku dostąpieniu Ostatnich Sakramentów. Człowieka w agonii, przebranego za łacinnika, kładą na wóz. On wstrzymuje się od jęku i od rżenia śmierci. Na wpół omdlały daje się zdjąć z woza i brać z obu stron pod ręce. Wydobywa ostatnie siły, prostuje się, stawia jak może płaczące się nogi, sztywno, z trupią błądzą na zimnej potem oblanej twarzy, usi-

łuje wyprostować opadającą na piersi głowę. Tak przebyć musi przestrzeń od szosy przez dzwonnice i plac do kościoła, przez tłum do konfesjonu. Coś jednak tak przerażającego jest w takim zjawisku, że jakąś instynktowną grozą przejęci ludzie, nawet uparte penitentki, pochodowi z trzech osób złożonemu się usuwają. Ksiądz zaprzaniec, wylękły przed jakimś zagrobem tknięciem grożącej i jemu wieczności lub też upewniony, że w tym wypadku dostanie sowitą nagrodę, udaje, że nie wie, kto to taki i spowiada go jako tako.

Nieraz męczennik zakończy życie przy konfesjonale, czasem oddaje ducha zanim przystąpi do Sakramentu Ołtarza. W ogóle jednak taka spowiedź *in extremis* zdarza się raz na sto śmierci, gdyż są choroby i konania, wykluczające możliwość podobnie bohaterskiego szaleństwa.

Przeważnie ludzie mrą bez pomocy kapłańskiej. W Milanowie u ks. Włodzimierzów Czetwertyńskich jest szpital prywatny, fundacji ich babki, Wandy z Potockich hr. Cabogowej. Szpital na 20 łóżek istnieje tylko dlatego w rękach katolickich Sióstr Miłosierdzia, że mądra i przezorna fundatorka postawiła jako warunek w akcie darowizny, iż w razie zmiany piastunek na siostry innego wyznania lub też w razie zlaicyzowania szpitala, tenże ma być skasowany, a fundusz ma się wrócić do rodziny. Że zaś 20 łóżek bezpłatnych, to ulga dla powiatu, poprzesztano więc dotychczas na usunięciu kapelana, zamknięciu kościółka, przydzieleniu szpiega dla kontrolowania, aby Siostry nie mówiły ani słowa pociechy lub porady duchownej dla chorych, a za każdą jazdą dla własnych potrzeb duchownych do parafialnego kościoła, aby miały osobne do tego pozwolenie z powiatu o trzy mile położonego; dalej, żeby nigdzie nie wychodziły i nie odwiedzały nikogo w okolicy, ani we wsi, i żeby nie jeździły, ani się nie luzowały z Siostrami innych miejscowości.

Jakkolwiek święte i gorliwe są dusze Sióstr św. Wincentego a Paulo, ciało i nerwy są słabe. To absolutne długoletnie uwięzienie i przykucie do miejsca i do zagrody szpitalnej, to pozbawienie wszelkiej pomocy duchownej, przemęczenie i udrczenie wynikające z ciągłych wyjazdów do da-

lekiego kościoła parafialnego, na czezo, we wszystkich porach roku przy naszym strasznym klimacie, pod kontrolą policyjną, do spowiednika niegodnego, na wózkach niewygodnych, w odzieży niewystarczającej a ciężkiej, w kornetach przez zimny wiatr rozwianych, jałowa nuda<sup>1)</sup>, pozbawienie możności, a nawet zakaz jakiegokolwiek wpływu moralnego nad konającymi bez Sakramentów, czysto materyalna praca, bez nadziejna, nad siły fizyczne napięta, bez widoku zmiany, ani podniesienia ducha i odświeżenia umysłu — wszystko to tak strasznie oddziaływa na biedne ofiary powołania miłosiernego, że nigdy w życiu tak złamanych i przygnębionych członków tego bohaterskiego zgromadzenia nie widziałam. Chwilami sądzę, iż dla nich i dla wszystkich poniekąd pożądaną będzie chwila, gdy całą beczelową tę lokalną instytucję rząd zwinie, a Księstwo poprostu w zamian za to wspierać będą własnymi świeckimi siłami chorych włościan ogromnego obszaru dóbr swoich.

Co niedziela przed kościołami wisznickim, parczewskim, radzyńskim, bialskim, rozgrywają się sceny oburzające. Strażacy stoją wraz z wartą ochotniczą bractwa kościelnego łacińskiego przy ciasnej furtce (jedynym dostępie do świątyni Bożej) i każdego wchodzącego lustrują. Skoro im się wyda, że który z przybyszów jest Unitą, odpychają go brutalnie z wrzaskami: „Precz chamie! Rusinie! Marsz do cerkwi!“ i t. d.

Dziki faryzeuszostwo mieszczan łacinników, zazdrosnych o miejsce w „swoim kościele“, narażonym na zamknięcie z przyczyny „tych psów“, poprostu niema granic. Nieraz gdy wchodziłam, a ci sami, którzy tarzali w błocie, bili pięściami, przewracali i deptali biedne kobiety i dzieci, do mnie z przymlajacem się pochlebstwem odzywali się uniożonymi słowy: „Proszę Jaśnie Pani wejść! Prosimy!“ — taki gniew i żal mnie porywał, że odmawiałam i stałam z moimi ludźmi na

<sup>1)</sup> Władze nasyłały fałszywych chorych, szpiegów dla doniesienia im, czy Siostry w duchu religijnym nie oddziaływały na umierających.

drodze po za płotem cmentarnym. Ale i tu, i na wózkach ich nędznych, gdzie modląc się siedzieli, spokoju im nie dawano. Strażacy zaglądali, bili, rozpędzali.

Raz przybył do mnie mój brat z Galicyi, poddany austriacki. Pojechaliśmy razem do kościoła wisznickiego w niedzielę. W chwili, gdyśmy mieli wstąpić do kościoła, wszczęła się zwykła bójka i stara kobieta z zakrwawioną od kulaków i od uderzenia o kant schodów twarzą, potoczyła się memu bratu pod nogi. On, pozornie zimny i wyniosły flegmatyk, założył monokl i zawołał po francusku: „A wiesz, że to ciekawe! Ja sądziłem, że te wszystkie opisy w gazetach, to bajki i przesada, a tu rzeczywiście?!... No, no!... Muszę to opisać w pierwszym moim liście do...“ i wymówił nazwisko namiestnika Galicyi, z synem którego był w przyjaźni i w korespondencji.

Przypadkiem dnia tego funkcjonował nie strażnik, ale sam komisarz policyjny. Usłyszał, zrozumiał, zanotował i doniósł do gubernii. Od tego dnia, dotychczas, zaprzestano awantur przed kościołem wisznickim.

Takie to błahe pobudki stanowią o kwestyach życia i śmierci dla biednej ludności naszej.

Wobec tak trudnych a niewdzięcznych warunków naród postanowił przeważnie modlić się gromadnie u siebie, a tylko wszelkich używać środków, aby docierać od czasu do czasu do konfesyonału i do Stolu Pańskiego.

Od rana w niedzielę i święta, przejeżdżając przez wieś w drodze do kościoła, widzieć można ludność całą, mężczyzn osobno, kobiety osobno, dziewczęta osobno, usadowionych na ogromnych ławach wzdłuż chat, czytających głośno nabożeństwo mszalne, pobożne książki, odmawiających litanie i pacierze. Po obiedzie zaś śpiewają różańce i inne pieśni do Matki Boskiej, a wieczorami zabawiają się żywotami Świętych.

Zdrajców po wsiach niema, nawet żyd-pachciarz i żydkarczmarz szanują pobożność ludzi. Zresztą warta stoi na straży i przeciągłą gwizdawką daje znak, jeżeli strażnik lub wójt zjawi się na horyzoncie. Natenczas wszyscy „dają nogi“, aby po przejściu „władz“ znów się gromadzić.

Mają oni całkowitą rozległą organizację, pokrywającą jedną niewinną łagodną siecią dusz wszystkie przez Unitów zamieszkałe wsie, powiaty, gubernie. Mają swoich przewodników i korespondentów, posłańców i dostawców. Mają skład książek i świętości po piwnicach krytych u przywódców tajnego związku, modlącego się naiwnie za „Monarchę“ prześladowcę, „jak to Pan Bóg przykazał“.

O ślepi, a raczej nieszczęśliwi i omamieni przez własnych swych czynowników władcy! Gdyby oni wiedzieli, jakie podpory ustanowionej władzy mogliby mieć w tym ludzie, z natury posłusznym i uszanowania pełnym!

Lecz żaden nie wie, żaden się nie domyśla!

Przed kilkoma miesiącami własny ich naród rosyjski okrutną śmiercią położył kres panowaniu Aleksandra II. Ten naprzemian liberalny mocarz i bezsilny rozwścieklenie, zginął rozszarpany bombami rosyjskich spiskowców. Żaden Polak, żaden Rusin do spisku nie należał. Ta okoliczność bynajmniej nie zwróciła uwagi jego następcy. Przeciwnie, pierścień żelazny bezlitosnego rygoru bardziej jeszcze wkoło nas się zacisnął.

Za cudze winy, których duchowo nawet nigdy nie byliśmy uczestnikami, pokutujemy my, a najbardziej niewinni, życzliwi Unici.

I z nikąd dla nich nie przybywa żaden promyk nadziei. W r. 1878 zmarł Ojciec św. Pius IX, ów cichy przyjaciel maluczkich i zwyciężonych. Na jego miejsce zesłała Opatrzność wielkiego i światłego Papieża, Leona XIII. Posłannictwem opatrznosciowem jego jest wysoka i zbawienna wszechświatowa polityka. Ta surowo wymaga niesłychanej dojrzałości, cierpliwości i zimnej krwi od Kościołowi wiernej trzody, a rękę pojednawczą wyciąga ku niewiernym dla ich ratunku, dla odzyskania.

Próba to jednak wielka dla naszych biedaków, a dla nas niesforniejszych nieraz powód do szemrania.

Jasny i daleko sięgający umysł najwyższego Pasterza widzi próżność otwartej walki z ziemską przemocą olbrzyma, boleje nad żądaniem naszym, któremu zadość uczynić jest



niepodobieństwem. Cierniem kolącym jest dla niego ta sprawa, w której myśli swojej otwarcie wypowiedzieć nie może. Chciałby bez słów być odgadniętym przez tych, którym łaska wewnętrzna starczyć musi.

Na audyencyi, gdy z wyrazem twarzy zapewne zbyt płomiennym błagałam go o błogosławieństwo dla prześladowanego do ostateczności ludu naszego, zwrócił się szybko jakby z odcieniem żalu i zakłopotania do Monsignora Macchiego, pytając: „*Cosa vuole? Cosa vuole?*“ „(Czego chce? Czego chce?)“ A gdy tenże, przezemnie uprzedzony, tłumaczył prośbę i skargę moją, Ojciec św. położył mi dłoń na głowę i nacisnął, jakby przytakując, ale usta jego poruszały się bez wydania głosu, a gdy oczy podniosłam na niego, wzrok jego był pełen smutku... prawie wyrzutu.

Hanusia, która towarzyszyła mi w podróży, nie objawiała już żadnej chęci do klasztoru, przeciwnie, wdawała się w zaloty i miłostki. Postanowiłam i ją i chłopaków odwiedzić do kraju, czując, jak niezdrową była dla nich atmosfera krajów kulturalnych, gdzie nie nabywali nic, nie rozumieli nic, przyswajali sobie tylko karykaturalne cechy narodów wolnych, bez śladu konkretnej, miarowej idei o wolności i równości przed prawem.

W tem nadeszła wieść okropna. Mąż Hanusi nie umarł. Wrócił na Podlasie, przesiąknięty duchem wojska zepsutego, prawosławnego. Ucieszył się z nieobecności żony, której za żonę nigdy nie uważał. Przeszedł na prawosławie i pojął w cerkwi schizmatycznej schizmatyczkę za żonę.

Wszelkich starań dolażyłam, aby Hanusię również uwolnić od tych węzłów i wydać porządnie za mąż w Galicyi. Chciałam dać posag, byle nie zmarniała.

Wszystko było daremne. Otrzymałam w Watykanie bardzo logiczną odpowiedź, że małżeństwo ze względu na stan wyjątkowy — wyjątkowo uwolnione od wszelkich form — nie mogło z racji wady żadnej formy być unieważnione, gdyż to usprawiedliwiłoby nieufność ludu w ważność takiego Sakramentu.

Odwiozłam kobietę już wykolejoną do domu i tam do reszty się zepsuła. Wyjechała do Lublina i przepadła. Tak to przy braku oświaty, dobra wola Kościoła zastosowaną być nie mogła i wprost być nie powinna. Zezwolenie na mniemany grzech jest grzechem i prowadzi do radykalnego zniszczenia sumienia.

Ciężko mi było na sercu z powodu udziału mego w tem nieszczęściu.

16 października.

Przedwczoraj późnym wieczorem zjawiła się u mnie wylękniona kobieta, prosząc o jaki medalik z odpustem na godzinę śmierci dla „tak wielkiego grzesznika starca, że mówi, iż ma zabójstwo wielu ludzi na sumieniu, nie wspominając już o niezliczonych rabunkach, kradzieżach, podpalaeniach, wyzyskach z przymusem, zbrodni przeciwko obyczajom, że doszło do tego, iż tak, jak drudzy odmawiają pacjentem, tak on od rana do nocy i od nocy do rana miota błuznierstwami, że ciało kawalkami od kości odpada, że kona i wyje o spowiednika, a chałupa tak pełną jest dziwnego trzasku i szumu, że ludzie mówią, iż dyabeł rozbija się po jego mieszkaniu, czyhając na jego duszę“. Dorosli synowie i córki ze strachu uciekli, pozostawiając go samego w okropnej agonii.

Dałam krzyżyk poświęcony pocziwej sąsiadce złoczyńcy, lecz dodałam uwagę bolesną, że nie na wiele mu się przyda.

Nazajutrz (wczoraj) wypadły moje imieniny. Pojechałam więc do miasteczka do spowiedzi i Komunii św., poczem proboszcz poprosił mnie do siebie na śniadanie i zapowiedział poobiednią wizytę z powinszowaniem. Wtedy przyszła mi myśl śmiała, prawdziwe natchnienie! Ksiądz był u nas od niedawna, uchodził za zimnego, nieprzystępnego, ostrożnego (nastawszy bezpośrednio po wywiezionym na Sybir), ale za cnotliwego i uczciwego. Miał jeden dziwny zwyczaj. Jeździł rzadko w sąsiedztwo, ale cierpiąc na bezsenność, gdy już gdzie pojechał, to siedział i rozpowiadał dawne dzieje do pó-

znej nocy, paląc cygara. Z tej racji spokojni obywatele obawiali się częstszych jego odwiedzin.

Gożąco i z głębkim wzruszeniem opowiedziałam mu wydarzenie ze zrozpaczonym grzesznikiem.

— Cóż robić?! — wyrzekł.

— Zrób mi ksiądz dar najwyższy w dzień moich imienin... wypowiadaj go!

Nastało milczenie.

Widzę przed sobą i zapewne długo widzieć będę, gdy przymrużę oczy, to szerokie myślące czoło i zacięte, suche, czworograniaste szczęki, i walkę wewnętrzną, odbijającą się na jego twarzy.

Co go tknęło, nie wiem. Nagle zdecydował się i dysząc ciężko, wypowiedział: „Dobrze“.

Pojechalam naprzód. Wezwałam do siebie przewoźnika, obytego z wszelkim rodzajem wypraw niebezpiecznych. Ułożyliśmy cały plan, przygotowaliśmy mój pokój.

I przybył kapłan na bryczce, bez dzwonka. Mileżąc minął służbę i poszedł do mego pokoju na górce, gdzie już lampka na ołtarzyku się paliła. Zdjął bursę zawieszoną na piersiach i złożył Hostyę w pudełeczku srebrnym.

Zamknęłam pokój na klucz i zesłam na dół z proboszczem. Podejmowałam gości do późnego wieczora, opuszczając ich co chwila, aby pójść oddać pokłon Niebieskiemu Gościowi.

Rozjechali się sąsiedzi, a ja służbie kazałam iść spać, i tylko dać znać w stajni, aby o 2-iej w nocy zajechał stan-gret proboszcza, gdyż on, według zwyczaju, siedzieć będzie długo. Lokaj chciał się opierać: „Przecie płaszcz podać trzeba, poświecić, dom zamknąć“. — „Tak, i potem chodzić jutro zaspany cały dzień. Dziękuję — sami sobie damy radę. Idź spać!“

Milczkiem wsunął się werandą przewoźnik, gdy kur północny zapiał, a światła we wsi pogasły. I odbyliśmy we troje, przy liekiej latarce w pokoju moim, modły rytualne, przywiązane do aktu podniesienia Przenajświętszego Sakramentu z miejsca ukrycia, i ostrożnie w ciemną, chłodną,

blotną noc jesienną poszli ksiądz i przewoźnik, a ja z odchylonemi na ogród drzwiami czuwałam... i nadśluchiwałam.

Poszli tyłami wsi, przez burty i bagna, przelażąc płoty, zapadając w rowy. Czasem pies zaszczekał, umilkł, a mnie serce biło.

Śmiertelne półtóry godziny minęło — wrócili. A ksiądz nie mógł wytrzymać i zmięszany mruknął: „Pani, pani... dziś możemy sobie przyznać, żeśmy jak Bazyli św. wydarli duszę z piekła“. I zatrzęsł się na wspomnienie. A przewoźnik dodał: „On nieborak wierzyć nie chciał swemu szczęściu. Chciał wyskoczyć z pościeli, paść twarzą na ziemię, pomimo ran i omdlenia. Wszak od dziewięciu lat nikt, nikt na Unii z tych umierających setek nie miał księdza przy łożu swem śmiertelnem. Zdrowi czasem dotrą do konfesjonału, ale później oddają Bogu ducha bez Sakramentów. Konających sześciu próbowało dostać się do kościoła, ale dwóch zmarło przed spowiedzią, jednego przyaresztowano i zawrócono, trzech zaś, którzy absolucyę dostali, byli w stanie na wpół lub zupełnie nieprzytomnym czy omdlałym, a Komunii ani Olejów św. nie otrzymali. Ten jeden... ten jeden!...“

I dziwnie pocieszająca myśl mnie opanowała, myśl niepojętego miłosierdzia Bożego: jeżeli ten jeden tak zrozpaczony, tak odwykły od wiary w zbawienie i niezdolny wzbudzić w sobie aktów ufności, miłości, skruchy doskonałej, dostąpił cudu pociechy Sakramentalnej, pewności przebaczenia, „ten jeden“, toć tamci męczennicy i wyznawcy, umierający bez Sakramentów, bez skutecznego słowa, musieli być wszyscy gotowi, wszyscy aktem wewnętrznym oczyszczeni, wszyscy w stanie łaski.

Bóg darował, napelnił światłem nadziei wyklętą chatę! Bóg nawiedził opuszczonego, i jego wygasłe ognisko, i omdlewające, wyrzutami sumienia przeżarte serce. Ludzie nie, dzieci nie.

Im też Bóg daruje, bo nie wiedzieli, co czynili.

Samotny pokutnik, sam w opróżnionem domostwie, zmarł dziś nad ranem.

Rok 1882.

Zewsząd groźne dochodzą wieści. Frankowski przepadł, nikt nie wie, co się z nim stało. Czy tylko wywieziony na Sybir, czy zamknięty w cytadeli, czy w którym z jej zamkniętych dziedzińców powieszony. Oj! ta cytadela! Ileż krwi, ileż łez, ileż ukrywa zbrodni, tortur, indagacyj, wymuszonych lub podechwytych zeznań, z obawy których jeden żywcem się spalił, znalazłszy ogarek świecy z latarni strażnika i zgubioną zapalkę, za pomocą których oddał swą pościel i siebie w niej otulonego na pastwę płomieni. Drugi połknął szkło ze stłuczonej szybki, byle się nie wydać, byle swoich nie zdradzić!

Nikt pojąć nie może, kto tego nie przeżył, co znaczy być nieustannie budzonym, pozbawionym snu, i tak zniecka, co nocy, co dnia, przez miesiące badanym! Jeden osiwił, drugi oszalał.

A brud, a robactwo, a cuchnące misy z kałem, a ściek, a obrzydliwość!! I te cele podziemne, gdzie strop pochyło nad plecami cięży. Ani usiąść, ani wyleżeć, ani stanąć, tylko w strasznej zgniliznie i wilgoci, z karkiem i kością pacerzową wykrzywionemi boleśnie jęczeć i żyć, dopóki karbunkul, próchnienie kości lub tyfus nie położą końca męczarni! Tak przepadło trzech Misyonarzy galicyjskich. Jeden tylko, Jezuita O. Jackowski schwyty, zamknięty, ale przez potęgę Zakonu zagranicznego reklamowany, z życiem, ale bez zdrowia, uszedł.

Dwóch braci D....., obywateli, właścicieli Pratulina, opierało się żądaniu rządu o wydanie na cerkiew swej prywatnej pałacowej kaplicy. Jeden z nich, słabszego charakteru człowiek, a może tylko od dzieciństwa wylekły (gdyż w r. 1846 uszedł z matką rzezi galicyjskiej, mazurskiej, z góry inicjowanej, potem dla oka Europy okrutnie stłumionej, w której ojciec jego zginął), zgodził się na „pożyczenie“ prawosławnym kościółka katolickiego, dopóki cerkiew, nędznie podparta, nie będzie odnowiona lub przebudowana.

Tymczasem lata minęły, przy cerkwi nie robiono nic. Biedak, dręczony sumieniem, nieśmiało począł upominać się o swą kaplicę. Wtedy schwyty go, zamknięto w lochach cytadeli; tam ciężko zachorował.

Drugi brat zaczął znów kroki, aby uwolnić pierwszego. Jeneral gubernator dał mu rzekomo słówko do naczelnika fortecy, obiecując, że się z pewnością z bratem zobaczy. Lecz gdy przestąpił próg cytadeli, wrota i za nim się zamknęły. Obydwóch mieli w pułapce. Starszego sparaliżowanego wywieziono na Sybir; matka, potajemnie ostrzeżona, czekała na dworcu i widziała, jak na noszach do więziennego wozu go wrzucano. Po drodze zmarł.

Krewny nasz dziwnym podstępem został skazany na wygnanie. Pisarz gminny podbuntował włościan, aby zażądali rewizji ich obdarowania gruntami dworskimi, jako krzywdzącego dla nich. Na taką pokusę mało który chłop zostaje nieczulym.

Pisarz niby to akt rzeczony treści skreślił, ale podsunał im inny do podpisu. Oni zaś, nieumiejący pisowni rosyjskiej, podpisali!

Otóż rzeczywistą treścią aktu była denuncyacja na naszego krewnego, że wygnał ze swych progów popa-perekińca, chcącego go odwiedzić, jak za czasów, gdy był kapłanem unickim, że krzyż trójramienny z rzeżuski na Wielkanoc przez popa u jego ogrodnika obstalowany, rozszarpał i podeptał, że wieśniaków buntuje, rozdaje im obrazki, książki i medaliki, że propagandę katolicką szerzy i t. d.

Administracyjną drogą skazany na wydalenie z majątku, znalazł na szczęście nabywcę w jednym z przedstawicieli najznakomitszych rodów polskich, poczem z rodziną wyniósł się do Galicyi.

Chłopi byli w rozpacz. Żaden z nich bowiem, choćby osobisty wróg dworu, nigdy w sprawie wiary nikogo nie zdradził, chyba że był perekińcem, czyli świeżym schizmatykiem, palonym własną hańbą i chęcią pociągnięcia drugich na bezdroża. Ale takich jest bardzo mało, a w niektórych

wsiach ani jednego niema, tak, iż niegodnych wójtów sprowadzano z daleka.

Daremnie wzywano lud do wybierania ich i bezczelnie mianowano ich z góry, a fałszowano podpisy rzekomych wyborców.

Więć, osierocona z dawnego pana, nie znalazła w nowym nabywcy opieki. On bowiem wierzy ślepo, że chłopci świadomie zadenucyowali jego poprzednika i nie wchodzi z nimi w rozmowę<sup>1)</sup>.

I mnie wciąż grożą utratą majątku i wolności, gdyż zastępuję Frankowskiego w dowożeniu dokumentów. Ratuję się jednak, mieszkając przeważnie za granicą, a niespodzianie i na krótko wpadając do siebie z plonem duchownym.

Niedawno w Radziwiłłowie przesłałam ciężką chwilę. Obladowaną byłam księgami, aż tu służąca moja, bez mojej wiedzy, wpisała całą swoją rodzinę, kumów i przyjaciółki

<sup>1)</sup> Co zawsze mnie w zdumienie wprowadza w dziejach czynownictwa rosyjskiego w stosunkach naszych krajowych, to brak proporcji między karą a winą, panowanie martwej litery, bez względu na istotę rzeczy. I tak, krewny nasz poważne usługi oddawał Unii i Unitom, sprowadzał księży misyonarzy potajemnie, wywierał wpływ osobisty na ludzi, miał w ich oczach mir, jako syn zasłużonej obywatelki, której długoletnia praca przed erą prześladowania przygotowała serca i umysły do skutecznego inteligentnego wytrwania w świętej wierze. Ona to wychowała całe pokolenie włościan, zaprowadzała przed powstaniem ochronki felicyańskie, utrzymywała w dobrach swoich mądrych kapelanów, nauczycieli i dyrektorów ludności miejscowej. Jej lud zawdzięczał wiedzę scholastyczną i względną kulturę świecką, nawyknięcie do łagodnych obyczajów i t. d. Syn jej, jeżeli nie sprostał matce, w każdym razie był dla Unitów żywym symbolem umiłowanej przeszłości duchowej. Gdyby nie krewkość chwilowa, którą obrazili drobnych przedstawicieli władzy schizmatycznej moskiewskiej, byłby jednak mógł długo jeszcze wytrwać bezkarnie na zajętem stanowisku. Patriotyzm rosyjski, ani fanatyzm schizmatyki nie byłby go wygrzyły. Złamała go zemsta prywatna popa.

do Serca Jezusowego we Lwowie, i patenta bractwa na imię Rusinów podlaskich położyła na samym wierzchu kufra. Uczynili naturalnie mnie odpowiedzialną za to. Rzeczy przetrzęśli nielitościwie, ale jakoś do osobowej rewizji nie doszło. Jeszcze brzmi w uszach moich głos inspektora: „Nielzia Serce Jezusowe, Nielzia! to Jezuckie!“

Rok 1883.

Wrócili z wojska chłopaki, z poboru po wojnie tureckiej uskutecznionego.

Wrócił i Wiktor, wstawiony na Podlasiu z opisanego w listach rekruckich zwycięstwa jego duchownego w Saratowie. Przyszedł do mnie w odwiedzin i tak mi opowiedział zdarzenie:

„Byliśmy od niedawna w szeregach, pędzeni na Wschód najpierw koleją, potem pieszo lub wozami. Czternastu chłopaków z K...., I.... i Gęsi, do jednego pułku przydzielonych, trzymało się wciąż ze mną. O dyscyplinie, o nabożeństwie, nie było jeszcze wiele mowy. Ale skoro przybyliśmy na miejsce, przy pierwszej galówce kazano nam pójść do cerkwi. Odmówiliśmy, jak jeden człowiek. Strach i zdumienie ogarnęły wszystkich. Niesubordynacja wojskowa, sąd dorażny, kulka w łeb!! Pułkownik, pijanica, ale nie zły człowiek, rzekł: „Duraki! to takie jeszcze głupie, że nic nie rozumie. Każdego z osobna nauczyć trzeba, co znaczy militarne posłuszeństwo!“ I każdego z osobna brał podoficer i uczył, co znaczy przysięga i służba, że się nigdy nie mówi: „Nie“, bo za to śmierć, bo przykład, bo cała obrona i potęga państwa, bo car... A gdy każdy pojął rzecz dobrze, pytał ich: „No i cóż? Pójdziecie?“ A wszyscy odpowiedzieli z pokłonami: „My na to głupi, ale przyobiecaliśmy ojcom naszym, że zawsze tak zrobimy, jak nam Wiktor każe“. A mnie wezwano przed porucznika. I pytał: „Wiesz ty dobrze, o co chodzi? I co zrobisz?!“ A ja milczałem. Zagrały trąbki. Staliśmy w szeregu na polu i dano rozkaz wymarszu do cerkwi. A ja się nie ruszyłem. I zostało nas samych pietnastu.

Pułkownik to dostrzegł i kazał wszystkim przystanąć. A wojsko całe patrzyło na nas: ludzie nawykli do kar i kułaków za guzik niedocyszczony u szynela, za opóźnienie jednej chwili, za ruch niezgrabny przy egzercyrcie! Pułkownik wezwał mnie przed siebie i przemówił, a głos jego trząsł się z gniewu i rozżalenia: „Czyś ty oszalał?! chłopcze! Już w tej chwili powinieneś dostać kulą w łeb, ale mi żal twojej młodości, żal bardziej jeszcze tamtych głupców, którzy tobie wierzą i zginą przez ciebie. Przysięgaliście carowi. W papierach waszych zapisani jesteście jako prawosławni. Słuchać musicie. Zwaryowałeś! to pewna. Wszak widzisz te rzędy karabinów. To siła cała Rosyi na ciebie patrzy. To bunt, za który jedno moje skinienie zwróci do was te wszystkie lufy i rozniosą was na pył. Tyś uparty, ale więcej rozumiesz od drugih. Żeś heretyk i głowa przewrócona, to widzę. Ale przecież ta sekta twoja musiała cię nauczyć, że szafować własnem życiem, to mniejsza, ale stać się katem czterestu swoich braci, odjąć synów matkom, co tam na nich czekają, to grzech, to okrutny grzech! No, przemów do nich! Powiedz im, żeś się zadurzył, że mają słuchać i iść. Zmiluj się nad nimi, jeżeli nie nad sobą, boć i mnie przykro zacząć muszę tegoroczną zglądzeniem pietnastu takich smarkaczy. No, widzisz, mówię do ciebie jak ojciec! Inny byłby cię już zastrzelił. No! co?!“ A wojsko ogromne stało i patrzyło na nas z najeżonemi bagnetami. Garstka naszych na uboczu tuliła się do kupy strwożona. I ogarnęło mnie zwątpienie i lęk, i padłem na twarz, i leżałem długo, z rozkrzyżowanemi rękami. Modliłem się w boleści serca. Podniosłem na chwilkę oczy ku pędzącym po niebie obłokom i wołałem do Tego, który mnie stworzył: „Ratuj, Ojeze! ratuj!“ I pytałem Go, co mam czynić, ja, biedne, niemądre dziecko, na sumieniu którego tyle istnień ludzkich spoczywa. I zdało mi się, iż widzę przed sobą niebo otwarte i chóry anielskie, otaczające tron Najwyższego. I znów padłem płacząc na twarz, czując się robakiem ziemskim bez mocy, ani światła. I modliłem się do Tego, który jest Mocą i Światłem, aby mnie oświecił i wzmocnił. A wojsko milczało, i puł-

kownik milczał i czekał. I nagle coś we mnie wstąpiło, przemówiło, wzrosło... Zerwałem się na nogi drżący i skostniały, a to, co we mnie było, było niezłomne. Spojrzałem spokojnie prosto w oczy starszynie i rzekłem: „Wiążcie mnie, zabijcie mnie. Ale jam katolik. Cara na niebiesiech słuchać będę najpierw, bo mnie stworzył, a potem cara na ziemi, któremu przysięgałem, i was, którzy go tu przedstawiacie“... A chłopcy nasi przyskoczyli do mnie, wołając: „Bracie! tyś jak Szczepan ukamienowany... I z tobą my widzimy niebiosą otwarte, i chóry anielskie dokoła tronu Najwyższego... My z tobą! my z tobą na śmierć!... Nie pójdziemy, nie pójdziemy do cerkwi!“ I nastąpiło milczenie wielkie. A pułkownik opuścił głowę, pokręcał węża i dumiał. Wyprostował się, a łza błyszczała w oczach jego. Zwrócił się ostro do oficerów i ochrypłym szorstkim głosem zawołał: „Tu zaszła pomyłka. Oni katolicy, zapisać ich do katolików. Marsz do kościoła! Kozły z was, nie ludzie. A służcie tam tylko Najjaśniejszemu Panu tak, jak służycie Bogu waszemu!“ I szmer stłumiony przeleciał szeregi, i poprowadzono nas do rzędu tych, którzy iść mieli do kościoła katolickiego, i odebrano nam papiery, aby nas przepisać na katolików. I chodziliśmy do kościoła, i przystępywali swobodnie do Sakramentów, a ludzie z szacunkiem się obchodzili względem nas. Skończyła się nasza wojskowość i wróciliśmy tutaj. Ale widząc, jak się tu dzieje, a jak tam, już mi tęskno tam wracać, i wróć. Bo tam i pracę znajdę, i wolność wyznania mojej wiary, i garstkę naszych wygnańców, którzy ojczyznę mi tam przedstawiają, i to, co najlepszego w ojczyźnie!“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Niektórzy czytelnicy mojego rękopisu wyrazili niedowierzanie co do możliwości, aby młody chłop tak czuł, myślał, działał i mówił. A jednak tak jest dosłownie. Prześladowanie w ogóle jest przedziwnym pedagogiem, a łaska nadzwyczajna cudowną mistrzynią. To — w porządku nadprzyrodzonym. W porządku przyrodzonym zaś lud podlaski jest niesłychanie skłonny do malowniczej poetycznej mowy, a Wiktor był osobistością tak wybitną

Wyjechałam wkrótce za granicę. Tam mi doniesiono, że u plenipotenty mego była rewizya, a on dla ratowania mnie, zmuszony był spalić całą skrzynkę moich papierów.

Rok 1884.

Odjeżdżając na zimę, zostawiłam starszyźnie wsi mojej *Cwiczenia duchowne św. Ignacego*.

Było to bardzo niebezpieczne, gdyż każdy wie, że nawet dla dojrzałych i wykształconych umysłów jest to broń obosieczna.

I otóż łaska nadzwyczajna tak dziwnie działa na te boleścią przetrawione dusze, że gdy na wiosnę wróciłam, zbuntowani wieśniacy, którzy na jesieni pobili i pokaleczyli straż leśną przy serwitutowych sporach, zgola w innym duchu wyszli na moje spotkanie. Jeden odniósł restytucji 6 rubli za ściętego w lesie dębczaka, a drugi, wprawdzie bardzo wytrawny i uczony chłop, który na samym początku usiłowań rządu przerobienia Unii na schizmę, gdy w r. 1872 próbowano przekonaniem na ludzi działać, stanął do teologicznej dyskusji i bronił katolickiej wiary, popierając swe zdania artykułami Soborów i komentarzami Ojców Kościoła, dziś przyszedł, pytając: jak ma zadość uczynić za jakiś podstęp użyty przed 20 laty przy dzierżawieniu sadu u mojej świekry.

Oczywiście darowałam wszystko, lecz przedziwne odniosłam wrażenie ze skutecznego bezpośredniego działania rozmyślań na te dusze i z gotowości tych ludzi zastosowania bohatersko otrzymanego światła do życia i czynów własnych.

.....  
Spuś po raz drugi zbiegł ze Sybiru — kryje się po chałtach, uczy i buduje ludzi, przemienia serca młodzieży przykładem swym i wpływem bijącej od niego świętości.

i zdolną, że towarzysze obrali go jednogłośnie za wodza, potrafił przekonać starszyznę wojskową, a powróciwszy do Saratowskiej gubernii, został rządcą dóbr szlacheckich.

Rózię coraz bardziej prześladowają i śledzą moje stosunki z nią i jej dorastającą córeczką.

Coraz surowsze i cięższe bywają sądy za grzebanie zmarłych potajemnie, ze względu na niebezpieczeństwo pozornej śmierci lub zbrodni.

Gmina wysłała do Rzymu chłopaka, mającego się kształcić na księdza; płacą za niego akuratanie i ochoczko.

Rok 1885.

Więzienia przepelnione narodem, narodem cichym i pobożnym, złośliwie rozsianym między więźniów przestępców, przez tych wysmiewanym i okradanym, bitym i szarpanym, o więzienne kradzieże pobytowych złodziei oskarżanym, potrójną mękę tam cierpiącym.

Rozповідаł mi o tem długo i szeroko najpoważniejszy i najmędrszy chłop z całej okolicy, Andrzej Kruszyński z Gęsi, tak zwany „szlachcie“, dlatego, że pradziad jego, kucharzem będąc u Firlejów, zwolniony został od pańszczyzny i obdarowany własnym gruntem, na co Andrzej posiada w spadku i przechowuje z wielkim szacunkiem wspaniały dokument, opatrzony w pieczęcie Firlejowskie. Tego to Kruszyńskiego, wraz z Semenem Lisiakiem, wezwały władze rosyjskie w samych początkach prześladowania na dysputę teologiczną z archirejem, aby tenże ich przekonał do schizmy, a za nimi cały szmat ziemi podlaskiej pozyskał dla cerkwi. Andrzej jednak był tak gruntownie wyuczony w scholastyce rzymsko-katolickiej, że z dysputy zwycięsko wyjść potrafił, zbijając sofizmata popów artykułami z Soborów odnośnych do różnicy dwóch wyznań. W sprawach doczesnych również spotkasz się u Kruszyńskiego z roztropną szlachetnością. Nie raz gdy znalazłam się w trudnościach gospodarczych, wspierał mnie dobrą radą, przysyłał robotnika, a nawet w chwili, gdy miałam uskutecznić jaką drobną sprzedaż, mniej korzystną dla zaspokojenia potrzeb bieżących, strofował, aby zboża nie sprzedawać na pniu, u żyda pachciarza nie brać forszusów i bardzo delikatnie przynosił do dworu swoje i swych sąsiedzi

dów oszczędności, „aby dostać 6 procent, zamiast żeby za piecem leżały“. Włościanie gęsińscy są zamożni i szczególnie życzliwi dla dworów. Wiem o kilku biedniejszych obywatelach, których wprost uratowali i wydzwignęli oni. Dla innych zaś, którzy przepadli, byli pełni względów, czekali cierpliwie na spłatę kapitału ratami i bez procentu, z uznaniem i wdzięcznością za to, że „choć sami zginęli i w służbę poszli“, o nich nie zapomnieli i co byli winni, z czasem spłacili. Otóż teraz ten spokojny, imponujący, rozważny Kruszyński popadł w niełaskę u popów i czynowników, i w piekle mieszanych prowincjonalnych więzień przesiedział półtrzecia miesiąca. Złodzieje nienawidzą przestępców politycznych lub wyznaniowych, jako „dumnych i nie koleżeńskich“. Okradają ich, lżą i biją. Gdy dojdzie do zмовy między nimi, życiu wynawców grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Żydzi nasi wiejscy dziwne stanowisko zajmują względem prześladowanej Unii. Najchciwszy lichwiarz, pachciarz czy karczmarz, chociaż zysków z chłopą ciągnąć nie może, bo wieśniak u nas jest poniekąd prawnie małoletnim do śmierci, sympatyzuje z nim szczerze i ogromnie podziwia jego wierność religijną. Ten sam żyd, który haniebnie wyzyskuje i oszukuje właściciela dóbr, broni, zasłania, ostrzega chłopą przed Moskalem, nieraz nawet pozwala u siebie ukryć książki i świętości. Nie słyszałam o wypadku takim, aby wiejski żyd zdradził albo wydał... wynawcę.

Zuchwałość w prześladowaniu dosięga niebywałych proporcji, zatacza coraz szersze kręgi, stara się zdobywać coraz nowe zagony. O czemś podobnem jeszcze nie słyszano. W poszukiwaniu za włościanami obrządku łacińskiego, którzyby mieli dziadka lub babkę obrządku unickiego, aby z tej racyi ich też zapisać do prawosławnych, natrafiono na pewną ilość mniejszych obywateli Polaków, łacinników, chrześcijan za dobrych czasów w cerkwi unickiej, bądź z przyczyny bliskości dworu, bądź z czułości dla pocziwego ludu i pocziwych księży. Otóż ku osłupieniu i oburzeniu tych nieszczęśliwych zaczęto ich także starać się podciągnąć pod krzyż trójramienny. Pewnej chorowitej i wylęklej pani mia-

nowicie, wdowie po szlachcie ochrzczonej na łacinnika, ale w cerkwi przed kilkudziesięciu laty, porwano obu synków ośmio- i dziesięcioletnich, aby ich w rządowym internacie w Petersburgu na prawosławnych wychować. Kobieta szaleje, gwałtuje, ale niczego wskórać nie może. „Krzywdy im nie będzie — odpowiadają jej w kancelaryach rządowych — przeciwnie, na koszt rządu wykwinie żywieni, pielęgowani, umundurowani, kształceni, wyjdą ze szkoły ze stopniem wojskowym. Karyera ich zapewniona. A pani ich zostawić nie można, skoro pani ich wychowuje na odszczepieńców, zdala od wiary ich przodków“. — „Jakich przodków? — woła zrozpaczona matka. — Przecie my wszyscy katolicy bez wyjątku od początku wieków“. Na to ruszają ramionami i pokazują jej cerkiewną unicką metrykę jej zmarłego męża.

Ten przykład stał się ostrzeżeniem dla wielu, w podobnem położeniu znajdujących się mieszczan i szlachty. Sprzedają na gwałt i ze stratą zagrody, rzucają posady i nie czekając na wątpliwy paszport, uciekają jak mogą za granicę, marnując ostatnie grosiwo na przekupienie straży pogranicznej. Wołają nędzę, niż apostazyę i hańbę. W ten sposób kilku moich znajomych postradało zniacaka dobrych wyższych oficyalistów. Jeden z tych biedaków, znakomity administrator, znalazłszy się w Galicyi bez chleba, ni pracy, z żoną i drobnymi dziećmi, zaniemógł i umarł na żółtaczkę.

Dreszcz mnie przechodzi na myśl, że i myśmy przez chwilę (w maju 1871 r.) wahali się, czy nie ochrzcić naszej córki w unickiej cerkwi w Gęsi dla ściślejszego zespolenia się z Unią i ludem. Bóg nas uchował i przezornością natchnął.

Dziwne zaiste są widoki Opatrzności nad tobą, o Unio biedna! Od czasów Kuncewicza i Rudzkiego, do dziś dnia, drogi twe ciężkie i ciemne, zasłane są trupami, polane krwią i łzami. Na pozór stajesz się kamieniem obrażenia dla twych owieczek!

Bazylianki wileńskie! Matka Makryna!... Czy może być w martyrologii chrześcijańskiej stronnica bardziej okropna?!... Pomostem ku zbawieniu milionów zbłąkanych, mia-

łażbyś ty hyć? Tęczę świetlanej nadziei, której łuk spoczywa po jednej stronie na Skale Piotrowej, po drugiej na gwieździstych błękitach kopuł bizantyńskiego rytuału? Bóg wie! Wielkich ofiar, ofiar całopalnych, ofiar czystych potrzeba dla ocalenia i ratunku milionów... nieświadomych! dla nawrócenia i zbudowania tych, których koleje są łatwe, a którzy nie umieją kroczyć po nich tak godnie i świątobliwie, jak ty po cierniach i po złomach skalnych!

Módlmy się!

Rok 1886.

Osiadłam na czas dłuższy na wsi. Niech się co chce dzieje, walczyć będę razem z nimi i dla nich.

Zwrócili się do mnie z ufnością. W pałacu urządziłam dla nich szkołę. Ja uczę zdolniejszych i najbardziej obiecujących. A w niedziele i święta, gdy wracam z dalekiego kościoła, gdzie rano się udaję, podczas gdy oni modlą się po chatach, śpiewają zgromadzeni na ławkach, związani „żywym Różańcem“, zastaję ich już wszystkich wyczekujących wzdłuż długiej węzłem ciągnącej się wsi, wzdłuż gościńca. Pojazd szybko przejeżdża. Wstają z ukłonem uprzejmym a poważnym, pełni uszanowania, ale i godności.

Po obiedzie starszyzna schodzi się u mnie. Ja czytam głośno, tłumaczę, rozmawiam.

Moja córka podejmuje małe dzieci, guwernantka średniaków. Uczą się pilnie, szybko, z wyteżoną uwagą. Ja mam 12 uczniów i 40 słuchaczy świątecznych. Moja córka ma 18 malutkich wychowanków, guwernantka 15. Oprócz tego mamy dziewczęta dorastające, między którymi odznacza się moja chrestna córka, Marynia, wołająca na mnie „Mamusiu“, i dwie kandydatki do służby Bożej. Są i dla nich w kraju odpowiednie instytucje, ale o tem lepiej dziś jeszcze zamilczeć. Są też szkoły sług, z których wychodzą duszyczki, zdolne na swem skromnym stanowisku dużo dobrego czynić i rozsiewać dalej ziarno Boże.

W zimie po wczesnym zachodzie słońca i oprzędzie, 20 dziewcząt, proszonych przez starą mą gospodynię, zgro-

madza się w ofieynie na wieczernicę. Wszystkie przędą, jedna im głośno czyta. Następnie chórem śpiewają pieśni pobożne, przyjmują posilek, odmawiają wspólne pacierze i nie rozchodzą się przed północą. Len w dalszym ciągu i welnę zabierają do chałup, tam na warsztatach je tkają na setki i setki łocki wzorzystych kilimków.

Do dworu przychodzą na takie „wieczory“ córki gospodarskie, gdy czeladź, niestety zbierana po rozdrożach, czem innym jest zajęta.

O ile wieś jest moralną, prawie zakonną, o tyle biedne dziewczki służebne, a szczególnie dójki, to rozbitki, to ofiary twardych i ciężkich czasów, trudności zamążpójścia i t. d.

One zwykle dlatęgo służbę lub komornictwo przyjmują, że potrzebują dachu, krowy, pola pod ziemniaki, ogródka, zagonka lnu, opału, malutkiej ordynaryi i chodzenia „na pańskie“ dla wyżywienia bezdomnych dzieci, do których ojciec nie jest zmuszony się przyznać. Na folwarku 11 takich dziewczek ma 50 dzieci, świergojących jak wróble na podwórzu. Te biedne stworzenia, tak dzieci, jak matki, potrzebują wsparcia, nauki, słowa pociechy i otuchy, nadziei poprawy i rehabilitacyi. Przy tych praca jest żmudna, ale wdzięczna. Dwór miłosierny chroni ofiar wiele od samobójstwa i zbrodni. Ale pracować nad niemi trzeba osobno, nie mięszać owiec chorych ze zdrowymi. Pogardy jednak niema żadnej ze strony cnotliwych względem nieszczęśliwych. Tylko rozmowy, pieśni, zamilowania ich są różne i mało mają ze sobą styczności.

Lecz podziwu godną jest chrześcijańska wyrozumiałość i delikatność, jaka cechuje obchodzenie się włościan tak z powracającymi po odsiedzianej karze przestępcami, jak z upadłymi kobietami. Nierzadko daje się słyszeć poczeiwe: „Ona taka młoda! poprawi się“, albo: „On już więcej tego nie zrobi, on bardzo się wstydzi i żałuje“.

We wsi bywają też dziwne obrządki, święta, przypominające „Dziady“. Są to suto zastawione postne wieczerze, przy modłach i wypominkach dusz zmarłych. Każdy wcho-



dzi w próg, klęka, odmawia pacierze za dusze zmarłych, potem zasiada na ławie przy stole i miskach: klusek z makiem, zupy na oleju i śledzi. Potem następują śpiewy bardzo żalosalne i ciche zadumy, rozmyślenia nad nieżyjącymi członkami zgromadzonych rodzin.

Są też lektorowie, powoli i poważnie czytający obecnym Żywoty Świętych i Ewangelię dnia.

Rok 1887.

Ciężkie i niebezpieczne przeżyliśmy chwile.

Pewnego poranku czerwcowego strażnik, przejeżdżając na chłopskiej furmance, zauważył gromadkę dzieci, podążającą do dworu gościńcem.

Strażnik odezwał się do nich: „A po co tam idziecie?“ Jeden z roztropniejszych dzieciaków odrzekł: „Po kwitki do lasu, na poziomki i grzyby“.

Ale strażnik nie wierzył, chciał pytać dalej. Strach ogarnął mędrszych, żeby najmłodszy się nie wygadali, więc szepnęli im: „Uciekajcie!“ A ci w nogi.

Strażnik wrzeszczał na swego woźnicę: „Stój!“, chcąc zeskoczyć, lecz chłop zaciął konia, udając, że nie słyszy, a gdy dostał pięścią w kark i stanął już daleko, ani śladu dziecka żadnego nie było na widnokręgu.

Strażnik jednak zapisał sobie to w pamięci i pewnego dnia, gdy cały pałac pełen był uczniów, jeden z nich, postawiony na warcie, wpadł zdyszany do sali dolnej, gdzie była moja córka, wołając: „Idą! Idą!“ Córka moja w te pędy pobiegła na górę, aby ostrzedz mnie w moim pokoju — mającym jedno tylko wejście — i guwernantkę tak samo zajęętą w swojej sypialni. Dzieci były wszystkie zebrane — książki i zeszyty, ławki i narzędzia piśmienne rozłożone.

Zdawało się być już za późno... a to słowo znaczyło: „Cvtadela i Sybir!“

Wójt i dwóch strażników było już w kredensie. Z przytomnością umysłu, nabytą w ciągłym obcowaniu z niebezpieczeństwem, guwernantka skorzystała z tej chwili, aby służ-

bowemi schodami wypuścić swoją klasę bosą, a więc cicho stąpającą. Moja córka zaś swoją dzieciarnię wypuściła werandą. Obie w oka mgnieniu sprzątnęły ślady przestępstwa. Całe niebezpieczeństwo skoncentrowane było w moim pokoju. Zaczęłam więc zbiegać ze schodów, w nadziei, że zabawię intruzów na dole, a tymczasem dzieci przeleczą przez korytarz, dostaną się do guwernantki i równie drugimi schodami umkną. Ale zbladłam i włosy mi stanęły na głowie, gdy na nieszerokich schodach, w susach zwierzęcych, minął mnie ogromny brodaty wójt, pędząc ku mojej sypialni. Na to, aby przy ówczesnych panujących tradycjach uniżoności względem panów, chłop odważył się, w moim domu, bez ukłonu, bez pozdrowienia, wprost musnąć mnie w przejściu i dążyć bez pozwolenia do mojej sypialni, potrzeba było ogromnej pewności z jego strony, że zastanie tam coś tak potępiającego mnie, iż to usprawiedliwi jego postępowanie przed wyższymi władzami.

Rozpacz dodała mi śmiałości. Już, już dłoń jego sięgała po klamkę i miała odstąpić... żywe dowody mojej zbrodni stanu, gdy wydobywając z piersi jakiś głos niezwykłej siły i dumy pełny, huknęłam: „Gdzie?! Gdzie?! Czyś ty oszalał, chamie! Wpadasz do pałacu i do pokoiów pańskich jak do karczmy?! Won! Bo zatelegrafuję do gubernatora i w 24 godzin nie będzie ciebie w gminie!“

Na pierwszy doniosły mój okrzyk chłop przystanął i obrócił się ku mnie. Spotkał się z hardo wyprostowaną wysoką moją postacią i z wzrokiem piorunującym, jakiego może już w łonie matki, skutkiem atawizmu wielu pokoleń poddaństwa, zwykł był się lękać.

Własnym oczom nie wierzyłam, a serce młotem biło, gdy ujrzałam kolosa płowego, niezgrabnym a uniżonym ruchem wracającego się na dół, z czapką w rękę.

Wtedy odetchnęłam i już łagodniej zapytałam: „Czego chcesz?“ — „O! tak, interes miałem... nie chcieli puścić do hrabiny... tak ja... najmocniej przepraszam“.

Weszłam do świeżo opróżnionej sali i skinęłam na niego, żeby wszedł. Przytem słyszałam już brzęk kieliszków w kre-

densie. Poczciwy lokaj Trochim częstował tam obficie strażaków. Zapytałam: „Cóż więc takiego?”

Wójt opamiętał się. Nad głowami naszymi dawało się słyszeć stłumione stapanie mnogich bosych uchodzących nóg. Chwila była straszna. Odbiedz mógł raz jeszcze, wybiedz bądź na piętro, bądź przez kredens na dwór i schwyć choćby jednego, dwóch.

Ale oczy nasze wlepiły się w siebie wzajemnie. Moje czarne źrenice, rozszerzone poczuciem grozy, despotycznie wyniosłe, jak źrenice toreadora lub człowieka na pustyni, magnetyzującego byka czy lwa, przykuwały go złowrogo na miejscu, a ręka moja nerwowo wierciła się w kieszeni, gdzie wiadomem było, że za pozwoleniem władzy, tkwi zawsze nabity rewolwer; jego stalowe, uparte, zuchwałe źrenice wpijały się w mą twarz, z wyrazem pełnej świadomości swej przewagi na jednym punkcie.

Moja twarz drgała konwulsyjnie; przez rozwarte wliczym uśmiechem wargi błyskały jego zacięte zęby, białe, zdrowe, groźne.

„Chciałbym kupić drzewa w lesie” — wycedził powoli, stanowczo, a wzrok mówił: „Nie chcesz przepaść, to przekupuj”.

Uśmiech uprzejmie wykrzywiony przebiegł po moich ustach i głosem wesołym, fałszywo-brzmiącym, odparłam tak samo:

„Wójtowi naszemu, obsługującemu gminę, pracującemu dla nas, chroniącemu własność naszą od szkody, drzewa nie sprzedaję, ale ofiaruję chętnie w podarunku. Wiele potrzeba?”

Kroki oddaliły się i zamarły, słychać było tylko chód dwóch osób lekko obutych, sprzątających pokój i otwierających okna.

On nie spuszczał ze mnie oka. Namysłał się: „Drzewa nie mam weale na ten rok”.

„To znaczy 12 fur?”

„Dwukonnych?”

Myszę sobie: „Zbytńia hojność, to tyle, co wyznanie”. Odparłam: „Nie, jednokonne. Jak braknie tego, to wójt mi powie, a jak zasłuży, dostanie więcej”.

„Mam dwóch strażników ze sobą. Tyle złodziejstwa wszędzie. Pensya mała, wartoby ich zachęcić, żeby dobrze strzegli od klusowników i koniokradów”.

„Dobrze, dostaną po 3 ruble, a potem się zobaczy”.

Oczy jego były się zwróciły ku zapomnianemu kałamarzowi na samowarowym stoliku. Spokojnie sięgnęłam po atrament, poszukałam papieru i pióra.

„Jaśnie Pani tak ma wszystko pod ręką?”

„Aha, tu najwygodniej interesantów przyjmować”.

I jęłam pisać kwit.

„To nie sznurowy kwit?”

„Nie. To z sagów przeznaczonych na dwór”.

„Ale — dodał podstępnie, z przesadną troskliwością w tonie: „Czy to ja mogę jutro wybrać?”

„Dlaczego nie?”

„Myślałem tak, że to może święto u Sylwucha.

(Unici podlasecy „oporni“ obchodzą święta podług naszego kalendarza od chwili, gdy ich cerkwie przerobiono na schizmatyckie).

Ujawniła mi się błyskawicznie zasadzka, zawarta w tem pytaniu. Powiem, że święto, to denuncyuję Sylwucha i siebie. Powiem, że nie święto, to przyznam, że uważam Sylwucha za prawosławnego. „Ba! — odparłam — gajowy, ani pastuch, świąt ani niedziel nie znają. Modlić się muszą na posterunku, gdyż las i bydło więcej dozoru potrzebują w dzień świąteczny, niż w roboczy”.

I tak nam uszło tym razem.

Wkrótce potem doniesiono mi o potwornem okrucieństwie jakiegoś chłopca, który pojawił się za żonę wdowę, która niedługo potem zmarła, zostawiając bez opieki, ani grosza, ciężko chorą córkę z pierwszego małżeństwa, wyrzucił pasierbicę do chlewa, tam ją więził, katował, pasł zmarzniętymi ziemniakami, na przemian na mrozie lub w skwarzym zaduchu od dwóch lat zostawiał.

Posłałam do wsi sąsiedniej, gdzie się to działo, wóz grubo wysłany słomą i sprowadziłam nieszczęśliwą do siebie. Był to trup żyjący, szkielet okryty robactwem i ranami.

Oczy tylko żyły, niewymownie smutne i wyraziste. Kształt zębów przebijał się przez szarą skórę, powlekającą kość policzka i szczękę.

Bóg niech mi daruje, jeżeli pobłądziłam przez niedoświadczenie. Kazałam ją wykąpać, wyczesać, na czystej pościeli złożyć, rosółem ciepłym napoić.

Lekarz wezwany orzekł, że ona stracona, zapisał jakieś lekarstwo i pochwalił, co uczynionem zostało. Lecz snąc zmiana była zbyt silna od ciemności do światła, od cuchnącego zaduchu do świeżego powietrza, od skorupy brudu i plugastwa do czystości, od gnoju do łóżka i od głodu do pokarmu.

Czuła nieopisaną błogość, uśmiechała się radośnie, modliła się wesoło i wdzięcznie, a jednak tej samej nocy zmarła.

Gdy nazajutrz rano włościanie przyszli po ciało, wydać nie chciałam, obawiając się letargu, pozornej śmierci. Lecz oni upierali się wciąż, że czekać nie będą z pogrzebem na to, żeby władze się dowiedziały i że jeżeli nie pozwolę zabrać zaraz, to potem oni nie wrócą i będę mieć hańbę i odpowiedzialność za to, że pierwsze miejsce, skąd popi do cerkwi wywiozą Unitkę, to będzie mój dom.

Odbyłam parę prób z piórkiem i z lakiem palonym na jej piersi, ale nie drgnęła, i dałam zabrać.

Gdy noc zapadła, straszny lęk i wyrzuty sumienia mnie porwały. Spać nie mogłam. Przed oczyma widziałam dziewczynę budzącą się w grobie, walczącą z uduszeniem, rozdzielającą piersi rękami. Zrywałam się z pościeli, chciałam lecieć pieszo do J..... na ementarz, odgrzebać, ratować. Wybiegłam do sieni, spotkałam się tam z córką moją i z guwernantką, oszalałam tak samo jak ja z trwogi i zgryzoty. Dopiero w obecności jedne drugich oprzytomniałyśmy, zdając sobie sprawę, że cokolwiekby nie było, byłoby zapóźno, boć w płaskiej wiejskiej trumience, pod grubą warstwą ziemi, każdy żywy człowiek byłby martwym po pierwszej godzinie.

Przez całe miesiące dręczyłam się, jak potępieniec. Zdawało mi się obowiązkiem ludzkim, wyższym nad wszelką różnicę zewnętrzną religii, ostrzegać władze za każdym pogrzebem, a tego nie mogłam, nie mogłam uczynić.

I pot zimny występował na czoło moje za każdym razem, gdy słyszałam zdala skrzypienie wozu stępo idącego, miarowe kroki i cichy stłumiony żalobny śpiew ludzi.

Wytrzymać dłużej nie mogłam. Wyjechałam do Warszawy poradzić się najwyższego naszego Pasterza. Lecz on, gdy usłyszał o co chodzi, zerwał się, podnosząc do góry drżące ręce i wołając: „Nie kuś mnie pani pytaniami, przewyższającymi rozum ludzki. Błagam panią, nie spowiadaj się u nas, nie pytaj o to naszych księży! Jedź do Galicyi, jedź do Rzymu, ale mnie nie pytaj!“

Równocześnie Margrabia ostrzegł mnie po przyjacielsku, że jestem strasznie źle notowana u władz, że jeżeli już w Warszawie on o tem wie, co ja robię na Podlasiu, to musi być ze mną niedobrze. I dodał ze swym zagadkowym uśmiechem, dziwnie subtelnym u takiego olbrzyma:

„I sądzisz pani, że działasz w myśl Kościoła? Zapytaj się w Rzymie, a dowiesz się! Watykan rządzić się nie może wrażeniem danego momentu! On mieć musi na widoku całość Kościoła, całość ludzkości, całość wieków! Zmiany powierzchownych prądów są Opatrznościowe, a każda Głowa Jego ma właściwe sobie uzdolnienie i zadanie do spełnienia!“

I miał słuszność.

Gdy kardynał Vannutelli, jadąc na koronację do Moskwy, zapuścił firankę wagonu, na widok rwących się ku niemu z podaniem w rękę Unitów na stacyi w Międzyrzeczu, a ludzie kładli się na szynach przed pociągiem lub walczyli z żandarmeryą zęcającą się nad nimi: „Wyście nie zrozumieli, że on działał roztropnie i miłosiernie! Kto niema armat, ani liczebnej przewagi dla obrony swych owieczek, ten żadnej demonstracyi zachęcać niema prawa!“

Wróciłam do domu dla załatwienia interesów, i wyjeżdżam. Tymczasem umarł jeden z uczniów mej córki, Michaś maleńki. Zdławił go krup.

Dziecko 5-letnie konało spokojnie i przytomnie, prosilo o gromnicę, modliło się żarliwie. Zapytywane, czy się nie boi, odpowiedziało: „Ta cego? Abo to ja pirsy?“

I tą samą drogą, bez księdza, w małej trumience, za którą postępował szary, smutny, z cicha a melodyjnie zawodzący lud, przez las, pojechał, niewinny wyznawca, na J.....ski cmentarz, o zmroku. Przy krzyżu pod lasem wszyscy, prócz rodziców, odstąpili.

Były też matki, które małe, martwe niemowlęta, dla większej pewności, niosły bez skrzynki, jakoby żywe dziecko, pod chustką przytulone do piersi. Jedna z nich przez parę godzin walczyła ze strażnikiem. Ona kopie dół, a on nogami zasypuje, a ciało leży na murawie. Wreszcie znudziła mu się ta psota. Wziął 2 złp. i poszedł.

Inną w Parzewie zastałam kiedyś Żabuźniaczkę z okolicy, od dawna zrezygnowaną na schizmę. Ale dla dziecka swego ona szyzmy nie chciała i w dziwnym swym stroju ze stron dalekich, 6 mil przebyła ze sporym, bo kilkoletnim zmarłym synkiem na rękach. Przez całą noc przyniesionym kawałkiem łopaty bez rękojeści dół wykopała, dziecinę złożyła, przysypała, przydeptała, usiadła i płakała. Po polsku prawie wcale nie mówiła. Jej troską wielką było, czy grzechu ciężkiego nie popełniła, wykorzeniwszy jeden kwiat, jeden irys, jedną czarną lilię z sąsiedniego grobu i posadziwszy ją u wezłowania syna na znak! A gdy z politowaniem zauważyłam, że to nie będzie bardzo wybitny znak do rozpoznania miejsca w ogrodzie zmarłych, opływającym w kwiecie, ona upierała się, mówiąc, że na wszystkich grobach jest „mnoho“ kwiatów, a nie „adin“ i że zresztą ona zaraz do swego trafi.

Wśród uczniów moich, najulubieńszy jest Oleś Wojtek, pastuszek wiejski. Szczególne to dziecko: małego wzrostu, wątły, blady, o mglisto-błękitnych dużych oczach i rzadkich jasnych włoskach, zda się przejęty cały mistyczną poezją samotnych pastwisk, dni spędzanych w rozmarzeniu na tle przyrody, z którą się żył w mileżącej kontemplacji. Kwiaty i obłoki, wschody i zachody słońca, ruchy gwiazd, harmonia wichrów, nie mają tajemnic dla niego. Pości uparcie jak asceta, długie odmawia różańce. Ojciec jego też coś w sobie ma wyjątkowego. Niezmiernie zdolny, cieśla odró-

znął się od wszystkich go-podarzy tem, że postawiwszy wiatrak za wsią na uboczu, tam założył sobie kolonijkę. Opasał ją płotem, ogródkiem kwiatowym, pasieką, zrobił sobie okienniczki i wylepił izbę tapetem. Lubi piękno. Twierdzi, że mu łatwiej w odosobnieniu wiarę swą praktykować, gdy tamci utrzymują, że towarzystwo sąsiadów utrzymuje ducha. Nie jest więc lubiany i trochę go się boją. Mawia czasem: „Ja choć Jaśnie Pani całymi latami nie widzę, jak wiem, że jest w pobliżu, to mi rażno na duszy“. Mówi też: „Gdybym miał być hrabią i panem na K....., i posiąść całe te dobra, a wyrzec się widzenia Najświętszej Paniienki w swojej chwale, oddałbym włości, pałac, a prosił: „Matko Najświętsza okaż się biedakowi Twemu!“ A jednak i u takiego prostaka artyzm staje się pokusą. Nie jest i on bez wad i ułomności. On to zwrócił mi 6 rubli za świętego dąbczaka. On, gdy matkę grzebał, dla uniknięcia walki, w której ciało nieboszczyków bywa targane i miotane po ziemi, nie oparł się, gdy przechodzący pop swoją święconą wodą ją pokropił. Wojnę nieustanną ze sobą samym toczyć musi. Ma dwóch tęgich synów pracowitych i piękną córkę. Ale woli Olesia, którego uważa za wybranego od Boga, za świętego.

Olesia przygotowałam do spowiedzi przed wyjazdem, aby w ciągu zimy postarał się o to, żeby dotrzeć do konfesyonału. Dałam mu w tym celu kartkę do sąsiedniego proboszcza<sup>1)</sup>, bo tamten już przeniesiony do łańskiejskiej parafii. Snać odgadnięto coś o udzieleniu kiedyś ostatnich Sakramentów wielkiemu grzesznikowi, o którym już wspomniałam. Oleś odbył ze mną rachunek sumienia. Z niezwykłą czujnością umysłu oskarża się o chęć przechwalania się rzeczami nieprawdziwymi: zabiciem wrony zręcznym rzuconym kamieniem, widzeniem złocistego ptaka, którego nie widział. Wyrzucał sobie dogadzanie w marzeniach, gdy bracia pracują, i upa-

<sup>1)</sup> Kartki takie okazały się koniecznymi, gdyż policja nasyła do konfesyonału szpiegów przebranych za »opornych Unitów«, a ci, po symulowanej świętokradzkiej spowiedzi, wydają księży władzom.

janie się naturą wiosenną, pokusą krzyku i skoków zwierzęcych, szalem życia i pychą istnienia — to wprost zdumiewające!

Dowiaduję się, że Spuś, po raz drugi schwytyany, zawrócony został powtórnie na Sybir.

Pod groźbą rewizji musiałam znów mnóstwo papierów już nie spalić, ale zagrzebać w puszcze blaszanej w ogrodzie, gdzie zgniją niechybnie.

A teraz to byłoby gorzej. Przed kilkoma laty, gdy szukano moich papierów u pełnomocnika mojego, denuncyjnikiem był jego własny syn, zły, że ojciec wrócił w skutek amnestyi ze Sybiru i objął napowrót mająteczek, w którym on się już był rozhulał.

Ta okoliczność zbrzydziła czynowników tak dalece, że choć zajechali z telegą i żandarmami, celem wywiezienia natychmiast starego napowrót w głąb Rosyi, jeżeli się okaże winnym, dali się łatwo przekonać, gdy u niego nic nie znalezione, oprócz starej broni i szkatułki mojej zapieczętowanej, którą on chciał im nibyto wydać za pokwitowaniem, dodając, że oni będą odpowiadać, jeżeli tam są pieniądze... a zginą. Wtedy wyrzekli się dalszej indagacyi i odjechali, a on pospiesznie skrzynkę zniszczył.

Rok 1888.

Wróciłam z podróży — i oto pierwsze moje wrażenie. Przyszli mnie powitać moi uczniowie, a na ich czele Oleś. Biorę go na bok i pytam: „Byłeś u spowiedzi?“ — „Byłem, i u komunii też.“ — „U komunii?“ — wołam przerażona. Chłopak ma lat 10 i zupełnie nie był do komunii przygotowany. Nie przeszliśmy nawet całego katechizmu razem. Pytam go po chwili milczenia: „I jakże to było? Opowiedz mi.“ — „Ot tak: wyszedłem z konfesyonału szczęśliwy, lekko mi było na duszy. Ksiądz powiedział: A teraz idź przyjąć Pana Jezusa. Zaraz będę dawał Komunię św., a tymczasem odmów pokutę. Ja pierwej nigdy Pana Jezusa nie widziałem, choć bardzo chciałem, ale że ja mały, zawsze w czasie Pod-

niesienia klęczałem gdzieś za plecami jakiegoś dużego chłopca i koniec. Teraz, jak zadzwonili, poszedłem za tamtymi, patrzałem jak drudzy robią; ukląknęłam, widziałem jak bielusięńki opłatek ksiądz niesie do każdego. A jak się zbliżył do mnie, to mnie zamoczyło. Otwarłem usta, przymknąłem oczy, a gdy uczułem na wargach ten opłatek, serce mi biło, na płacz mi się zbierało. Spożyłem — i padłem na twarz, bo teraz już wiedziałem, czułem, że Pan Jezus wstąpił do serca mego i rozgrzewa go!“

Bóg lepiej przygotowuje przyjsie Swoje, niż ludzie!

Przywiozłam znów ludziom sto metryk i sto aktów ślubnych, lecz tym razem nie ja je miałam na sobie, przez granicę, ale osoba z mej rodziny, poddana francuska, której nikt nie podejrzewał.

A granica znów pilnie jest strzeżona. Zabito niedawno przedzierającego się do Galicyi pana młodego podlaskiego.

Straszne jest panowanie Hurki — w Królestwie, a nad „innowiercami“ wszechwładny wpływ Pobiedonoscewa i carycy Dagmary. Aleksander III coraz bardziej staje się ponurym i surowym. A żona Hurki, Marya Andrejewna, chcąc odgrywać rolę królowej wobec towarzystwa warszawskiego, zawiedziona w swem oczekiwaniu chłodnym i godnym zachowaniem się pań naszych, mści się zajadle, podle, na całym narodzie, na wszystkich wyznawcach katolicyzmu. Ich prawą ręką jest Austryak rodem, perekiniec, tam za zdradę stanu skazany, zbieg, urzędnik od szczególnych poruczeń, dziś fanatyk moskalofil, szpieg z amatorstwa, a pomocnik wysokiej rangi jenerał-gubernatora z urzędu, Mirosław Dobrzański. Za instygacją jego, za rozkazem Hurki, w tym roku 1000 rodzin uniekich, w nocy przez żandarmów zaskoczonych, wywieziono kolejno partyami do gubernii Orenburskiej, gdzie, jakby na kpiny, dano im, bez narzędzi, ani inwentarza, tyle jałowej ziemi bezwodnej, ile mieli tutaj gruntu ornego, oraz nieco surowego budulca, w miejsce skonfiskowanej tu chalupy i zabudowań gospodarczych. A oni wszyscy przyjęli los swój z rezygnacją świętych, z godnością rycerzy, bez skargi na ustach, bez łzy, z uśmiechem — wszyscy:

mężczyźni, kobiety, dzieci, dziewczęta, starcy, kalecy — wszyscy!

Dobrzański wygnał na Sybir kilkudziesięciu księży, osadził na ich miejsce swoje kreatury.

W Lublinie, na jego skinienie, dyrektor policji został aresztowany i wysłany na oczekaniu w głąb Rosji, za to, że „opolaczył się“, zarzut, uczyniony zarówno byłemu uczciwej pamięci generał-gubernatorowi Albedyńskiemu, a nawet Kotzebuemu.

Imię Dobrzańskiego stało się straszne i słynne, przysłowiowe i legendarne. Gdziekolwiek zjawia się nieznany „Węgier“ z towarami, kacap, kominiarz, byle smukły, czarny i rosły, mówią: „Dobrzański!“ Ludzie milkną, baby groźnie wiechciem go wypędzają od progu. Ale nie nie pomaga, tu dziecko się zdradzi, tu sam coś podpatrzy; a za dni kilka wyrok administracyjny, najazd, i won! na Sybir!

Przed sześcioma tygodniami występny nasz proboszcz wisznicki nakazał mi przez kancelaryę wręczyć wezwanie, abym się stawiała w następną niedzielę w parafialnym kościele. Sądziłam, że chodzi o zwołanie obywateli do uczęszczania we własnej, przewrotnie obsadzonej parafii, a nie do obcej, gdzie był porządny ksiądz i gdzie wszyscy jeździliśmy na nabożeństwo.

Pojechałam z moją matką, poddaną austriacką, z córką i z guwernantką.

Kazanie i suma minęły spokojnie. Dażyłam już do powozu, gdy sam proboszcz zbliżył się i objaśnił mi, że on nie myśli z własnej kieszeni płacić straż do wyrzucania „prawosławnych“, pchających się do „naszego“ kościoła, więc wezwał Dobrzańskiego dla zrobienia z tem porządku i że on na nas czeka.

Z obywateli, oprócz nas, nie było nikogo. Ktoś posłał swego rządce, był mój dzierżawca, oraz około 200 drobnych właścicieli i mieszczan wisznickich, czekających na placu.

Dobrzański, suchotnik wysoki, chudy, o płonących wilczych oczach, bardzo biały, z wypiekami na policzkach, podłużną kamienną twarzą, po której chwilami nerwowo dreszcz

zaskórny przebiegał, sztywny w wojskowym mundurze, powitał nas po rosyjsku, następnie po niemiecku. Dziwił się mojej matce, że bez potrzeby przybyła, a gdy mu powiedziała, że chciała widzieć rzeczy; uważane za bajki w Europie, a które jednak się tu istotnie dzieją, zachnął się i zaczął gorączkowo tłumaczyć jej, że opieka nad ludem — małoletnim co do umysłu i wykształcenia — to dobrodziejstwo, chroniące go od ruiny i wyzysku Żydów, boć rzekome bohaterstwo tego ludu, to upór, podsycany przez panów w celach patriotycznych, gdyż chłop żaden różnicy nie zna między dwoma religiami — że rząd, zapewne, popełnił błąd, był źle poinformowany, wszczynając tę kampanię duchową, lecz ustąpić już dziś nie może... a teraz nie ciemnych włościan, lecz podżegaczy świeckich i duchownych będzie się pociągać do odpowiedzialności i t. d.

Słuchał bardzo uważnie mojej repliki. Dowodziłam mu, że dla władcy wielkiego cesarstwa nie jest wstydem żadnym w bądź jaką solenną rocznicę obdarzyć garstkę ludu wolnością sumienia, że o politycznej propagandzie nie może być mowy, gdyż Rusini nigdy z Polakami, a szczególnie z panami się nie jednali, a jeżeli do nas przyłgnęli, to dzieło przesładowców; że dziwnem jest, w chwili, gdy rząd zagrożony jest ruchem anarchistycznym, podkopywać wiarę — najpewniejszą poskromicielkę namiętności i wymagań ziemskich — u ludu dotychczas konserwatywnego, i dziś jeszcze, choć z gorzkim westchnieniem, z obowiązku modlącego się „za monarchę“; że rząd sam musi czuć dobrze, iż najgorszych sobie pozyskuje osobników w perekińcach z chciwości lub strachu; że na religijnych zasadach takich ludzi rząd polegać nie może, a gnębi najlepszych, odstręcza ich od oświaty, połączonej z przymusem schizmy w szkole, że wprost hodzi sobie plantacye anarchistów i niedowiarków i t. d.

Nie odparł nic. Kazał wezwać zgromadzonych parafian, podstępnie i gładko przemówił do nich: „Przybyłem tu, aby was w swobodach waszych utrwalić i zapobiedz nieszczęściu, grożącemu wam, jeżeli prawosławni nachodzić będą wasz kościół. Dawniej prawosławni i katolicy w dobrej komitywie

nawzajem uczęszczali do obopólnych świątyni. Teraz inaczej. Kościół stał się hasłem do buntu i do propagandy polskiej na Rusi. Car tego nie chce i kościoły pozamykać każe. Zresztą co wam za przyjemność, aby wam chłopcy miejsca w szczupłych świątyniach zabierali. Proboszczowi za ciężko z tem walczyć. Przyszedłem więc do was z propozycją, abyście głosowali między sobą, czy przysyłać będziecie parobków waszych do strzeżenia wrót od najścia Rusinów, czy też podatek płacić wolicie dla utrzymywania ochronnej warty?“

Ja w czasie tej mowy chodziłam od jednego do drugiego, mówiąc: „Kto na to się zgodzi, nie jest katolikiem! Zastanówcie się!“

Lecz oni pospiesznie usuwali się odemnie, pomrukując: „Bolesna konieczność! ale konieczność!“

A za mną szedł ksiądz, ironicznie ostrzegając: „Pani hrabina dostanie się do więzienia!“

Rządca obcy, poczciwiec, powtarzał: „Ostrożnie, ostrożnie na Boga!“

Głoszący wyszli na ubocze.

Wkrótce wrócili, a jeden z nich ogłosił: „Wolimy płacić podatek“.

Nastalo milczenie ciężkie, długie. Wreszcie zapytałam: „Czy nikt nie ma nic do powiedzenia?“

Ktoś się wyrwał: „Nic!“

Wtedy stanęłam na środku izby, i powoli, dobitnie wyrzekłam:

„Proszę pana zapisać do protokołu, że ja nie zapłacę, że to oświadczyłam i żądam, aby było zapisane!“

Dobrzański drgnął.

„Pani! — szepnął głucho po niemiecku. — Na miłość Boską, co pani czynisz!? Toć to parę rubli przypadnie na K.....!“

„Parę rubli dam na Mszę św., aby przesładowanie ustalo — odparłam głośno i wyraźnie po polsku — ale ani grosza nie dam na wyrzucanie katolików z Domu Bożego!“

„Also es ist eine Principien-Sache?“

„Tak, to jest rzecz zasady, gdyż niechaj wie każdy, że nie jest ani katolikiem, ani obywatelem, kto na ten podatek się zgodzi“.

„Prawosławnych a nie katolików wyrzucę się z kościoła katolickiego“ — wrzucił proboszcz.

„Najpierw Unici są katolikami obrządku greeckiego, po drugie wiara jest tem, w co kto wierzy. Choćby Żyd chciał się nawrócić, nikt nie ma prawa oddalać go od progów świątyni“.

„Ja nikogo nie przezywam — bronił się kwaśno ksiądz — jak kto prawnie zapisany, tem jest. Ja odpowiadam za moje owieczki obrządku łacińskiego. Wygryźcie mnie, wygrzyźcie! Zamkną wam kościół. Dużo na tem zyskacie wszyscy!“

„Lepiej mieć kościół w duszy, niż murowany kościół zgorzienia. Rząd ma wojsko i policję, aby wykonywać swą wolę, a nie ma prawa żądać od obywatela, aby się hańbił żandarmską robotą. Nie śmiałybym ludziom w oczy zajrzeć, ani uszanowania od nich wymagać, gdybym się do takiej roboty przyczyniła. Czekalam, czy mężczyzna który godności obywatelskiej nie obroni; skoro takiego nie ma, żądam, aby mój protest był zanotowany. Inaczej hańbą się pokryje parafia wisznicka!“

„Pani, która pochodzisz z konstytucyjnego państwa, wiedzieć powinnaś, że większość głosów jest prawomocną, a pani jesteś sama swego zdania“ — krzyknął Dobrzański.

„Wiem o tem, ale deklaruje, że nie zapłacę!“

„Ściągną przemocą“.

„Dobrze, niech mi zaborą krowę lub bryczkę, ale ja protestuję i dobrowolnie nie zapłacę“.

„Po co pani w ogóle tu przyjechała? Wszak majątek w dzierzawie. Dzierżawca płaci podatki“ — zauważył Dobrzański.

„Przyjechałam, bo proboszcz przez sołtysa mnie wezwał“.

Dobrzański z wściekłością zwrócił się ku księdzu: „Czy to prawda?“

„Ach, gdybym był mógł przeczuć, przypuścić! — myślałem, że ja pan naczelnik przekona, do porządku nakłoni“.

„A teraz cieszę się, że tu jestem, aby choć jeden głos podniósł się przeciw bezprawiu i sromocie“.

Tu przyszedł mi z pomocą mój dzierżawca.

„Łaskawco, Wielmożny Panie! tu jest mój kontrakt. Ja się zobowiązałem płacić wszystkie podatki ukazem Najjaśniejszego Pana na ziemi, inwentarze i budynki nałożone, oraz normalne, ogólne, wszędzie obowiązujące podatki gminne szkolne, drogowe, podwody. Ale ja tu nie widzę dowodu, żeby to, o co chodzi, było Najwyżej sankcjonowanym podatkiem. Mnie do tego mój kontrakt nie obowiązuje“.

Ten materialny subiektywny pogląd na rzecz trafił do przekonania skąpych mieszczan i zaściankowej szlachty i wywarł wielkie wrażenie.

„To prawda, to na niczem nie oparte żądanie, nikt nie ma prawa podnosić podatków samowolnie, za ten wiatr, co wieje“ — wołał jeden i drugi.

I nie podpisawszy niczego, zaczęli umykać każdy w swą stronę.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — wymówiłam spokojnie, a Dobrzański zmieszany wtórował: „Na wieki wieków“.

Wyszłam.

Pojechałyśmy. Matka moja załamywała ręce, mówiąc: „Boże, Boże! co to będzie?! pociosmy się w to zaplątały“.

W tydzień potem przybył w odwiedziuiy dziedzie dóbr, którego rzadca był świadkiem tej sceny.

Doniósł mi, że po moim odjeździe Dobrzański latał po pokoju błady, pieniać się ze złości:

„A to baba! Wszystko zepsute! Nauczę ja ją! Snać tęskno jej za krewniakiem. Doniosę jenerał-gubernatorowi. Za miesiąc nie będzie śladu po niej w tem miejscu — sekwestr, konfiskata, Sybir. Nie poprzestaniemy na karze tak lekkiej, jak było z tamtym“.

Wtem nadjechał jakiś sąsiad, podejrzrywany o przyjaźń z Moskalami. Co go skłoniło do ratowania mnie, nie wiem. Dość, że zaczął uspakajać wilka: „Nie wstyd panu pastwić się nad Galicyanką, nad córką wielkiego mowcy liberalnego

w parlamencie austriackim? Nie przypominaj im się pan powtórnie! To będzie skandal europejski! Ona do naszego obyczaju nie nawyła. Ona pana obrazić nie chciała, tylko ustrój państwowy dla niej nowy i niezrozumiały. Daj jej pan pokój! A nie wielka rzecz dla rządu jakie sto rubli rocznie wyasygnować na wartę kościelną z czterech ludzi złożoną podczas nabożeństwa w niedziele i święta. Ot co!“

I fakt jest, że sześć tygodni minęło, i nie mi nie zrobiono. Zda się, że sprawa wpadła jak kamień w wodę. Dziwna rzecz, że tu czasem niesłychana śmiałość lepiej popłaca, niż potajemne nurtowanie.

Rok 1889.

Na parę lat przed prześladowaniem, uczuciowy, słabego umysłu grajek Mikita, który pierwszą swą żonę tak ubóstwiał, że sparaliżowaną pieszo niósł do Częstochowy w nadziei jej uzdrowienia, po jej śmierci zakochał się w prawosławnej dziewczynie z daleka, i nie nie rozumiejąc co czyni, został schizmatykiem, aby móżdż ją poślubić.

Był to człowiek wątły, łagodny, prawie mistyk, bardzo dobry i cichy. Gdy w r. 1872 i w latach następnych zobaczył co się dzieje i jak ludzie giną dla wiary, której on tak łatwo się wyrzekł, ogarnęła go wielka skrucha i żal. Podzielił gospodarstwo swe między dzieci z drugiego małżeństwa, sam zaś został pasterzem owiec dworskich.

Z oczami wlepionymi w ziemię, poszeząc ustawicznie i modląc się, chodził w łachmanach, nikomu krzywdy nie robił, a owce swe pielęgnował i znał jak nikt inny. Rozdzielone gospodarstwo mało niosło pożytku. Synowie prawosławnej, piękne i hulaszce chłopcy, przy opiece rządu, łatwo wygryzli starszego, Unię. On przyjął służbę u jakiejś wdowy włościanki. Z nią się pokłócił i został odpawiony. Onego dnia rankiem jeszcze odgrażał się, że bogatą babę z dymem puści. Wieczorem wyniósł się ze swojemi sprzętami.

W nocy cała wieś stała w płomieniach. Tak okropnego pożaru nie widziałam nigdy.



Chaty drewniane, słomą kryte, tuż przy sobie rzędem po dwóch stronach drogi budowane, z tyłu chlewami i oborami poprzecznymi przez małe podwórko połączone ze stodołkami w głębi, jak paczka zapalek się zajęły. Wiatr jedną smugą, jedną wstęgą ognistą objął wieś całą; przerzucił falę płomienną na drugą stronę wąskiego gościńca, zapalił mosty, topole, krzyże, snopami iskier miotał i sypał aż hen! na pola.

Wkrótce obu stronne płomienie złączyły się pośrodku ulicy, przemieniając ją na jedno morze ognia. Nie było nawet gdzie wynosić sprzętów i zapasów. Ryk bydła, bek owiec, kwik trzody chlewnej, tętnienia kopyt koni tyłami na pola wyganianych, łączył się z płaczem i krzykiem ludzkim.

Natychmiast dzwonem alarmu nocnego stróża obudzona, wybiegła. Już dzierżawca z całą służbą byli na nogach, ale nie było poprostu gdzie ustawić sikawki, jedynie rozebranie kilku chałup w miejscu, gdzie była przerwa między wsią główną a kilkunastoma domostwami, przed skasowaniem pańszczyzny do czeladzi dworskiej należącymi, mogło te ostatnie, dziś przez niezależnych gospodarzy zamieszkałe, ocalić. Lecz właściciele tych skazanych na rozbiórkę chałup stawiali opór, zrozpaczeni, że indemnizacyi assekuracyjnej nie dostaną. Żadne względy etyczne, żadne argumenta, że przymusowa rządowa assekuracja nie zwróci tyle, ile ocali się budulca i wewnętrznych sprzętów, przekonać ich nie mogła. Przemocą stelmach, kowal i parobcy z siekierami zdobyli i w mgnieniu oka sprzątnęli cztery domki, szereg plotków chruścianych i ostrokołów, dwanaście drobnych gospodarczych zabudowań i z tej luki dwiema sikawkami prażyć poczęli najbliższe strzechy, ledwie po czubach tłące. Dalej postąpić ku ognisku było niepodobieństwem. Piekielny żar zionął od czerwonej powodzi, palił nam oczy, twarze, zapalał włosy, brwi, rzęsy i odzież na naszych ciałach. Osmolone bociany, których gniazda razem z topolami runęły, pozbawione piór na skrzydłach, a tem samem i możliwości do lotu, tuliły się przerażone do nas i tak dalece zgłupiały, że bez użycia swych

okrutnych dzióbów dały się zabrać mojej córce pod pachami do pałacu, gdzie je w sali jadalnej złożyła.

Gdy wreszcie pozostały tylko szczątki kominów 60-ciu chałup i podmurówki 240 obór, stodoł i chlewow, a 18 osad tylko ocalało, ruszyliśmy przez gruzy, już w biały dzień, zapiając zbolale nogi w gorącym popiele, tak, iż podeszwy wkrótce odpadły nam od obuwi. Okazało się wtedy, że kilkoro dzieci spaliło się na węgiel, że około 100 ludzi jest rannych, niektórzy ociemnieli, inni omdleni, kilku z połamanymi rękami lub obojczykami; a co najstraszniejsze, zebrałiśmy naga, czarna jak murzynka, z wypalonymi oczodołami, z otwartą czarną gębą, z łysą czaszką, jeszcze żyjącą wdowę, ofiarę podpalenia! Na prześcieradle zanieśliśmy ją do domu.

Murowany, blachą kryty, zielonym parkiem oddzielony od ocalonej części wsi pałac, był zupełnie bezpieczny i zamienił się od razu w ambulans. Niektóre pokoje służyły już od nocy za przytułek dzieciom i kobietom, które uciec zawczasu zdołały. Dwóch lekarzy i felezer uwijali się około chorych. W kuchniach dworskich gotowały się kotły jada dla zdrowych, tak samo jak dla rannych. Nieszczęsną konającą kobietę owinięto całą w olbrzymie arkusze waty, maczanej w karbolowej wodzie. Męczyła się przez dwa dni jeszcze, miotając z początku przekleństwa na podpalacza,zywając wójta i strażników, aby go zaskarżyć po imieniu. Wreszcie jęła słuchać prośb naszych, aby nie o zemście i karze na wroga, ale o własnej duszy i o miłosierdziu Bożem myślała. Popadła w przedśmiertną apatyę, powtarzała po nas słowa poddania się woli Opatrzności — i skoła.

Wtedy zbliżył się wójt i zapytał mnie: „Skoro Jaśnie Pani taka dla tej nieboszczki łaskawa, to zechce pewnie i pogrzebem się zająć?”

„Nie, ona ma rodzinę swoją we wsi sąsiedniej, niechaj jej zwłoki krewni do siebie zabiorą. Ja jej osobiście nie znałam, a tylko ulgę nieść chciałam jej cierpieniom“. Wtedy dopiero dowiedziałam się, że ona jest prawosławną, powinowatą drugiej żony Mikity, stąd zbliżenie, oraz spory z jego synem z pierwszego małżeństwa.

Zdawało się wskazanem, że zbrodniarz-katolik, a raczej oporny Unita, karanym będzie ze zdwojoną surowością za zniszczenie wsi, spowodowanie tylu śmierci, a szczególnie za zamach na schizmatyczną gałąź swej rodziny.

Otóż zasadnicza solidarność czynowników ze zbójcami i przestępcami jest tak wielka, że pomimo zeznań kobiety umierającej, protokołu nie spisano, śledztwa nie wdrożono, z żywych nikt nie był świadkiem — pogrózki, to jeszcze nie dowód, słowem: do tego stopnia nie ścigano podejrzanego parobka, że gdy, odchorowawszy ten pożar, przeznaczywszy pewną ilość budulca z moich lasów dla pogorzalców i zebrawszy składkę na nich między swoimi, rozdawać poczęłam pieniądze i kwity według listy starannie ułożonej przez rzeczoznawców, stanął nagle przedemną oskarżony. Byłam sama z nim w pokoju. Zapytałam:

„I ty masz pretensję do zapomogi? za co?“

„Spaliła się moich braci chałupa, co tam były i moje graty i ojca“.

„A wiesz ty — ciągnęłam dalej — o co cię posadzają?“

„Wiem“.

Spojrzałam badawczo w mętne, szare, niezbadane jego oczy, ale nie absolutnie z nich wyczytać nie mogłam. Była w nich albo bezdeń bezczelności, albo ogrom rezygnacyi.

Bywają okrutne omyłki, zbieg okoliczności nieraz kojarzy przypadkiem pogroźkę gniewną, ale bezmyślną jednego człowieka ze zbrodnią innego.

Dreżącą była ta zagadka. Wydobyłam z prywatnej mojej sakiewki datek dla niego, mówiąc:

„Z pieniędzy składkowych nie mogę ci dać ani grosza. Oto masz... odemnie! Nie dziękuj mi, nie mów nic! W każdym razie jest mi ciebie żal ogromnie, bo słuchaj: jeżeli jesteś niewinny, krzywda twoja jest bezgraniczna. A jeżeli popełniłeś zbrodnię w uniesieniu... w głupim zapomnieniu o drugich, o setkach ofiar twojej pojedynczej nienawiści i teraz śmiesz jeszcze żądać jałmużny im przeznaczanej, to zaprawdę dusza twoja jest duszą potępieńca! Nie mogę patrzeć na ciebie bez zgrozy, bo nie wiem! A jesteś

albo świętym, że tak spokojnie przyjmujesz potwarz, albo jesteś...“ — nie dokończyłam.

On westchnął. Nic w jasnych jego źrenicach nie zabłysło. Nic. Powoli odwrócił się i poszedł, nie tknąwszy pieniędzy.

I do śmierci wiedzieć nie będę, czy to złoczyńca, czy ofiara.

A ojciec jego, mój pasterz owiec, niepokieszony, pograżony w smutku głębszym, niż pierwej. Przestał już jeść zupełnie, włókł się jak chwiejny cień człowieka, stronił od ludzi. Pytany przezemnie, dlaczego takim katem jest dla siebie, łagodnie patrzył mi w oczy i mówił: „Pani wie!“ Opowiadał mi nieraz dawniej, że był w Częstochowie, że grzech swój dawny wyznał i to, że w dzisiejszych stosunkach nigdzie nigdy abjuracyi jego żadna władza duchowna, ani świecka nie przyjmie i że otrzymał rozgrzeszenie, ale całe życie poświęcił pokucie.

Teraz przywłókł się do mnie, mówiąc: „Pani, ja już dłużej żyć nie mogę. Widzisz, jak ukaranym jestem w dzieciach i rodzinie mojej. Odbierz pani swoje owce, ja umrę“. I poszedł do synowej, która nim gardziła, i pokornie w jej obórce w kąciaku się położył — i rzeżał. A gdy ostatnia chwila jego wybiła, zawołał tylko: „Pójdźcie do pani, niech da na Mszę za duszę moją. Ona wie!“ I skonał.

I byliśmy wszyscy na żałobnym nabożeństwie za biedną, niejasną, skołataną, słodką duszę jego.

Szpital w Milanowie ostatecznie zamknięto i Siostry odesłano do Warszawy. A chłopom naczelnik tłómaczył, że to księstwo C., gardząc wolą babki, pozbawili ich przytulku. Lecz oni nie wierzą i odpowiadają: „Lepiej, żeby szpitalu nie było, niż żeby miał być szkołą schizmy“.

Rok 1890.

Dziwna się tu rzecz stała.

Nad bramą kaplicy mojej na froncie jest stary obraz wielkości naturalnej Matki Boskiej Częstochowskiej, malo-

wany na blasze, obramowany framugą z cegieł, z szerokim gzymsem wystającym u dołu.

W pierwszych latach prześladowania, czy wiatr, czy ptak opuścił ziarno nasienia na ten gzymś, widocznie posypany ziemią, równie wiatrem naniesioną, deszczem rozmoczoną i urodzajną. Słowem wyrosła tam brzoźka, korzenie jej wrosły w cement, wapno i szczeliny między cegłami. Urosła brzoźka na samym środku i jakby chciała zasłonić przed oczyma Najświętszej Panny obrazy krwi i bezprawia, toczące się przed Jej obliczem, rozrosła się i wachlarzem zieleni zakryła Ją przed wzrokiem bluźnierców.

Wilgoć i pleśń wkradły się do kościółka. Nocami naprawialiśmy, przerabiali i odnawiali świątynię w tajemnicy przed wrogiem.

Przed kilkoma miesiącami zjechał tu naczelnik straży ziemskiej Bezkiszkin, niby z wizytą, a rzeczywiście dla przynaglenia mnie do oddania kaplicy na użytek schizmy. Odparłam tę propozycję i ofertę zakupną jej korzystnego przez rząd z całą hardością osoby, oburzonej na myśl hałasu i wkraczania publiczności do swego prywatnego ogrodu.

Wtedy zaczął on prosić, abym ofiarowała lub sprzedała jaki grunt i budulec na cerkiew, „gdyż są ślady w archiwach, że dawniej była tu cerkiew“.

„Jeżeli była, to ją przenieśli do mojej drugiej wsi, gdzie do dziś dnia stoi — odpowiedziałam — a jeżeli chłopci chcą mieć cerkiew, cóż mnie do tego? niech się sami składają na to. Dziś już pańszczyzny niema, serwituty zamienione, nie wspólnego ze sobą nie mamy!“

Przez cztery godziny dręczył mnie ten człowiek, a ja podejmować go musiałam, częstować posiłkiem, z wypiekami na twarzy żartować, wymijać, aby do wściekłości go nie doprowadzić.

Obecna tej scenie kuzynka moja, z Galicyi, do takich rzeczy nie nawykła, tak się tem zdenerwowała, że nareszcie wstała, wybiegła i rozplakała się w przedpokoju. Gdy wyszłam za nią, zawołała: „A to stosunki okropne! U nas taką figurę przyjmuje się w kredensie, a nie prosi się siadać. Nie

mogę tego znieść, żebyś ty jak piskorz się wykręcała przed tym policajem“.

Ijacy to ludzie! Nietylko ordynarni, ale złodzieje, wprost złodzieje.

Włościanie nie chcieli narzuconej im szkoły prawosławno-rosyjskiej, a czynownicy byli z tego uszczęśliwieni. Brali dla siebie podatek szkolny, zakupili pozornie grunt, budulec — a tymczasem równie pozornie wynajęli chałupę i placą nauczyciela. Wieśniacy dopomagają im w tej komedyi, aby się pozbyć przymusu. Nauczycielem był i jest rzekomo bosy analfabeta pastuch, dobrowolnie bezpłatny, a naczelnicy biorą i biorą pieniądze rządowe. Właściciel chałupy nie bierze za nią ani grosza, a czynsz dzierżawny pozostaje u naczelnika. O budulec i grunt cynicznie klócili się przy nas naczelnik i komisarz. A ja ostatecznie uwolniłam się od ich pretensyj, wydzierżawiając im u siebie darmo polowanie i sprzedając im bez zapłaty owies i siano! Przy zamianie serwitutów, o jakieś 100 starych dębów spornych, zgodziliśmy się, wieś i ja, że je dam na rozszerzenie kościoła łacińskiego w pobliżu, a sąsiedzi darowali cegłę, wapno, kamień.

Na pozór pozwolenie władze udzieliły, lecz gdy przyszło do zatwierdzenia planu, rozbiło się wszystko, a oni nasze drzewo i sąsiadów dary bezczelnie rozkradli na wille urzędnicze w Radzynie.

Stary mój ogrodnik, dawniej leśniczy, ciężko zachorował. Nie był to człowiek sprawiedliwy. Trzymałam go w służbie dlatego, że się tu urodził i był chętnym, zręcznym, dogodnym służbistą. Ale nadużycia jego, tak w lesie na wielką skalę, jak w sadzie w mniejszych rozmiarach, lecz ciągle, były ogólnie znane. Otóż skoro się czuł bliskim śmierci, trudność była tak wielka o księdza — gdyż trzech proboszczów wywieziono na Sybir dokoła w ciągu roku — że nieborak w strachu konania począł się głośno przy wszystkich spowiadać ze wszystkich swoich względem mnie przewinień. Poszłam do niego, a widząc, że strwonił, co wziął, a rodzina jego biedna, darowałam mu wszystko, coby potrzebowało restytucyi.

Uspokoił się nieco i polepszyło mu się zaraz. Po wielkich trudach znalazł się kapłan do wypowiedzenia go, lecz nie do udzielenia mu Komunii, gdyż to było zbyt niebezpiecznym. Człowiek odżył, ale wstydzi się teraz, nie śmie patrzeć nikomu w oczy i wegetuje poniekąd biernie, bez chęci do niczego.

Pewnego wieczoru zauważyłam ruch niezwyły i podejrzany w moim ogrodzie. Ludzie biegli po drózkach między krzakami. Starej kobiety garderobianej nie było w domu — słowem, coś się działo, w co wglądać było trzeba. Wzięłam rewolwer i wyszłam. Była 1-sza w nocy. Wołałam, nikt nie odpowiadał, ale szmery i szelesty nie ustawały, a na drodze nieustanny turkot kół zwracał moją uwagę. Wreszcie dopadłam jakąś grupę ludzi i przytrzymałam jednego. Po długiej indagacji dowiedziałam się, że przybył do wsi przebrany Jezuita, że cała okolica włościańska zjeżdża się z dziećmi do chrztu, z penitentami do spowiedzi, a szczególnie z parami do ślubu. Mniejsza o to, ale działy się w tym pośpiechu rzeczy niemożliwe. Pary na prędcie się kojarzyły — dla skorzystania z okoliczności — które nigdy o sobie dotychczas nie myślały.

Traktowano o posagi, rodzice a nawet wujostwo narzucali swą wolę młodym do tego stopnia, że jeden nibyto rozkochany w biednej dziewczynie chłopak dał się skusić obietnicami zamożnej swej ciotki, pojechał w nocy do J... do domostwa wskazanego mu przez nią, obudził ojca i córkę „posażną“, to jest posiadającą 100 rubli, której nigdy nie widział i która go nie знаła, przywiózł ich do K..... i ślub wziął z zaspaną oblubienicą nową, przy mdłym świetle lartarki nocnej i stadło przysięgą dozgonną i Sakramentem związane dopiero nazajutrz po raz pierwszy wzajemnie swe rysy dosadnie ujrzało, podczas gdy opuszczona, dowiedziawszy się o swej niedoli, zawodziła i mdlała.

Ksiądz, chcąc zjednać sobie wiarę u ludzi, przechwalał się znajomością ze mną i moją córką z czasów, gdy byłyśmy za granicą. Szpieg znalazł się wśród tłumu, w ciemności — i zadenuncyował mnie.

Pozory były fatalne, bo chociaż ja w rzeczywistości ani go znalazłam, ani go sprowadziłam, a usłyszałam o nim po raz pierwszy w ogrodzie, gdy on już był na miejscu w jakiejś chłopskiej stodole na wsi, nie oparłam się pokusie posłania mu wina, mięsa i kawy, najpierw z poczucia ludzkości, po drugie dlatego, że on rzeczywiście kiedyś we Lwowie moją córkę u Sercanek spowiadał, a mnie znał z widzenia. Przychwytany, do reszty mnie skompromitował.

Wyjechać musiałam pośpiesznie i spędzić cztery miesiące za granicą, do końca procesu, z którego wydobył mnie poczciwy pisarz Tatar, wydzierając z protokołu wszystkie stronnice, traktujące o mnie, których umyślnie nie ponumerował. Biedaczysko nic więcej mi nie zawdzięczał, jak kilka fur zbiórki, ale był dobroduszny i Moskali nienawidził, będąc muzulmaninem. Z niewiadomych powodów powiesił się przed kilkoma tygodniami, a teraz nastąpiła na jego miejscu szkaradna figura, z którą, sądzę, że będę miała ciężkie życie.

Rok 1891.

Bardzo rzadko dojeżdżam do siebie do K..... Całe prześladowanie zwróciło się ku nam, obywatelom i księżom. Moskale drą z nas, co mogą, a przekonawszy się, że przez mocą nie nie wskórają, biorą się do innych środków bardzo podstępnych i niebezpiecznych z ludem małoruskim. Działają ujemnie na rekrutów w wojsku, kuszą ich protekcją i datkami. Przyjaźnią się z jednostkami gorszego gatunku, a potem z nich sobie tworzą rozsiewaczy demoralizacji po wsiach. Już się dają czuć skutki tego nowego systemu.

W K..... nikt jeszcze nie przeszedł na schizmę, lecz duch jakiś buntu, zuchwałości, oszukaństwa i nieufności budzić się zaczyna względem dworu, a we wsi P....., w J..... i w Gęsi, nie dużo wprawdzie, ale jakaś czwarta część ludności zaczyna uczęszczać do cerkwi i do szkoły.

Jozafat Spuś po raz trzeci wymknął się z Sybiru, ale już nie zdążył dostać się do nas — zmarł w drodze i pochowano go pod krzyżem na gościńcu o 20 mil stąd.

Od r. 1894 do końca r. 1895.

Car Aleksander III zmarł w listopadzie roku zeszłego. Budują wielkie nadzieje na panowaniu jego następcy, Mikołaja II.

Przez trzy lata nie pisałam. Jak przypływ i odpływ morza, tak fala prześladowania, stosownie do ludzi, do prądów politycznych i socyalnych, do okoliczności pobocznych, raz się wzmacza, następuje, drugi raz się cofa i inne przybiera kształty.

Dzierżawca opuścił K..... Wzięłam administratora dobrze poleconego, który zawiódł moje zaufanie, a ludzie okazali się niektórzy w świetle niespodziewanie niewdzięcznym i dla mnie bolesnym. Pracować muszę sama, po nocach utrzymywać księgi gospodarcze, w dzień objeżdżać pola i dozorować roboty. Tracę na tem siły, zdrowie, wzrok. Nie wiem, jak się to wszystko skończy. Córka moja wyszła za mąż w Księstwie Poznańskim. Zakaz dla cudzych poddanych posiadania majątków tutaj wyklucza możliwość dla moich wnuków dziedziczenia tej ziemi. Zaczynam przewidywać konieczność sprzedaży majątku. Ale w czyje ręce? Kto mnie zastąpi? Kto tu pracować będzie po mnie?

P..... zrobiły mi wielki zawód. Oskarżyli mnie o buntowanie ich przeciw prawosławiu, a ojców swoich o niekorzystną zamianę serwitutów pod wpływem szkodliwych pochlebstw dworu. Odparci przez komisję włościańską w Siedlcach, której skład był tym razem wyjątkowo uczciwy, wysłali deputację do monasteru Czernie, niedaleko Białej, gdzie ksienią jest przyjaciółka od serca carycy-wdowy, Dagmary.

Ogarnia mnie zwątpienie!

Rok 1896 — 1897.

Koronacya Mikołaja II. Hurko wydalony, Marya Andrejewna skompromitowana.

Gdy Szuwałow generał-gubernatorem został, spokój względny zapanował nad Unią. Dziś nie upoważniają do niczego, ale przez palce patrzą. Pogrzeby odbywają się bez

przeszkód, i doktorów wzywać można, i czekać 48 godzin dla należytego sprawdzenia zgonu. Teraz przekonać się można, gdzie ziarno dobre, a gdzie kłokol. Zapał, upór, egzaltacya chwil krytycznych upadły. Prześladowany jest nie lud, ale dwory. Ludzie dobrzy sami odmówili korzystania z moich usług, aby mnie nie zgubić. Cywilizacya zrobiła postępy. Apteczka dworska staje się zbyt cenną, lekarze dojeżdżają. Ziarno nauki przez nas rzucone o tyle się przyjęło, że rodzice dziś sami są w stanie pouczać dzieci swoje we wsi. Kto miał odpaść od wiary pod powiewem pokusy zysku i opieki rządu, odpadł i przeszedł, dusze zaś wytrwałe, spokojne, wzmocniły się w wierze niezłomnie i życie do wiary stosują.

Udział mój w życiu ogólnem zmalał. Materyalna troska, brak intrat, wzrastająca pożyczka, utrudniony i droższy najem dają się czuć dotkliwie.

Różia wydaje za mąż swą córkę i odebrała 500 rubli, bez kwitu mnie powierzone.

Rok 1898.

Uplanowałam sobie rozsprzedanie gruntów między ludzi wsi moich, zatrzymując tylko pałac i kilka włók dokoła, tak, aby mózdz ciągle w stosunku duchowym z nimi pozostawać. Ale oni tylko za pomocą Banku włościańskiego kupować mogli, a tu pierwszy warunek ten, aby oporni Unicy wykluczeni byli od korzystania z pomocy Banku.

Udałam się do Podgorodnikowa w nadziei, że wyjątek dla K..... i P..... zrobić zechce. Przyjął mnie z wykwinną uprzejmością, zapewniał, że wszelkie trudności usunie, że szczęśliwym będzie mi się przysłużyć. I przysłużył się.

Jechałam do Marienbadu. Po tygodniu otrzymałam list od niego, pełen ubolewania, że zadość uczynić memu życzeniu nie może. Równocześnie, aby przypadkiem nie pominięto warunku rzeczzonego przy sprzedaży, wysłał urzędnika do gminy J....., do której moje dobra należą i kazał wezwać chłopów okolicznych i ogłosić im dobitne powtórzenie zakazu, aby oni „oporni“ udział mieli w pożyczce bankowej.

Oczywiście wyrzekłam się wszystkiego. Perekińcom, ani Moskałom, ani Żydom nie sprzedam.

Ale co dalej będzie? Bóg jeden wie.

Znów proboszcza nam zabrali, suchotnika, do północnych gubernij azyatyckiej Rosyi.

Znów gorliwego obywatela z okolicy wydano administracyjną drogą.

#### Rok 1900.

Po dwuletniej męczarni, ze stratą, ale Polakowi, katolikowi, godnemu obywatelowi, znakomitemu agronomowi, dobremu ojcu rodziny i dzielnemu człowiekowi, majątek odstąpiłam.

Zapewniłam los moich sług. Pożegnałam się z ludźmi moimi, wzięłam ich kilku z sobą.

Jestem jakoby ściętem drzewem, którego żywe korzenie zostają w gruncie, a z niego wykorczać je można dopiero, gdy zamrą i spróchnieją.

I serce zamiera mi w piersi. Zdaje mi się, że jakąś najdroższą mi osobę straciłam.

Z tylu setek, a nawet tysięcy ludzi, którym służyłam, mała, bardzo mała garstka łą i słowem pocziwem mnie pożegnała.

Ale ta garstka istnieje. Ziarno rzucone w glebę żyje i, da Bóg, rozmnoży się.

Mój następca młody, zdrowy, gorliwy, zdolny, oby mnie zastąpił korzystnie!

Chwiejąc się i potykając przez próg, wsiałam do pojazdu, zamykam oczy, i w głębokiej, sennej, głębszych mąk wewnętrznych pełnej apatii — odjeżdżam.

Przenoszę się do Księstwa. Tam walka wre: sprawa wrzeńska, hakatyzm — walka o ziemię, o religię, o narodowość, o byt. Tam dawny rodzinny majątek, groby familijne, i dzieci moje, i wnuki, i praca, i przyszłość.

#### Rok 1904.

W Rzymie w maju.

Pielgrzymka polska. A wśród niej najwybitniejsza pielgrzymka podlaska unicka.

Już nie ta nieufna, w łonie własnym sporna i rozdarta, rozżalona i nieśmiała pielgrzymka, w kulminacyjnym momencie której, po odrzuceniu przez Watykan treści przemowy świeckiego magnata, Arcybiskup Morawski miał zabrać głos, ale spojrzawszy po wzburzonych owieczkach swoich, słowa ze ścieśnionego gardła wydać nie mógł i... rozplakał się, a łzy jego padły na serce Leona XIII i skuteczniej wyraziły stan rzeczy, niżli najpiękniejsza mowa.

Nie. U stóp ojca, którego nam teraz zesłało niebo, u stóp Papieża maluczkich i prześladowanych, zwyciężonych i słabych, jesteśmy jak u siebie, u siebie!

Unita Andrzej Błyskosz w ciężkiej przeprawie przez bagna graniczne nabawił się zapalenia płuc. Pomimo tojechał dalej, jechał na upartego, w gorączce i duszności — i zmarł w Rzymie w przeddzień audyencji.

I zwłoki ostatniego męczennika Unii, relikwia nasza, złożone w świętej ziemi rzymskiej, ciało wyznawcy pochowane obok popiołów męczenników wszechwieków, stało się znakiem zbawienia, łącznikiem ostatecznym między nami a Ojcem św.!

Zapłakał nad nami Pius X. Pozwolił Arcypasterzowi wyznawcy, Arcybiskupowi Simonowi przetłómaczyć i przedłożyć sobie szczegółowo, dokładnie i dobitnie wszystkie żale i skargi, całą męczeńską epopeję Podlasia, wylewającą się z piersi klęczących przed nim przedstawicieli gnębnego, narodu tępionego obrządku.

I po raz pierwszy od 32 lat, procesyjnie wśród śpiewów własnych i pod chorągwią swoją, weszli Unicy pod stropy bazyliki Piotrowej. Komunię św. przyjęli z rąk Najwyższego Pasterza, wysłuchali Mszy żałobnej, odmówionej przez zastępcę Chrystusa, za duszę... Andrzeja Błyskosza!

*O Cruce ave! Spes unica! In te Domine speravi, non confundar in aeternum!*

## LIST WASYLA LEWCZUKA

(dosłownie z oryginału przepisany, z niektórymi tylko poprawkami w pisowni).

K..... na Podlasiu 10 lipca 1905 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jaśnie Wielmożna Pani Hrabino, nasza dawniejsza matko i Dziedziczko!

Całuję serdecznie rączki i życzę wszystkiego dobrego, czego sobie Pani Hrabina życzy, tego i ja życzę, a najlepiej zdrowia.

Donoszę Pani Hrabinie co się u nas dzieje. Po strasznej nawałności i wielkiej burzy, słońce nam zaświeciło, zawitała wielka radość w naszych sercach. Wielkiego szczęścia doczekaliśmy się. Po całym Podlasiu procesyje, obchodzenie pól i wiosek. W każdej wiosce był ksiądz. Nawet prawosławni przechodzą na katoliki.

Biskup objeżdża całą swoją dycęzyę. My jesteśmy tak jakby przyłączeni do parafii Parczew. Jeździłem do Lublina do biskupa o przeniesienie parafii z Wisznic do Parczewa i biskup kazał wszystkie obowiązki kościelne spełniać parczewskim.

Biskup przyjechał do Parczewa 4 lipca, był tam prawie cztery dni i pojechał do Wisznic. Któredy przejeżdżał były bramy z kwiatów po szosie i po miastach.

Przeprowadzany był z kościoła do kościoła wojskiem i wieśniakami.

Proszę Pani Hrabiny, czy te świętości co zabrane były z kaplicy, Pani Hrabina oddała raz na zawsze, czy na mały czas?

Możeby można kazać je zwrócić, szczególnie św. Józefa i św. Józafata.

Jak tylko nam Jutrzenka zejszła, tośmy zaraz zaczęli majowe nabożeństwo odprawiać; w kaplicy teraz co niedziela ludzie chodzą na różaniec i na nieszpory; ale smutno nam, że ta świątynia jest pustą. Ludzie wspominają, że niema naszej Pani Hrabiny, naszej matki. Smutno nam bez niej!...

Jeżdżąc po świecie, możeby mogła Pani Hrabina obstałować obraz Matki Boskiej Częstochowskiej 2 $\frac{1}{2}$  łokcia wysokości, 2 łokcie szerokości, na płótnie (co był na drzewie nad drzwiami i zezerniał). To my byśmy zapłacili.

I proszę Pani Hrabiny matki naszej niech do nas odpisze, do swoich ludzi.

Całuję serdecznie Pani Hrabiny rączki i życzę wszystkiego dobrego, czego sobie sama życzy, tego i ja życzę, a najlepiej zdrowia.

I przepraszam Panią z mojem takim pisanem.

Dobry, życzliwy, szczerze kochający

*Bazyli<sup>1)</sup> Lewczuk.*

<sup>1)</sup> Wasył Lewczuk, jeden z najdzielniejszych przewodców unickich przez czas prześladowania, do c z e k a w s z y się wielkiej radości, zmarł na tyfus na wiosnę 1906 r. Cała rodzina Lewczuków odznaczała się zawsze wielką pobożnością i odwagą wytrwałą w obronie wiary. Stefan Lewczuk z Gęsi otrzymał 300 różg za swą wierność Kościołowi. Stryj tych Lewczuków został jeszcze przed erą prześladowania braciszkiem u Paulinów w Częstochowie.

## EPILOG.

Trzydzieści trzy lat minęło -- tyle, co życie Chrystusa na ziemi. I dla Podlasia była to jedna Kalwarya, ten przebieg walki cichej, cierplivej, straszliwej.

Dziesięć lat Hurkowskich rządów, w czasie których słowo niebaczne, zart dziecięcy, plotka kobieca starczyły, aby szpiegowie i zausznicy, fanatycy i przekupnie cudzego mienia, cudzego życia, czynownicy, gnali na Sybir pod eskortą wpół dzikich Kozaków i Tatarów tysiące rodzin, całych lub półdziartowanych. W jednym roku 1888 tysiąc rodzin z Podlasia zesłano do Orenburskiej gubernii. Ludziska marli bez księdza, chowani w ziemi święconej, nocą, pod grozą kary grzebani rękami swoich najbliższych. Młódź szła w rotę żołdackie, nieraz wracała zepsuta, z nałogami i zasadami przewrotnymi, nabytymi wśród wpływów rozkładniczych. Dzieci rosły ciemne, bez nauki religijnej, narodowej, ni społecznej. I wyrastali samopas analfabeci i samoluby. Żadna myśl jaśniejsza nie przeciwdziałała narowom i porywom zwierzęcości.

Panowie uciśnieni, prześladowani, wydalani, utracili ziemię i możność wspomaganie współwyznawców i braci.

A jednak w najczarniejszych zakątkach każdej pojedynczej utrapionej, sponiewieranej duszy, trwał niewzruszony, uparcie wbity w samo dno jestestwa tych ludzi: krzyż, klejnot Wiary, znak Nadziei, opoka Miłości. Wytrwali.

Wielkie spruchniałe i zgnile państwo rosyjskie, posąg kamienny na glinianych nogach, tak bardzo i wyzywająco świeciło swym ogromem i siłą, że nikt przypuszczać nie śmiał jego bliskiego upadku.



Wojna japońska zastała Polaków nieprzygotowanych i niebacznych. Przeważna część arystokracji, z małymi wyjątkami, hulała, szalała, zbierała laury na teatralnych deskach, ronila miliony w petersburskich klubach. Szlachta, nibyto dojrzała, dbała o byt swój materyalny, ale nieraz odpychała hasła i nadzieje, nie żądając niczego, prócz prawa do wygodnego życia. Rdzennego narodowego, tradycyjnego, dziedzicznego mieszczaństwa w Polsce poniekąd niema. Znaczna część inteligencji i prasy, przeważnie z mozaiki obcoziemskiej złożonej, pod wpływem bezprawnej strategii swoich wrogów nabyła właściwe im wady i w imię najszczytniejszych ideałów zatraciła najprostsze pojęcie o znaczeniu słowa „prawda“.

Izrael, ta dziwna stugłowa hydra, o tajemniczych, różnorodnych, niezrozumiałych a przeciwnych sobie celach, przeprowadzanych genialnie i bez skrupułu, Izrael, zdolny do wydania sporadycznie tylko szczupłej garstki znakomitych obywateli (jakimi byli Leopold Kronenberg, Wawelberg, Natanson), ofiarnych marzycieli lub patriotów (takich jak Libermann, Herrmann, Kolischer, adwokat Leon Rechen, Dr. Beyser, a w czasie powstania Rawicz i Levittoux), lecz w masowej zawistnej a cheiwej potędze swojej, jako wróg chrześcijańskiego społeczeństwa straszny, płacący stokrotną nienawiścią i szyderstwem za okazywaną sobie pogardę, nieufność i wstręt — Izrael tym razem pojął jedno tylko: że chwila łowienia w mętnej wodzie przysła i że lepiej łowić plon z wysoka, niż z poziomu, a zatem, że czas wielki żądać nietylko grosza, ale i godności. Potrafił on sięgnąć po chętną i gorącą dłoń anarchistów zagranicznych i roznieść między klasy upośledzone, zarzewie bezmyślnej, zgubnej, niezorganizowanej rewolucji. I to było Żydom na rękę. Im większy nieład i bezradność, tem większa rozmaitość okazji do zysku i do znaczenia.

Chłop Mazur, podejrzliwy, ostrożny, zawsze niezadowolony, względnie roztropnie i biernie wyczekiwał polepszenia losu, jakie dla niego wyniknąć mogło bądź z buntu, bądź z carskiego ukazu, bądź z przyjaźni właściciela ziemskiego. Ale robotnik fabryczny, ten wykolejony włościanin, zagrożony nędzą, miotany rozpaczą, częściej pokusą złego przykładu

i sposobności, lub wrodzonym lenistwem doprowadzony do pijaństwa i marnowania lichej tygodniowej płacy, niewystarczającej na utrzymanie rodziny, nierzadko pochopny z natury do zaburzeń — rzucił się odrazu w zamęt, wywołany poduszeczeniami wichrzycieli; a gdy raz zapachniała mu krew i swawola, gdy porwał go wir podniecenia tłumy, później poczucie zemsty za krzywdy, kary i rany poniesione, ten robotnik stał się najpewniejszym, najlepszym rozsądnikiem anarchii dla anarchii, nie zdając sobie sprawy, ani czego właściwie chce, ani do czego dąży, ani kto wrogiem jego: czy rząd, czy niezamożny, kredytem tylko istniejący fabrykant, najczęściej z rzędu pracowników powstały, nie mogący podwyższyć płacy, skoro przed kilku tygodniami wahał się, czy może przyjąć choć na dogodniejszych dla siebie warunkach tego samego robotnika, nie wiedzący, czy zdoła związać koniec z końcem przy rocznych obrachunkach<sup>1)</sup>.

Fabryki zaczęły upadać jedna po drugiej — i głód ludowi zajrzał w oczy.

Pielegnowany coraz to staranniej od pół wieku przez czynowników, a szczególnie przez policję, zawodowy złodziej i nożowiec, pies gończy administracji rosyjskiej, dzielący się z nią łupem, wychylił się równocześnie z cieniu, śmiały i cyniczny.

A „czyn“, ten potwór ssący krew narodów cesarstwa, wyhodowany z szczególnem szczęściem na glebie uciemnionej, spotwarzanej, znieawidzonej Polski, ta bakteria zarazy wszechprzekupstwa, wszechkłamstwa, wszechokrucieństwa i wszechzwierzęcości, jak Nemezys dziejowa, jak chwast tru-

<sup>1)</sup> O ile strejki mogą być korzystne w Ameryce i Anglii, gdzie robotnik powstaje przeciw fabrykantowi-miliarderowi, o tyle są zgubne w krajach ubogich, ekonomicznie i przemysłowo nierozwiniętych, gdzie fabrykant bez kapitału zakładowego tylko kredytem stoi. Okazało się to teraz na Polsce: strejki zabiły przemysł krajowy, otwały wrota napływowi tandetnego towaru pruskich Żydów i ułatwiły rozwój przemysłu rosyjskiego, który zajął opuszczone przez polskich fabrykantów miejsca zbytu.

jący zasiany i wybujaly na niwie zdobytego, na łup wydanego kraju, paraliżujący każdą myśl, każde słowo, każdy czyn i przekształcający wszystko na swą korzyść, rozpostarłszy się — gdy już w Polsce ziemi, krwi i pieniędzy brakło — na całą swą rosyjską ojczyznę, zdławił wszystko, otumaniał wszystko, zakaził wszystko.

Od najwyższych sfer jego poszła wojna, a za wojną grabież, na wielką skalę, obrabowanie wojska, arsenałów, floty, kas podatkowych, prowincjonalnych, grabież towarów, broni, prowiantów, mundurów, aktów, planów strategicznych, opatrunków, narzędzi chirurgicznych, środków znieczulających dla kroci tysięcy rannych! Ten domiar bólu, dodany z chciwości do bólu śmiertelnego ofiar wojny, to zbrodnia, wołająca o pomoc do nieba, protestująca przeciw potwornemu bezprawiu, gardłem rozdartem, ustami spieczonemi, rękami konwulsyjnie wykrzywionemi, oczyma konającemi, wyprutemi wnętrzościami, przestrzeloną piersią, zgruchotanemi nogi, falującemi w agonii pod stosami trupów członkami, stygnącą pod mroźnym podmuchem wichru krwią! Zbrodnia tak nieludzka, że inni ludzie obojętni, ułomni samoluby, wpadali w obłęd na widok jej skutków — zbrodnia taka, że nowe piekło wymyślełby potrzeba dla jej ukarania.

I Car, ten wiecznie oszukiwany, odosobniony, okadzany pochlebstwem i łgarstwem więzień swej pozornej władzy, swej uludnej wielkości, Car się dowiedział, że klęskę i hańbę państwa zawdzięcza swym najwierniejszym: braciom, stryjom, wodzom i czynownikom! Na chwilę prawda mu zajrzała w oczy. Na chwilę myśl przeblęła przez chory, cięciem japońskiego proroczego pałaza zbolący mózg, że oczerniano, wyzyskiwano, deptano, krzywdą nieustającą gnębiono, i Finlandyę, i Polskę, i Czerkiesów, i jego naród własny, w tem co miał najuczciwszego — że wydano daremnie na pastwę torturom i śmierci na polach Mandżuryi, na wałach Portu Artura, krocie tysięcy jego poddanych, dla wzbogacenia garści hultajów i złoczyńców uprzywilejowanych — że on im wierzył, na to pozwalał, był sam tym wielkim, odpowiedzialnym, okradzionym, omamionym oprawcą! I zamajaczyło mu złudzenie, że

przywileje i prawa jego istnieją, że pociągnięciem pióra jego „wszechmocnej“ ręki pomści krzywdę ludów i hańbę cesarstwa, ukarze winowajców, odrodzi wewnętrzne życie państwa, uczyni sprawiedliwość!

Wtedy, zagrożona, szybko, zwinnie, przytomnie, milczkiem, bez porozumienia się, jakby jednym spojrzeniem wzajemnej ochrony, złączona hydra „czynu“ skupiła się. Dała sygnał ratunkowy: na brzegach Newy, w godzinie święcenia Jordanu, armaty zionęły śmiercią ku swojemu panu. Nie trafiły, ale dały alarm. Za nimi poszły podżegawcze odezwy, przez policję rozsiewane między ciemny, mobilizacją i marną zgubą tysięcy wzburzony, łatwowierny lud.

Nożowce — psy i dostawcy żywicieli policji, wylonili się zewsząd, jak chmara jadowitej szarańczy. Rzezie petersburskie, łódzkie, warszawskie i odeskie załazy cesarstwo krwią niemych i niewinnych a bezwiednych tłumów. Car zdrzął... uwierzył, i słusznie, iż zagrożonym jest ze wszech stron powodzią rezhukanych sprzecznych żywiołów. Syn, żona, miłość życia, nawyknięcie do miru, do czci zewnętrznej i do subtelnego przepychu, wzięły górę nad poczuciem ludzkości, nad pragnieniem sprawiedliwości i zasłużonej chwały. Bezradną dłoń szukał, kto mu jeszcze pokłon odda pokorny, kto go jeszcze choćby fikcyjną płachtą władcy zasłoni od cięć i obelg. Znalazł pod ręką „czyn“ swój wiernopoddańczy, do którego hołdów poniekąd żywiołowo, dziedzicznie przywykł. Oparł się na nim, zamiast go skarcić, zlał władzę na Trepowa i jemu podobnych.

„Czyn“ był ocalony, a Polska i Rosya pozostały w ogniu wojny domowej <sup>1)</sup>, strejków, bomb, upadku ekonomicznego, próżniactwa i swawoli bezszkolnej młodzieży.

<sup>1)</sup> Najlepszym dowodem braku organizacyi w partiach rewolucyjnych, to przerywany, nielogiczny tok wybuchów, wznagających się po każdym ustępstwie, a ustających, zamiast się potęgować, po represjach — bezmyślne mordowanie małych piesków, łatwych do zastąpienia, podczas gdy pierwszorzędni kierownicy rządów wstecznych w Rosyi, a hakatyzmu i innych potworności w Prusach, żyją

Polacy bili się z Polakami, skazywali Polaków na śmierć, grozili im i lżyli. Kraj, po części cywilizowany, bardziej od Rosyi kulturalny, który mógł z opatrnościowej sytuacji, na drodze poważnej i legalnej, pozyskać korzyści autonomii z jednej strony, przewagi w administracji cesarstwa z drugiej, nieprzygotowany na tak wielkie szczęście, raz jeszcze nie dorósł do swego możebnego przeznaczenia i wyzwolenia, dał raz więcej słuszną zaprzaszkę Francuzom i dusicielom Niemcom, okazał się niedojrzałym i anarchizującym i wykluczonym został nawet z względnych dobrodziejstw kulawej konstytucji i obłudnego pokoju. Nie zysk, ale stratę dotychczas wyniósł z wiekopomnej, przelomowej chwili!

Ale Car, zgnębiony i w dobrej wierze błogosławiący ikonami swe ofiary (*Ave Caesar, morituri te salutant!*), jedno zrozumiał z wszystkiego, co się działo. Zrozumiał, że co go

spokojuje! Arcybiskup warszawski Sybirak i obywatele, proszący w formie przyjętej o reformy i wolności dla narodu, otrzymują wyroki śmierci od P. P. S. Nożowcy i rabusie, niepotrzebujący już się dzielić z policją wszechstronnie wytepianą, z całą swobodą wylamują drzwi i okna, okradają lokale puste czy zamieszkałe, zaczepiają i sztyletują przechodniów; biedni szewcy i piekarze, dzieci ludu, giną z ręki ludu! Żyją zaś bezkarnie karyerowicze Polacy, zdra-dliwsi i okrutniejsi dla Polaków, niżli czynownicy rosyjscy! (Co prawda, anarchiści zawsze i wszędzie pouczali panujących, że dla bezpieczeństwa własnego lepiej być Mikołajem I, niż Aleksandrem II, Katarzyną II, niż Elżbietą Austryacką, Wilhelmem, niż Humbertem, Bismarckiem, niż Carnotem). Rodzice, użalający się niedawno na niesprawiedliwość Moskali, niedopuszczających do szkół państwowych dość wielkiej liczby uczniów polskich, teraz pozwalali chłopcom swoim strejkować i włóczyć się po ulicach w mundurach, pozbawionych godła państwowego i świecących dziurami na ich miejscu. Młodzież ta niedojrzała brała udział w psotach i awanturach wszelkiego rodzaju, a gdy pozorne zwycięstwo odniosła w chwili zaprowadzenia »Macierzy« i szkół prywatnych polskich (co prawdopodobnie byłoby taksamo nastąpiło bez strejków, ale wtedy na dużo trwalszych i lepszych warunkach), wówczas nie tylko ona, ale wielu jej kierowników dało się

doraźnie, dotykalnie gubi, co mu w najbliższej przyszłości grozi zelżeniem i śmiercią, to — śmiałość wolnej myśli! Instyktownie wymarzył to, żeby obok „czynu“, tarczy papierowej i płaszcza arlekina, zrobić sobie tarczę spiżową i płaszczyk świetlany... z Boga!

W godzinie śmiertelnego lęku o własną krew, o własne dziecię, o tron i o dynastję, zrozumiał, że sprzedajne sumienie nie jest sumieniem, że oportuniści prawosławni, nie są prawosławnymi, lecz bezwyznaniowymi oprawcami mogącymi każdej chwili przeciw niemu się obrócić, że jedyną rękojmnią cześci i wiary do obowiązku względem panującego na ziemi, to cześć i wiara szczerą, rzetelną, z serca płynącą ku panującemu na niebie!

I w tej jednej chwili śmiertelnego jasnowidzenia, zdziałł coś istotnie z własnej woli, na własną rękę! Podpisał

skusić podżegaczom i agentom prowokacyjnym, interesowanym w tem, aby tę »Macierz« i te szkoły prywatne polskie napowrót zamknęto. I oto tak młodzież, jak i jej kierownicy, wpadli w pułapkę im zastawioną, a propagandą niezręczną i bojkotowaniem szkół rosyjskich podali pozor upragniony profesorom i władzom rosyjskim do ukarania ich cofnięciem danych po manifestacie i z manifestu wypływających swobód. Zapewne, głupia i przesadna serdeczność i lojalność niektórych ugodowców, ich złudzenia co do życzliwości rządu, to równe prawie zło, jak nieudolny bunt, a wallenrodizm, to zawsze niesmaczny i niedaleko prowadzący środek. Lecz narody dojrzałe i poważne i nnej trzymają się polityki. Nie bawią się w rozczulenia i koleżeńskie wylania z zaborcami, nie bawią się w zdrajców, ale nie bawią się również w bezsilne powstania bezbronnych 12-tu przeciw 260 milionom ludzi uzbrojonych, w trzech cesarstwach. Nie chępią się patriotyzmem nieuctwa. Uczą się wszystkiego, a przede wszystkim języka i obyczajów nieprzyjaciela, choć ich sobie do własnego prywatnego użytku nie przywłaszczają. Nie bojkotują literatury, sztuki i sceny zwycięzców, ale w grodzie swoim nie robią okazyjnie owacy — kochance panującego... w osobie dziecka uciemiężonego narodu! Nie starają się o tytuły, orderzy i dary ciemniejszy, i nie plwają na własne przeszłe bohaterskie

ukaz, obdarzający całe cesarstwo bez wyjątku, wszystkie ludy pod berłem jego jęczące — wolnością sumienia. I podczas gdy Rosyanie Europy i Azji, Czerkiesi i Kozacy dońscy, Polacy i Finlandczycy w bratobójczych wysiłkach bezrozumnych i bezcelowych darli własne ciało, morzyli się głodem, ciskali na siebie bombami, żgali się nożami, stan przeciw stanowi jednej matki ziemi w bezsilnej a wścieklej walce podnosili — cisi i cierpliwi, przed rokiem jeszcze beznadziejni na świecie i uciśnieni, a przed trzema laty przez najwyższego pasterza do wieczystej a biernej cierpliwości nawoływani, podlascy Unici, wzniesli drżące dziękczynne dłonie ku Najwyższemu.

Pogodni, swobodni, gorliwi, nie tracąc chwili czasu, nim się psiania „czynu“ zdołała obejrzeć, weszli w posiadanie tego, co ukaz carski im najlepszego podawał. Wykre-

czyni: na Termopile żaden Grek nie plwał nigdy! Ja zaś już czytałam kiedyś w n a s z y c h pismach o »zbrodni i zbrodniarzach 1864 roku«...

Ludy kulturalne z godnością i powagą smutku, pamiętającego o świeżych ranach, obelgach i ofiarach, zdobywają sobie wiedzę, pracą na legalnej drodze, ekonomiczną działalnością, stanowisko, rehabilitujące naród od zarzutu anarchii i niezdarności, pod pozorem których... wilki wzięły owce w kuratele! Nie przekupują pojedynczo oprawców, nie kłóca się między sobą, lecz siłą łączną, strategicznie, wytrwale, dochodzą do prawdy i sprawiedliwości, jawnością faktów i spokojną odwagą cywilną. Hodują sobie ludzi i grupy ludzi na chwilę stanowiąc, gdy taki car zagrożony liczyć się musi z uczciwymi i umiejętnymi obywatelami kraju. Wtedy bez przesady, ani pochlebstwa, wchodzą w szeregi jednostek rządzących, stawiają warunki umiarkowane, ale skuteczne, a w dniach zmian i przewrotów mapy świata, uzyskują najpierw autonomię i społeczne przywileje, dopóki nie wybijie Opatrznościowa godzina, godzina żądania praw politycznych! Nie obrzucają błotem takich Wielopolskich, ani odwrotnie, pamięci takich Andrzejów Zamojskich i Adamów Czartoryskich nie chcieliby ubliżyć, lecz ciągną korzyść materyjalną lub duchową z tego, co każdy w swoim czasie, w dobrej wierze, dla swego narodu

ślali się z cerkwi, wpisywali do Kościoła, przy którym przez trzy pokolenia bohatercko obstawali wbrew jego własnym trwożliwym przedstawicielom. Gremialnie przystępowali do Komunii pod błękitnym majowym niebem, całą potęgą masy od kilku miesięcy wyswobodzonej z duchowej zmory, z rozwaniami chorągwiami w garściach, niosąc poniekąd na rękach wahających się jeszcze księży, pogodnie, spokojnie, poważnie, święcie, nieodwołalnie, brali w posiadanie ziemię i świątynie, niebo i przydrożne krzyże, Sakramenta i nauki. Pod sklepieniem rozsochatych dębów i smukłych sosen w tych samych lasach, gdzie ongi w podziemnych się kryli jurtach, teraz, na ołtarzach polnych odmawianej Mszy dziękczynnej słuchali, a łkanie ich, łkaniem wzruszenia i radości. Odzykiwali życie dusz własnych. A krew męczenników i ciche

uczynił, a nawet z doświadczenia popełnionych w dobrej wierze omyłek.

Ale my tym dojrzałym narodem nie jesteście.

Deptać i dławić lud dla korzyści klas uprzywilejowanych, trzymać go w ciemnocie i braku higieny, to wina, której dopuszczaliśmy się stale w wiekach ubiegłych, a która dziś mści się na nas i na tym samym ludzie w sposób okrutny. Nie zasłaniajmy się zaś, jak zwykle, mirażem Konstytucji 3-go Maja! Nie brak nam nigdy idealnych pomysłów w godzinie trwogi! Ale w praktyce ma się inaczej. Kultura wyższych kast u nas równała się zawsze z kulturą tych samych kast zagranicą, a masa ludności naszej — przecież fakultatywnie jak inne zdolna do rozwoju — czyż kiedykolwiek uświadomieniem i poczuciem obywatelskiem równać się mogła z innymi europejskimi narodami? Niestety nie! Dlaczego? Wszak naród każdy ma lud, na jaki zasługuje! Lepiej narazicie rzetelnie w pierś się uderzyć i starać się uczciwie o uzdrowienie, niż brnąć dalej w chronicznej a fałszywej zasadzie tajenia ran własnych... w imię patriotyzmu. Śmiało powiedzieć można, że jedyni Unici podlascy, dziwnie dojrzały i wyszkoleni pod wpływem pedagogii szczytnego cierpienia, potrafili wzniesć się do wysokiej doniosłości swego powołania i konkretną zdobycz osiągnąć z przełomowej chwili obecnej.

lzy wyznawców, wydały cudnej woni i cudownej skuteczności — nieśmiertelny plon zbawienia!

Tak się zakończył wypadkiem nieprawdopodobnym, wprost cudownym, krwawy i łzawy okres 33-letniego potwornego prześladowania opornych Unitów na Podlasiu, prześladowania w XIX i XX stuleciu, godnego czasów Nerona i Dioklecjana.

Kto stworzył słońca i dusze, i Sam Jeden zna wielką tajemnicę przyszłości i wieczności, mocen jest dokazać cudu.

Cudu potrzeba było, aby wysłuchać skarg i modłów, głosu krwi i łez Unitów pod rosyjskim zaborem. Na to złożyć się musiał naprzód, upadek nagły, nieprzewidziany, zdumiewający kolosu kamiennego o glinianych nogach, większego, niż Europa cała i bardziej pewnego siebie. Do tego potrzeba było wzrostu i wykształcenia małego, dziwaczego, żółtopięmiennego, pogańskiego narodu, zawiści Wielkiej Brytanii, potwornej zwierzęcej chciwości „czynu“, mistycznego przeczulenia wszechwładcy Wszechrosyi, powstania klas wszystkich, narodów wszystkich, składających państwo cesarskie, jednych przeciw drugim. Potrzeba było do tego gór ciał i potoków krwawej posoki ludzkiej na rozlogach Mandżuryi. Trzeba było nie jednego, ale stu cudów — i stały się wszystkie, i nie wydały innego owocu, prócz tego jednego: owocu męczeństwa dobrowolnego stu tysięcy dusz!

„A jeżeli Pasterz spostrzeże się, iż jedna owieczka mu się zbląkała, zostawi trzodę całą i pospieszy jej szukać. A gdy ją odnajdzie, cieszy się więcej tą jedną zbląkaną a znalezione, niżli stoma, które nie były utracone“.

## DODATEK DO PODLASKIEGO „HOSPODY POMYŁUJ”

### LUDOWY ŚPIEWNICZEK

przez włościan podlaskich  
w czasie 33-letniego prześladowania Unii  
pod zaborem rosyjskim używany

## PRZEDMOWA.

Ani z rytmem poprawnym, ani z bogatym rymem w zbiorze tym rzewnych piosnek i wierszy nie spotkasz się czytelniku!

Ale całą Unii duszę, duszę cierpliwych wyznawców, duszę odważnych męczenników w nim znajdziesz, prorocze zamordowanego w Pratołynie Rusia — dziś ziszczone słowa — prorocze Wiktora, wnuka jego (na Saratowskich błoniach, wobec uzbrojonego wojska wyrzeczone, a dziś spełnione) słowa, w kartkach tych się mieszczą.

Słowa ufności w Opatrznościową moc, do cudu zdolną — dla wstrząśnienia olbrzymem, dla ocalenia dzieci, krwią Ojców użyźnionej gleby.

Słowa otuchy i nadziei, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu — głoszone, któremi brzmiały nie tylko podlaskie niwy, ale i sybirskie zaśnieżone stepy.

Słowom tym polskim, po części z natchnienia samych wyznawców rusińskiego pochodzenia płynącym, w niewyszukananej formie ludowych śpiewnych zwrotek, a zaledwie przezemnie w tejże samej naiwnej formie dokrzesanym, po części przezemnie podczas lekcyi z unicką dziatwą, tak samo bez pretensyi, okolicznościowo — dla niej i z nią — improwizowanym, nie chcę ująć siły pierwiastkowego, żywiołowego, dziecinnego niemal uczucia. Kusić się nie myślę na dobieranie rzeczowników do rymu z czasownikami. Zostawiam tym strofom pospolity ich kształt, do wielu innych dumek ukraińskich, a nawet do niektórych smętnych mazurskich kujawiaków podobny.

Wadę tej formy — nie tylko w ich własnych tworach, ale i w moich, doraźnie ustnie przy nich kleconych, pozostawiam nietkniętą, ufna, że wyrozumiały czytelnik potrafi nie mniej iskierkę szczerego muzycznego swojskiego zapалу w nich odszukać i ocenić.

Śpiewały nam je rok rocznie listopadowe wichury, po kryształowych szybach pałacu, po blachą krytych zamkniętej kaplicy sklepieniach — w grobowem osamotnieniu naszym — subtelnie a rozdzierająco dzwoniące.

Śpiewały nam je alarmowe dzwony na olchach parku rozwieszane, dźwięcznymi struny z wezłowiec sypialni mojej połączone

Śpiewały nam je, huraganem miotane, wzdłuż przepaści dróg rosnące, rozczochrane topoli harfy eolskie.

Szemrały nam je ubogich źródeł, leniwych strumieni, rowami przy burtach i groblach, pod niezdarnymi mosty płynące wody.

Szeptaly nam je trawy i oczerety, smereki i jodły, a wtórowały żab i czajek krocie, wróble i koników polnych tyjące — wtórowały bocianich sejmów rozhowory, brzoźowe fujarki, jęklive, dalekonośne — jedyne na świecie — jesienne podlaskie ligawki — wtórowały sów i pułaczy złowieszce treny, płochliwych gołębi skargi, żalobnych wron krakanie, piorunów trzask, pożarów piekło, bezdomnych wdów i sierot zawodzenie — a zrzadka broni szczęk i głodnych wilków wycie: cała jednym słowem elementarnego otoczenia harmonia.

Najbardziej zaś, w bezsennych nocy smutku... głosom przyrody takiej — wtórował Duch nasz własny, skrzętnie i wszechstronnie tropiony i dławiony.

Kto na te patrzył dzieje przez długi szereg lat, i na pustkowiu słuchał modlitwy nieuznanej — kto wśród banitów żył i sam banitą był, a na pastuszych fletach wzorował własną pieśń, słowiczy śledząc zespół pod złotą siecią gwiazd — kto świadkiem był skowronkom wiekową niedolą tkniętego kraju, gdy hejnał pogodnej zorzy szła — a później we krwi brodził, plawił się w morzu łez, i wiedział jak się tymczasem bawił... miejski historyon = sędzia = świat!... — ten dla

oceny przecywilizowanego świata, ani dla marnej chwały swej literackiej, rymów ani pacierzy przerzeźbiać nie będzie, ale na jasnym, przystępnym dla ludu swego wierszu poprzestanie.

Poezją naszą: treść!... Rytm — w serca tętnie!... słuchaczem — Bóg!...

Prostaczy ten popłynął hymn chórem w błękitną dal!

Nikt nam nie przyklaskiwał, a dłonie się łączyły, by jeden dźwignąć krzyż!... i mimo podżegaczy... dwóch ludów — wspólny cel!

A teraz kto nie łaskaw, niech rzuci śpiewniczek w ką, bo dla zbieraczy doznań i dla wybrednych znawców... on nie zawiera nic!!

ŁZY PODLASKIE PRZEMÓWIŁY

ZBIÓR

CZTERNASTU PIEŚNI I WIERSZY

przez Jozafata Spusia

i innych unickich podlaskich włościan, za czasów prześladowania  
rosyjskiego składanych i używanych, a przez

OTTONÓWNE

dopełnionych i spisanych w r. 1886 — 1888.



*Na cześć i pamięć*

## *Wiejskich Męczenników,*

*na wdzięczność, chwałę, wspólną miłość i walkę przy pracy*

*Młodszej Braci Ruskiej grecko-unickiej na Podlasiu,*

*Ofiaruje służąca*

*wiernie do śmierci oddana łacińsko-polska dusza.*

## **Dumka.**

Już bociany odleciały,  
Hen! w daleki świat,  
Listki złote pospadały,  
Spuścił główkę kwiat!  
Już ligawka zajęczała  
Po podlaskich wsiach,  
Krzywda nasza nie ustała,  
Toną modły w łzach!  
Pod kościołem co niedziela  
Smętny ludzki tłum!  
Mało kto się wejść ośmiela,  
Kuma żegna kum!  
Bo nie wolno nam do proga,  
Wrogi strażak tuż!  
Więc pod Niebem — jęk do Boga  
Wznosi tysiąc dusz!  
Naprzeciwno — cerkiew biała,  
Jako Schizmy tron,  
Strzela w niebo piękna, — śmiała,  
Wróżąc Unii zgon!  
Lecz to darmo! — Święta Wiara  
W duszach naszych wre!  
Nas nie zwiodą śmierć ni kara  
Ni kopułki pstre!  
My pomrzemy z krzyżem w rękach  
Dzwon śmiertelny brzmi,  
Nam wyznawać, choćby w mękach,

Wierność naszej czci.  
 My nie zdradzim naszej Braci!  
 My przelejem krew;  
 Z nas otuchy nikt nie straci,  
 Święty w sercu gniew!  
 Choć pasterzy nam porwali  
 Wilki naszych stref,  
 Dobry Pasterz nas pochwali,  
 Słyszac dawny śpiew!  
 On przytuli nas w ramiona,  
 Widząc Znak swój w nas;  
 Tam Niebiosa, tam Korona,  
 Prędko minie czas!  
 Myśmy tutaj — niczem byli  
 Od przedwiecznych lat!  
 My z Jezusem Krzyż nosili, —  
 Chrystus biednych brat!  
 To też pierwsza nam Ojczyzna  
 Będzie wieczna tam!  
 Gdzie maluczkich jest spuścizna,  
 A Bóg Ojcem — Sam!

Na Podlasiu. Wrzesień 1886

### Marsz.

Pójdźmy, bracia, bracia w męce,  
 Weźmy krzyże w nasze ręce,  
 Patrzmy tam na Wschód!  
 Słońce jasno tam powstaje,  
 Nową Jutrznię Niebo daje,  
 Odnowiony ród!  
 Krzyż Chrystusów krwawy stoi,  
 On niczego się nie boi,  
 Woła... woła nas!

Pójdźmy razem, — śmierć się śmieje,  
 Wiatr Wieczności z Nieba wieje,  
 Przyszedł, przyszedł czas!  
 Choć pokrają nas na ćwierci,  
 Dla nas Chrześcian nie ma śmierci,  
 Tylko żywot dusz!  
 A po wieńcu dzikich cierni,  
 Jeśli będziem Bogu wierni,  
 Przyjdzie wieniec róż!  
 Bracia moi, dość już długo  
 Tatar panem, Polak sługą,  
 A na ścianie broń!  
 Pójdźmy, póki duch nam starczy,  
 Póki horda nie zawarczy:  
 „Boże Moskwę chroń!“  
 Bóg nie chroni niecných czynów,  
 Bóg pokocha wierných synów,  
 Co przetrwali bój!  
 Czy na ziemi, czy na niebie,  
 Czyli w grobie, czy przy chlebie,  
 Boże! Tyś jest mój!  
 Jam Unitą, — ja krew dałem,  
 Ja pod groźbą prosto stałem,  
 Patrząc ufnie w wyż!  
 Więc mi nie strach, ale miło,  
 Że na Wschodzie się zadniło,  
 Bo nas zbawi Krzyż!  
 Dom spalili, zboże ścięli,  
 Żonę zgnetli, dzieci wzięli,  
 I jam także legł!  
 Lecz jam powstał coraz śmielszy,  
 Choć od cierpień włos mój bielszy,  
 Niż sybirski śnieg!  
 Zabronili nam się uczyć,  
 Wszystko dobre, by dokuczyć  
 Biednym, biednym nam!  
 Zamęczyli nam Pasterzy,

Bez opieki chory leży  
 I umiera sam!  
 Syn się rodzi — ojciec kona,  
 Czeka na nas narzeczona,  
 Błędnie trzeba żyć!  
 Sakramentów nie dostanę,  
 W księgach nic nie zapisane,  
 Jak to może być?  
 Są zli ludzie łacinnicy,  
 Których nudzą męczennicy,  
 Których serce mdle!  
 Więc nas wrogi chcą poróżnić,  
 Serca bratnie w nas wypróżnić,  
 I wyzyskać zle.  
 Darmo kłamią, my nie z nimi,  
 Jedna Wisła w naszej ziemi,  
 Wspólna ludzka krew!  
 W duszach naszych jedna Wiara,  
 W sercach jedna miłość stara,  
 W ustach jeden śpiew!  
 Jedna Matka — Boska — nasza,  
 Matka Ruska — Matka Lasza,  
 .....Schizmatycka nie!  
 Że tak było, że tak będzie,  
 Tam i tutaj u nas wszędzie,  
 Każdy dobrze wie.  
 A więc pójdźmy, bracia w męce,  
 Weźmy krzyże w nasze ręce,  
 Patrzmy tam na Wschód!  
 Z Częstochowy w dal bez końca,  
 Kędy wstaje promyk słońca,  
 Wita zorzę lud!  
 I z kajdanów i z niewoli,  
 I z ciemnoty martwej roli,  
 Wstanie, wstanie raz!  
 Bóg Zbawiciel natchnie skrycie,  
 Potem jawnie wzbudzi życie

I poruszy głaz!  
 I nim przejdzie pokolenie,  
 Będzie Zbawca i Zbawienie  
 W sercach, które śpią!  
 Ale pierwsze ziarno zginie,  
 Pierwsza nasza krew popłynie,  
 A zwycięstwo z nią!  
 Nasze syny! nasze dzieci!  
 Na mogiłach dzień zaświeci,  
 Szkoda, szkoda łez!  
 Witaj śmierci! my nie sami!  
 Chrystus umarł raz przed nami,  
 W Krzyżu, w Krzyżu kres!  
 Wtedy życie się odnowi,  
 Wy będziecie święci, zdrowi,  
 Wy, krwi naszej plon!  
 A nam Niebo Bóg otworzy,  
 Bo w błękitach wiecznej zorzy  
 Męczenników zgon!  
 O! błękiecie mej Ojczyzno!  
 Mnie wygnańca do spuścizny  
 Niech przypuści chrzest!  
 Chrzest krwi własnej dla miłości,  
 Już w promieniu tej światłości,  
 Która z Boga jest!

Lwów. Luty 1887.

### Pieśniarze nasi.

Jesteśmy śpiewakami  
 Waszej doliny,  
 Jesteśmy słowikami  
 Smętnej krainy;  
 Jesteśmy żyjącymi

Ottobówna: Podlaskie „Hospody pomyśluj“.

Łzami niedoli,  
Lutniami wnet drżącemi  
Na to, co boli!  
Łzy jednak ocieramy  
Z waszej powieki,  
I dalej znów śpiewamy  
Przez śmierć, na wieki!  
Nasze ptaszki śpiewają  
Niepospolicie,  
Bo mróz ściska, bo dają  
Ze śpiewem życie!

Lwów. Luty 1887.

### Unicka pieśń majowa.

Panno przeczysta, w płaszczyk swój Niebieski  
Otul samopas rzucone sieroty;  
Z dziecięcych oczu zetrzyj bolu łezki,  
Słuchaj stapania prześladowczej roty!

Matko Najświętsza przyczyń się za nimi,  
Którzy są pastwą na tej dzikiej ziemi.

Spojrzyj na serca jeszcze wczoraj wierne,  
Dziś opuszczeniem zgorzkniałe, zachwiane,  
Obróć nań oczy swoje miłosierne,  
Niech nowe łaski będą im dodane!

Matko najmiłsza, Matko, bądź nad nami,  
Głodni na puszczy, my zostali sami.

Matko najdroższa, to, cośmy umieli,  
W ciężkiej niemocy, w gniotątej pokusie,  
Myśmy dla Ciebie mężnie przecierpieci,  
Wstaw się Ty, Matko, przy Synu Jezusie!

Bo nas już bierze jakiś żal i trwoga,  
Nam bez Kościoła, zdaje się bez Boga!

Maj Twój błękitny na Niebie zajaśniał,  
A w sercach naszych zawsze ciemno, smutno,  
Już gaj zielony kwiatami zakraśniał,  
A my jęczymy pod karą okrutną!

Matką Cię zowie najlichsza ptaszyna,  
Bądź Nią i dla nas, Nadziejo Jedyna!

Tyś Gwiazdką morską wśród żywota burzy,  
Która pielgrzymom wszędzie, zawsze świeci,  
Patrz, jak dokoła widnokrąg się chmurzy,  
Matko miłości, — ratuj swoje dzieci.

Wszak Ty nie skąpisz swojego spojrzenia,  
Wszak Ty nam życzysz życia i zbawienia!

Na wielkiej, zimnej tego świata kuli,  
Mało kto dziś już o Twą pomoc woła,  
Mało kto, Matko, do Twych stóp się tuli,  
A my żebrzemy: ześlij nam Anioła!

Bo nam tu bardzo pociechy potrzeba,  
Więc, Matko, dzieciom nie odmawiaj Nieba!

Ludzie bez chleba, owce bez Pasterzy,  
Dnie bez światłości, bez deszczyku kwiatki,  
Nie żyć nie może, ledwie dusza wierzy,  
Gdy sił nie czerpie, jak dziecko, u Matki.

Niech nam nie będzie daremnem wołanie,  
Nie daj nam zginąć, Ty, nasze kochanie!

Rusi Królowo i Polskiej Korony!  
Ty, Częstochowska, najbielsza Lilijo!  
Otuchą naszą, męczenników trony,  
My Cię nie zdradzimy, o! Matko Maryjo!

Dźwignij w boleści Twe podlaskie syny,  
Matko litości, Skarbie nasz Jedyny!

A jeśli wreszcie, razem z Bracią biedną  
Umierać przyjdzie nam bez rozgrzeszenia,  
Ty bądź Kotwicą, Przyjaciółką Jedną,  
Ty bądź nam Wszystkiem i Bramą zbawienia!

Niechaj do Ciebie dojdą nasze głosy,  
Przychyl Pokarmu Niebieskiego kłosy!

Chociaż nie wolno śpiewać w polskiej ziemi,  
Słyszysz westchnienia i zmrużysz powieki,  
Rany zagoisz rączkami świętymi,  
Ufnie spoczniemy w skrzydłach Twej opieki.

Matko, na wieki przytul nas do łona,  
Bo Ruś zginęła, bo Podlasie kona,  
Ach! Matko Boska, unieś nas w ramiona,  
Gdy Polska uśnie, nasza Unia skona!

### Do Matki Boskiej Kodeńskiej.

(Obraz cudowny przeniesiony do Częstochowy i tam po prawej ręce,  
w bocznej kaplicy, przechowywany i czczony).

Panno Kodeńska, któraś z daleka  
Przybyła do nas w schronienie,  
Naszą niech będzie Twoja opieka,  
Tęsknoty przyjmij westchnienie.  
Ty wiesz, o! Matko, z jaką ufnością,  
Ku Tobie wznoszę me dłonie!  
Z jaką boleścią, z jaką miłością  
Wypocząć pragnę w Twem łonie!  
Śliczna, cudowna, litewska Pani,  
Coś weszła z Polską w przymierze,

Ty nas dziś ratuj z ciemnej otchłani,  
Wzmacniaj nas w Łasce i Wierze!  
Polskie bo serce, serce słowiańskie,  
To słabe, miękkie, cierpiące,  
Błaga o siły, o dary Pańskie,  
O gwiazdy czyste a tłące!  
Któreby ciągle, któreby wiecznie  
Przyświecać duszom umiały,  
I doprowadzić nędznych bezpiecznie  
Po za przepaście i skały!  
Ty pośród nocy — bądź nam tą Gwiazdą,  
Biała — najbielsza Lilijo!  
Twa woń i światłość uświęcą gniazdo  
Niedoli Polskiej — Maryjo!

Na Podlasiu. Maj 1887.

### Bolesna piosnka unickiego lirnika Rusina do Rosyan i do niegodnych Unitów.

Dajcie mi zamrzeć i zanieść daleko  
Litości Boskie z Mateczyną opieką,  
Dajcie zamilknąć i duchem już żyć!  
Z krynicy, Nieba pozwólcie mi pić!

Dajcie mi zasnąć z daleka od ludzi,  
Niech żadna zorza mnie więcej nie budzi;  
Dajcie zapłakać dziecięciu przez sen,  
I śpiewać Temu, co słyszy nasz tren.

Dajcie zapomnieć, iż bratem wam byłem,  
Wspominać tylko, że z wami nie żyłem,  
Darmo kochałem — nie Kocham już was,  
Znużony jestem! Bo późno! Bo czas!

Dajcie nareszcie, gdy Wieczność zaświta,  
Popłynąć duchem, gdzie Wiara dokwita,  
Wszak nie był waszym na ziemi mój żłób,  
Samotny równie zostawcie mi grób.

Dajcie mi umrzeć, Ojczyzna mię woła!  
Niech wezmę skrzydła srebrnego sokoła,  
Zniknę w promiennej światłości, jak pył,  
Niech żyje miłość! — I ja będę żył.

Dajcie mi, dajcie już o was nie wiedzieć,  
Przy ciepłym piecu gdy przyjdzie Wam siedzieć,  
Żartem niech waszym nie służy mój śpiew,  
Bo z lutni mojej co spływa — to krew!

Ż... na Czerwonej Rusi. Lipiec 1888.

### Wstęp do zaczętego poematu Niedoli.

Na samym skraju Korony i Litwy,  
Gdzie dawniej dzielne staczały się bitwy,  
Gdzie serca tliły rycerskie, szczęśliwe,  
I rosły prządki nad sen urodziwe;  
Gdzie czarnych lasów kołyszą się smugi  
Pod zimnym wiehrem, i gonia się strugi  
Błędných rzeczulek po łąnów przestrzeni,  
Kędy szeregami się topol zieleni;  
Na tej Podlasia szerokiej płaszczyźnie  
Krwia, zbożem, krzyżem, tak wiernej Ojczyźnie  
Dziś smutno bardzo! Tak mówią bociany,  
Gdy ku jesieni rzucają zaściany,  
Tak mówią dzieciom swobodne jaskółki,  
Pod wolnym niebem idącym do szkółki!  
Tak my mówimy — skazańcy niewoli  
Do was bezmyślnych, bo nie was nie boli!

Którzy nie wiecie, jak tęskno w niedzielę,  
Kiedy nie wolno się modlić w kościele,  
Do Braci w kraju, gdzie wszystko już można,  
A których dusza tak mało pobożna!  
Którzy miotacie po sobie słowami,  
Gdy my się rodzim — z siwemi głowami.  
Słuchajcie przeto bolesnej powieści,  
Co życia w sobie naukę zamieści.

### Jozafat Spuś.

(Życiorys).

Na Podlasiu, z Rudna rodem,  
Miał sześć morgów za ogrodem,  
Miał dwie krówki, domek swój,  
Dobłą żonę, dzieci rój!  
Miał też w sercu starą Wiarę,  
A w sumieniu Prawdy miarę,  
I odwagę w biały dzień;  
Jego nie tknął zdrady cień!  
Więc pierwszego z naszych braci  
Pod nahajki wzięli kaci,  
Więc na Północ i na Wschód  
On wyprzedził wierny lud!  
Przeszły lata — niby wieki,  
Ży już zaschły u powieki;  
Poszło w śluby dwoje par,  
Chrzest — i pogrzeb! — Pełno kar!  
Chata wyszła z ich dziedziny,  
Młodsze dzieci u rodziny,  
Żona w grobie; starszy syn  
Idzie w służbę het na młyn!  
I tak wszystko zwykłym torem  
Ciągnie naprzód, choć oporem;

Stoi zawsze stara wieś,  
 Lecz ludziska! — w śniegach gdzieś!  
 Aż tu chudy i wybladły  
 Człowiek dąży: oczy wpadły,  
 Zdarte łachy, zgasły głos,  
 Potargany siwy włos!  
 Kij żebraczy, drżąca ręka,  
 Dysze — staje — coraz klęka,  
 I strwożony toczy wzrok,  
 I ogląda się co krok!  
 Minał lasy, łąki, pole,  
 Minał karcznię i topole,  
 Pies wyleciał, umilkł wnet, —  
 Pies nie zdrajca. Dziadek wszedł!  
 „Niechaj będzie pochwalony!”  
 Wszyscy mileżą!... Czy szalony?  
 Czy rozbójnik? Może szpieg?

.....  
 Ah! to tylko Ojciec zbieg!

.....  
 Wnet upadła na kolana  
 Cała młodzież rozsłochana,  
 I całują zwiędłą dłoń,  
 A on ściska każdą skroń,  
 Błogosławi, patrzy wkolo,  
 Choć żałośnie, a wesoło,  
 W jasne oczy, — w duszy głęb,  
 A syn każdy zdrów, jak dąb!  
 Więc się cieszy! Aż tu z nagła  
 Blednie jego cera smagła,  
 Człek się chyli, leci w tył,  
 Mdłe żrenice w ziemię wrył.  
 „Co wam, tatku?” — Ach on głodny!  
 Biegł pod wiecher, wiecher chłodny.  
 Za nim wielki Rosyi głaz,  
 A on pieszo — trzeci raz  
 Ze Sybiru tu przybywa!

Tam i nazad: Pęta zrywa,  
 Kutę, bity — pędzi znów,  
 Póki może! póki zdrów!  
 Teraz upadł zwyciężony!  
 Nie ma chaty! Nie ma żony!  
 Mniejsza o to! Co Bóg chciał,  
 On chce także. Bóg mu dał  
 I zachował dobre dzieci,  
 Którym gwiazda wiary świeci;  
 Więc pociecha tuż przy łzach,  
 Lecz w niej samej nowy strach.  
 Gdyby tutaj go złapali,  
 Chłopców po nim by zabrali.  
 Oby za nim w dziatwy próg  
 Nie wszedł ów śmiertelny wróg!  
 Skoro misę przystawili  
 I staruszka odcucili,  
 On przeżegnał się i wstał.  
 Jakby skrzydeł mu kto dał!  
 Już ich żegna, choć żalują,  
 Proszą, cieszą, zatrzymują;  
 Choć sąsiadów przybył tłum,  
 A co sąsiad — każdy kum!  
 .....  
 Zwrotu ziemi zbieg nie żąda,  
 Ani grosza nie dogląda,  
 Przyszedł dodać braci swej  
 Ducha wiary w dobie złej;  
 Przyszedł sercem się podzielić  
 I kolendą w niebo strzelić;  
 Przykład szczęścia w nędzy dać,  
 Uczyć młodych prosto stać.  
 Po to przyszedł; więc mu jedno,  
 Gdzie mu dadzą strzechę biedną,  
 Byle dzieła spełnić treść,  
 I nadzieję w serca wnieść.  
 Zatem, po naradzie długiej,

Syn go zawiózł do wsi drugiej,  
 Gdzie dla Spusia mają wzgląd;  
 I wprowadzą wroga w błąd.  
 Bratnia, chociaż nie rodzinna,  
 Ciasna chata, lecz gościnna,  
 Kącik dała, wspólny stół,  
 Chętnie, jak to każdy czuł!  
 Wkrótce dziwna laska Boża  
 W Jozafacie, jako zorza,  
 Zajaśniała wobec dusz,  
 Niby Unii Anioł Stróż!  
 Wyrwują gościa sobie,  
 I kraina ta w żalobie  
 Rada, że jej biały kruk  
 Zna pobożnych pieśni huk;  
 Tam, gdzie mieszka, jak w kościele,  
 A wieczory, jak niedziele:  
 Komu by się chciało spać?  
 Lub gorzałkę w kielich lać?  
 Kiedy stary rozpowiada,  
 Do pacierzy ręce składa,  
 Śpiewa, uczy, koi żal,  
 Macza w miodzie hartu stal.  
 Swym nożykiem Spuś wyrobił  
 Krzyżów pełno, i ozdobił  
 Chatkę na bliźniutki maj,  
 Niby oltarz, niby gaj.  
 W karczynie cicho, zmiłkły tańce,  
 Rozśpiewały się różańce;  
 Wiosna Panu wznosi chór,  
 Słowik przodem jako wzór.  
 Starca piosnka, starca praca  
 Wolne chwile ludziom skraca,  
 I do Boga zbliża nas!  
 Zimą, latem, w każdy czas,  
 Ot wytrwałych enót nauka,  
 Nabożeństwa szczerą szuka,

Gdy swobodnie ciągnie pług  
 Najbiedniejszy z Pana sług.  
 I skazaniec i sierota,  
 Aresztancka nad nim rota  
 Wisi, jako groźba z groźb,  
 A on ufa w siłę prośb,  
 I wesoło zbiera dziatki  
 Na katechizm i na kwiatki,  
 Niech się w domu modli lud,  
 Póki nas nie zbawi cud!  
 Z chaty w chatę się przenosi,  
 Wszędzie chwałę Bożą głosi,  
 Z wyniszczeniem wszelkich żądź,  
 Jak w zakonie dobry ksiądz.  
 Choć nie wolno do kościoła,  
 Tylko Schizma z cerkwi woła!  
 Ledwie da się smutek czuć,  
 Czyta starzec, słucha młódź  
 I tak słodko i tak mile  
 W swej kryjówce pędzą chwile,  
 By do walki nabrać sił,  
 Aby każdy gotów był!

. . . . .  
 . . . . .  
 Ale krótką naszą radość.  
 Zemście piekła czyniąc zadość,  
 Śród modlitwy w ciemną noc  
 Wpadła w izbę straży moc.

. . . . .  
 W dal bez końca tak pędzili,  
 Aż zaniemógł i dobili;

. . . . .  
 I rozkosznie śmiał się wróg,  
 Choć to wszystko widział Bóg.

. . . . .  
 Na gościńcu krzyż wysoki  
 A pod krzyżem Spusia zwłoki,



Zasypane Bóg wie jak,  
 A nad krzyżem śpiewa ptak!  
 . . . . .  
 Śpiewa temu, co w niebiosach  
 Po męczeńskich wytechnie losach.  
 Jego łaski w krocjach tkwią,  
 Namaszczone czystą krwią.  
 Starca słodycz i przykłady  
 I miłości pełne rady,  
 I przyjęty kornie znój,  
 To zbawienia płodny zdrój!  
 A wyznawcy pokolenie  
 Z niego przyjmie swe natchnienie,  
 Bo w Patrona poszedł ślad  
 Koncewicza młodszy brat!  
 Takie życia — takie śmierci,  
 Choć pokrajają nas na ćwierci,  
 To przyszłości żyzny plon,  
 Resurrekcyi pierwszy dzwon!

Ż... w Galicyi. Lipiec 1888.

### Kaplica zamknięta.

„Powiedz nam, powiedz, Panie kochany,  
 Co za ruina szpeci Twój gaj?“  
 „Ach! to kościółek na śmierć skazany,  
 Za to, że świecił niebieski maj!  
 Gdyby tu była krówek obora,  
 Mogłaby wiecznie pod niebem stać;  
 Ale dom Boży, to dusz podpora,  
 A nam nie wolno zbawienia znać!  
 Gdyby tu była grzechu jaskinia,  
 Toćby na chwałę śpiewał jej świat,  
 Lecz Boży żłobek przemoc obwinia,

Jak przed tysiącem dziewięćset lat!  
 Każdy niech zatem w piersi świątynię  
 Dla Boga swego chowa bez plam,  
 A gdy ciemności władza przeminie,  
 Z popiołów kościół wskrzesi się sam.  
 Tymczasem pójdziemy uklęknąć razem,  
 Przed zwartą bramą kaplicy mej,  
 I tak się módlmy, jak przed obrazem,  
 W obliczu Pana w godzinie złej,  
 I tak się módlmy w dniach ukarania,  
 Jak się w Ogroju modlił nasz Bóg!  
 Radośną będzie chwila konania  
 Dla spracowanych Messyasza sług!

### Słowiki.

Tam za granicą ptaszków jest mało.  
 Słowika szukać daremnie!  
 Dla nas biedactwo wiernem zostało,  
 Noc naszą słodzi tajemnie!  
 Tam za granicą łowią słowiki,  
 By w złotej klatce śpiewały;  
 U nas gościnne wiosny gaiki  
 Słowików rajem się stały.  
 Polski bo słowik nie zna więzienia,  
 Stęskniony śpiewać przestaje,  
 A człowiek, świadom jego cierpienia,  
 Ptaszynie wolność oddaje.  
 Ptaszki wy moje! jakie wy dziwne!  
 Jak bardzo różne od ludzi!  
 Kajdany pieśni waszej przeciwne,  
 A nasza przy nich się budzi!

### Powołanie.

Blado, blado nad łanami,  
 Miesiąć krasi świat;  
 Nad narodu kurhanami  
 Rośnie śmierci kwiat.  
 Kwiat nadziei nie z tej ziemi,  
 Kwiat miłości łez,  
 Kwiat, którego ród się plemi  
 Tam, gdzie krzyża kres!  
 Oj pustynio! oj kurlanie!  
 Kwiaty polskiej krwi,  
 Czyż wolności zmartwychwstanie  
 W znakach waszych tkwi?  
 Czy mi wolno mieć nadzieję,  
 Wznosić ręce wwyż?  
 Czy też zginę, gdzie zasieję,  
 Choć mem godłem krzyż!  
 Czy jak ziarno przegnieć musi,  
 Aby wydać plon?  
 Nam też oddać Polskiej Rusi  
 Chlebem własny zgon?  
 Czy też, Boże, ach mój Boże!  
 Otrząść grozy cień,  
 I w ucieczce hen za morze  
 Znaleźć ulgi dzień?  
 Oddychając tam spokojnie,  
 W łatwej cnocie żyć,  
 Tak bezpiecznie, święcie, hojnie,  
 Aby lata zbyć?  
 A tu ciągle grzeszyć trzeba<sup>1)</sup>,  
 Steru brak, i noc;  
 Zdobywanie drugim nieba,

<sup>1)</sup> Alluzya do przyspieszonych pogrzebów bez lekarskiego stwierdzenia zgonu.

Walcząc ponad moc!  
 Jednak, Panie! ach mój Panie!  
 Lepszy, niżli my!  
 Nie dasz zginać nam w orkanie,  
 Choć sternek zły!  
 Z Bracią w nędzy, w lęku, w znoju,  
 W niebezpieczeństw mgłę,  
 Umrzeć wolę tu wśród boju,  
 Choć mi w sercu zle,  
 Niżli rzucić posterunek,  
 By się zbawić tam!  
 Wolę ufać w Twój ratunek,  
 Niżli sobie sam.  
 Blado, blado ponad łany  
 Płynie miesiąć w świat!  
 Wspólne łączą nas kurhany,  
 Jam wasz kum i brat!

Na Podlasiu. Wrzesień 1887.

### Michaś.

Śmierć politycznego przestępcy dla Unii.

Skrzydlaty skowronku podlaski,  
 Aniolku przedwcześnie wezwany!  
 Zielone pożółkły już łaski,  
 Na drodze śnieżyste tumany.  
 Matula, co we wsi została,  
 Matczyne za tobą lzy roni,  
 Jej dusza, ptaszyno ty mała,  
 Niebawem za tobą pogoni!  
 Lecz tobie, młodziuchny Aniele,  
 Bezpieczniej pod ziemią niż z nami,  
 Bo droga przyszłości się ściela,  
 Przetkana to zdradą, to łzami!

Nad jasną twą główką mogiła  
 Bieleje wśród walk huraganów,  
 A duszka wysoko się wzbila  
 Przy dźwiękach anielskich organów.  
 Mój uczniu, mój słodki poddany,  
 Unito! Coś ze mną zasłużył  
 Na Sybir, żeś Panu nad Pany  
 Po polsku swą wiarę wynurzył;  
 Ja chciałem cię uczyć, Michasiu,  
 Jak stąpać rzetelnie po ziemi,  
 Tyś porwał się w górę, mój ptasiu,  
 Nadziei piórkami złotemi!

W ostatku zwilżały twe skronie,  
 O dziecię! pięć latek mające!  
 I wzięłaś w osłabłe swe dłonie  
 Dwa światła czerwono płonące!  
 Gromnicę i wiarę swych ojców!  
 Już pierwsza do kresu dochodzi,  
 A druga wśród krwawych ogrojców  
 Omdlewa, lecz z pola nie schodzi!

„Czy śmierci się boisz?“ pytała  
 Matczysko w konania pośpiechu.  
 Odpowiedź Michasia tak brzmiała:  
 „Ta cego?“ I zasnął w uśmiechu.

Pojechał maleńką trumienką,  
 Pod grozą, bez księdza, lasami.  
 Lud za nim z pobożną piosenką  
 Do burty pod trzema krzyżami.

Na Podlasiu. Listopad 1887.

### Non erravisti.

Odpowiedź na wiersz Konopnickiej „Ergo erravi!“

Nie mogłaś zbłądzić, gdy żyła twa wiara,  
 Siostró cierpienia!  
 W niej wartość nasza i siła i miara,  
 I moc plemienia!  
 Przenosi ona mogiły i góry  
 W ciche doliny,  
 I grom wywoła z błękitu bez chmury,  
 Jak cierń z kaliny.

Non erravisti!

Lecz choć zbierałaś swe wzory w kurbanach,  
 Swój miód z opoki;  
 Na bałwochwalezych straciłaś kapłanach  
 Ufność w proroki!  
 Więc tyś nie pomna, że Chrystus kamienia  
 Nie miał pod głowę?  
 Że gorszą przyjął do służby zbawienia  
 Ludu połowę?

Non erravisti!

Pamiętaj, siostró, że tylko to ziarno,  
 Co w ziemi gnije,  
 Swój plon wydaje. Nie ginie na marno,  
 Kto śmiercią żyje!  
 Pelikan żyje, pelikan umiera;  
 Kto chce, niech szydzi.  
 Ofiary takie zgon codzien zacierają,  
 A nikt nie widzi.

Non erravisti.

Dzień czwarty Łazarz w grobowcu już leży,  
 Płótnem spętany.  
 Trup zije, Marto, lecz wierzaj, w co wierzy  
 Mistrz ukochany!  
 Gdzie szukasz światła? Tu eny Faryzeusz,

Ottosówna: Podlaskie „Hospody pomyśluj“.

Tam pogan szkoła;  
Lecz Piotr, choć zbłądził, lecz grzeszny Zacheusz,  
To rdzeń Kościoła.

Non erravisti!

Tron Izraela, Lewitów i Judy,  
Ten świat wybranych,  
Berło gliniane! Ach! spieszcie się, ludy  
Stron zapomnianych!  
O ty, przy studni, coś wody Mu dała,  
Samarytanko!  
Nadzieja w tobie, boś nagle zbielała,  
Jutra Kapłanko!  
O Ty, na drodze leczący przechodnia,  
Samarytanie!  
Do ręki Twojej przywarła pochodnia  
I zmartwychwstanie!  
Mileżący ludu! ty lwie zapoznany!  
Mój święty, wierny!  
Ja ufam Tobie, pokorny, wygnany,  
W pojęciach mierny,  
W uczynkach wielki, na wzgardę cierpliwy,  
Rodzie pastuszy!  
Kapłanów nie masz, lecz ciepły i żywy,  
Kościół twej duszy!

Non erravisti!

Ja widzę ciągle, jak stoją pod groźbą,  
Te święte „Chamy“,  
Złączeni znojem, tęsknotą i prośbą;  
My się kochamy!  
A jeśli kiedy rozdziela nas światy  
Już tu na ziemi,  
Łąk naszych smętne zostaną się kwiaty,  
Ze mną? czy z nimi?

Non erravisti!

Pamiętaj, siostrze, że Synem Dziewicy  
Bóg opuszczony!  
Znak odkupienia, to pal szubienicy,

Krzyżem przechrzczony.  
Dwunastu wiernych miał ludów Obrońca.  
W Ogroju spali.  
A jeden zdradził, i wszyscy do końca  
Z daleka stali!

Errare humanum est!

Dopiero długie Golgoty konanie  
Świat przekonało,  
I z krwi purpurą grzesznicy wołanie  
Dusze porwało.  
Niech cześć życzliwą Twa lutnia nam głosi,  
Bo my konamy!  
Lecz zgon zwycięstwem! on w koło roznosi  
Niebios odłamy!

Non erravisti!

Kobietko, wierzaj! i wierzyć usiłuj!  
W Za-Bużnej kniei  
Głos dziecka woła: „Hospody pomyśl!“  
Nie bez nadziei.  
Więc kiedy, wieszczko, zaprzeczasz nam chwałę,  
Podlaskim jeńcom,  
Gdy kłam zadają twe łzy skamieniałe  
Męczeńskim wieńcom,  
Wyznaj: „Erravi!“  
Goryczą, godną złocistej widowni  
Przeżytej tłuścieży,  
Nie nas obrzucaj, bo bluźnisz warowni  
Unickiej puszczy!  
My wszyscy wierni, wsie nasze pod groźbą,  
Groza bez plamy,  
I Krzyż i orła, gdy z nami wywiozą,  
Tam pochowamy!

Non erravisti!

.....  
.....  
Brzegi Angary, śnieżycy i piaski,  
Puszcz orenburskich przedwczesne mogiły

Świadczyć nam będą, że naród podlaski  
Serca miał w piersiach, a serca te były!...

Tu erravisti!

Teraz zblądziłaś! Nie wtedy, o! Pani,  
Gdyś w dusze nasze swą duszą wierzyła  
Iskierkę świętą, chleb życia z otchłani  
Ruś biedna wyrwie, gdy straszna wybiła  
Godzina wasza!

Polsko! Czy trzeba się było tak zminąć  
Z pochodnią Bożą i gardzić synami?  
Teraz, ojczyzno, gdy przyszło Ci ginąć,  
Jak przednia warta, stoimy tu sami,  
O Braci Lasza!

Lecz matko! siostró! nie schylaj ty czoła!  
Bo wiara Tatry na północ przeniesie.  
Będziemy jeszcze puklekrzem Kościoła,  
Zarzucim kordon za Litwy Polesie!

Non erravisti!

Wyście Rycerze, a my niemowlęta,  
Lecz dziś odwadze przoduje wytrwałość!  
Jasne księżniczki! Szanujcie dziewczęta,  
Co dzierżą śmiało i pacierz i stałość  
Pod batem kata!

.....  
Nie mówić o tem sybirskim włóczęgom!  
Nie zrzucac winy na modre kontusze!  
Lecz chwala zdartym w kajdanach siermięgom,  
A rzymsko-polską ja pierwszy mą duszę  
Zlałem z krwią Brata!

Non erravisti!

Na Podlasiu. 18 Grudnia 1888.

### Alleluja! resurrexit, sicut dixit.

Kwiatki podlaskie.

Wczoraj ogrodnik przyniósł mi kwiatki,  
Sztynne, przewilgłe i smutne!  
Przeżyły one lata ostatki  
I zimy mrozy okrutne!  
Jakim sposobem, biedne stokrótki,  
Pod śniegu chłodnym całunem  
Tak się przedłużył żywot wasz krótki?  
Kto wam tu był opiekunem?  
Wszakże pod słońca ciepłym całusem,  
Każda z porządku natury  
Byłaby zwiędła czasu przymusem  
Za tydzień jeden lub wtóry!  
A to, co śmiercią, śmiercią gwałtowną  
Miało was w niwecz obrócić,  
To was darzyło siłą ponowną,  
I ja mam szczęście was cucić!  
O moje kwiatki! Jesienne życie  
Wyście do wiosny skarbiły!  
Dzięki tym śniegom, które w rozkwicie  
Podlaski duch zaskoczyły!  
O moje smętne, moje niezmienne,  
Dziś już umierać możecie,  
Bo plemię wasze bujne, wiosenne,  
Szerzy się chyżo po świecie!

Na Podlasiu. Marzec 1888.

### Excelsior Podlaski.

Nie głośny, nie szumny, nie w słońcu kapany,  
Nie smutny, jak skarga, nie łzami skrapiany,

Nie wzniosły, nie butny, nie z „Góry zesłany“,  
Cichutki, słodziutki, z tej gleby zebrany

Excelsior!

Nie z prądów mej myśli, nie z pragnień mej duszy,  
Nie z tętna mej piersi, nie z jęku katuszy,  
Nie z rzewnej żalości, co struny pokruszy,  
Lecz skromny, codzienny, posłuszny, pastuszy,

Excelsior!

Nie z hardej, upartej, rycerskiej swawoli,  
Co rani, gdzie może, a goi, gdzie boli,  
Nie z potrzeb zawistnej gryzącej niewoli,  
Lecz wonny a czysty ja zbiorę z mej roli,

Excelsior!

Nadziei nie karmi ten boży opłatek,  
Nie z ognia miłości zrodzony to kwiatek,  
Lecz orał, zasiewał go duch naszych matek  
I Krzyż wiary świętej przez kilkaset latek

Excelsior!

To też jak powinność w stalowym kapturze,  
Jak sztandar Ojczyzny, utkwiony na górze,  
Jak świętość przysięgi, jak orzeł na chmurze,  
Jak Chrystus na krzyżu, silniejszy nad burze!

Excelsior!

Duch kornej przeszłości  
Duch jutra — męczeński,  
Chrześcijańskiej litości  
Duch ciepły, siostrzeński,  
Duch życia i śmierci,  
W ufności wytrwaniu,  
Rozdarty na ćwierci,  
Złączony w kochaniu,  
Nie wytchnie, nie spocznie,  
Nie złęknie się słońca,  
Nim dojrzy naocznie  
Ten cel swego końca;  
Excelsior!

O Szczepie ty bratni!  
I jam twoim sługą!  
Choć służę ostatni,  
Lecz wiernie i długo!  
Więc, chociaż za siebie  
Już śpiewam niechętnie,  
Roztoczę po niebie,  
Wesoło, nie smętnie

Excelsior!

A kiedy wybije  
Ostatnia godzina,  
Gdy zradna wypije  
Krew naszą gadzina,  
Gdy z wyżyn przybędzie  
Nam Gwiazdka poranna,  
Jak stado łabędzie  
Zanucim: „Hosannah!

Excelsior!“

.....  
Nie głośny, nie szumny, nie w słońcu kapany,  
Nie tęskny, jak skarga, nie łzami skrapiany,  
Nie wzniosły, nie butny, nie „z Góry zesłany“,  
Cichutki, słodziutki, z tej gleby zebrany:

Excelsior!

Na Podlasiu. 5 Kwietnia 1888.

## KOŃCOWE SŁOWO.

Nad etnologicznem, etnograficznem pochodzeniem ma-  
loruskiego szczepu czy narodu, nad jego mową czy narze-  
czem, łamią sobie uczeni ludzie głowy, a członkowie tej lub  
owej partyi gwałtownie się o to sprzecają.

Wiedza moja mniej opartą jest na księgach i doku-  
mentach (w Rosyi zbyt zresztą stroniczych i niedokładnych,  
aby na nich polegać!), niż na doświadczałnej obserwacyi i na  
głębokiem instynktownem wsluchaniu się w źródłowe objawy  
przyrodzonego i nadprzyrodzonego życia. A czuję tak do-  
brze, jak się rzeczy pierwotnie działy, jak się dzisiaj mają,  
i skąd pochodzą, że zdaje mi się, iż mówić mogę i po-  
winnam.

Czem właściwie są narody i szczepy? Czem mowy i na-  
rzecza? Czem pisownia i wymowa, która dziś tak samowol-  
nie dla dogodności ogółu, tak lekkomyślnie <sup>1)</sup> wszędzie prze-  
rabianą bywa?!

<sup>1)</sup> W tym dziwnym objawie nieposzanowania źródłowych  
przyczyn wszystkiego, co jest i było, upatruję cechę bez-  
względego oportunizmu naszych czasów i zaniku in-  
stynktownego odczucia zasadniczych praw. Ja bowiem  
n. p. od dzieciństwa posiadałam pewną łatwość do orto-  
grafii właściwej każdemu językowi, jak angielskiemu, fran-  
cuskiemu i t. p. A gdy pytałam siebie, dlaczego czuję,  
że tak a nie inaczej pisać potrzeba, choć reguła tej pi-  
sowni była mi nieznaną, znajdowałam zawsze odpowiedź  
w etymologii słów i w dźwięku eufonicznym, jaki z niej  
dla mego ucha wynikał. Opportunistyczna zmiana piso-  
wni we wszystkich językach dzisiejszych zaprowadzona,

Bóg jeden — ludzkość jedna. W niej odmiany i właściwości poszanowania godne, z różnych klimatów i okoliczności życiowych wynikające, łagodzące się i mitygujące lub potęgujące, o ile ościenne grupy ludzi kojarzą się między sobą, zacierając przez selekcję lub zespolenie ras niektóre wady czy zalety. Wszędzie na kuli ziemskiej tak było; w bezdusznej nawet przyrodzie dziwne widzimy assymilacje, z pożywienia niektórych gatunków wynikające, a którym nikt kłamu zadać nie może. Motyl wieczorny, tak zwany „sfinx różowego kwitnącego lauru“, ma górne skrzydła barwy i kształtu laurowego liścia, dolne zaś skrzydła barwy i kształtu laurowego kwiatu. Każdy się o tem przekonać może, jeżeli nawet się nie uczył o tem (tak samo „sfinks topolowy i inne). Nie inaczej z białem futrem zwierząt podbiegunowych, nie inaczej z wpływem okoliczności materyalnych na usposobienie i ustrój, tak zwierząt, jak ludzi. Tyle tylko różnicy, że u ludzi sumienie, łaska i wola, moc wyższą mają nad wrodzone skłonności i decydują o moralnych losach człowieka. Lecz w porządku przyrodzonym dziedzictwo i selekcya, skłonności trwają.

żargony przyjmowane za legalną mowę, esperanto i t. p., dowodem są zerwania dzisiejszego pokolenia z harmonią i źródłowym pochodzeniem wszechdźwięku, łączącego myśli jednostek i narodów między sobą. Kwestya sama z siebie błahą się zdaje, a jednak jako symptomat ztracenia nici przewodniej między obecną cywilizacją a opatrnościowemi podstawami bytu, rozwoju, początku i celów wszechrzeczy, staje się rzeczą bardzo ważną; gdyż tak samo, jak stanowczo błędzą ci, którzy w ten sposób podkopują fundament mowy ludzkiej, tak błędzą nowe pokolenia prawdopodobnie we wszystkich swoich wnioskach społecznych i innych, ztraciwszy łącznik i pojęcie o charakterze źródeł, z których czerpać trzeba dla słusznego wnioskowania, czem ma być ludzkość, skąd wszystko pochodzi i do czego dąży. To zerwanie z rzeczową prawdą pierwiastkową porównać można do działania lekarza, zaprzeczającego całemu istotnemu ustrojowi organizmu ludzkiego i fałszywo wnioskującego o sposobie leczenia chorób, którychby zapoznał początków, i organizmu, które-goby zapoznał życiowych podstaw.

Tatar i Mongoł wędrowni, poganin lub wyznawca Mahometa, w ustawicznej walce z przyrodą, końskim mięsem i mlekiem żywiony, przybrał z czasem naturę dziką i okrutną, a w połączeniu wypadkowym z ościenną słowiańską rasą, spokojnie osiadł i chlebem żywiona, wytworzył kresową ludność, niespokojną i hajdamacką.

Słowianin stepowy, bardziej zbliżony do zachodniej, sarmackiej, chrześcijańskiej i kulturalnej ludności, złagodził w sobie cechy pustynnego człowieka, zachowując tylko melancholię i muzykalność, a sporadycznie napady dziwnej wesołości, właściwość ludzi w osamotnieniu i w stosunku bezpośrednim z naturą żyjących.

Tym sposobem powstały rozmaite odcienia Małorusinów. Ci zaś, czy polskością czy mongolstwem przekształceni, czy pierwotnemu własnemu typowi wierni, najmniejszego nie mają w sobie podobieństwa z istotnymi Rosyanami, Moskalami. Rzetelne studyum anatomiczne dosadnie to udowodni<sup>1)</sup>.

Rusini, zbliżeni do szczeptów tatarskich, zachowali, w swej mowie i obyczajach pewną szorstkość i bitność, zapalczywość i zmienność, wynikającą z okoliczności życiowych. Wiele naturalnie używani byli bądź przez kulturalną Polskę do bronienia kresów od napadów pohańskich, bądź przez tychże pohańców do pomocy przeciw „Lachom“. Że zaś przytem różne bywały wypadki przechylania się ze strony Kozaków raz do kultury zachodniej, drugi raz do szerokiego, swobodnego

<sup>1)</sup> Rosya, jako państwo, dążyła zawsze do jednolitości, lecz składa się z całej mozaiki najsprzeczniejszych sobie szczeptów i narodów, począwszy od rodziny panującej i wysokiego czynownictwa przeważnie Niemców, a kończąc (po całej skali Finnów, Estów, Wendów, Lotyszów) na Małorusinach, Tatarach i Gruzinach. Ale jedynie rdzennem plemieniem rosyjskiem są Moskowici, czyli Moskale. Jeżeli głową państwa jest Petersburg, sercem niewątpliwie jest Moskwa. Wyraz »Moskal« nie jest obelgą, tak samo jak nią nie jest wyraz »Paryżanin«. Jasnowłosość, szerokiej budowy ciała, pelen oryginalnych pierwiastkowych zdolności, Moskal (typu Tołstoja) jest przeciwnie pięknym okazem człowieczeństwa, raczej skażonym, niż



azyatyckiego życia, do mowy rosyjskiej lub polskiej, w miarę jak się czuli przyciągani lub upokarzani przez jednych, pociągani lub mordowani przez drugich — to też naturalne. A zależało to od niezliczonych wypadków, tak prawie licznych i różnorodnych, ile jednostek wchodziło w grę, bardziej podatnych do tych lub owych wpływów i pokus, zasługując na uznanie lub pogardę Lachów, na sympatyę lub nienawiść Mongołów; stąd w następstwie interes, próżność lub uczucie zniewalały ich do łączenia się z jednymi, a do zdradzania drugich. Ale stąd też naturalny wynik, że ani jedni, ani drudzy nie powierzali im naczelnych rang, ani praw i przywilejów niezmiennych.

U zachodnich zaś Rusinów ta sama złożona mowa i obyczaj, więcej czerpały i wchłaniały w siebie żywiołu polskiego. Że zaś Ruś była słabszą i mniej kulturalną, więc silniejszemu narodowi poddana, odznaczała się słodyczą, prawie kobiecą delikatnością i mistyczną poezją, jak na Podlasiu, ale też pewnym oporem, skrytością z nieśmiałości płynącą i ospałością przy pracy, cechy pokoleń marzycielskich, posłusznych, nie wojowniczych, pastuszych, pierwiastkowo nawet nie rolniczych, do roli prawie z musu przykutych.

Unia religijna charakterystycznym wyrazem tej dwoistości: wiara rzymsko-katolicka, a rytuał wschodni. Ale wolno zapytać, gdzie na świecie niema narodu, powstałego z dwóch, a nawet więcej pierwiastkowych szczepów?

uszlachetnionym naleciałościami z północy i z południa. Ale — stałym objawem niesprawiedliwego oportunizmu jest fakt, że narody podbite dążą, choćby ze szkodą dla rasy, do separatyzmu, a narody zaborecze do asymilacji, wchłaniając chętnie choćby ujemne żywioły, byle tem samym lepiej swe panowanie nad nimi utrwalić i usprawiedliwić. Rusini nasi podlascy są przeważnie kości drobnej, mają głowy owalne, twarze ściągłe, oporność na jednym punkcie, nie zaś rosyjską wszechstronną odporność. Więcej pojętni są oni, niż pomysłowi. Śpiew zastępuje im literaturę. Celują bardziej w wykonaniu, niż w kompozycji, bardzo wybitnej przeciwnie u Wielko-Rosyan, czyli t. zw. »Moskali«.

Gdzie mowa nie złożona z dwóch lub więcej pierwotnych sposobów wyrażania myśli? Gdzie nie utworzyły się kasty z grup rodzin rycerskich, broniących od niebezpieczeństw wszelkich, grupy rodzin eichszych, lękliwszych i pracowitszych, w zamian za ich opiekę uprawiających karmicielkę wspólną — ziemię? I gdzie natura, kultura, religia potrafiły skutecznie ukrocić z biegiem czasów rosnącą przewagę samowoli i nadużycia tych silniejszych, bardziej wymagających i siłą oręża panujących nad dzierżawcami ziemi, którym lemieśz lepiej odpowiadał niż oręż?

Niektóre rasy, niektóre rody i narody, silniej zasklepiły się w sobie i wytworzyły potężne państwa, potężną arystokrację. Między arystokracją a ludem roboczym wyrosły pośrednie mieszczaństwa, między narodami a państwami drobniejsze państwka i szczepy, a tylko tyle między nimi różnicy, że jedni mieli dar i zdolność do skupiania swych właściwych cech i sił pojemnych w całość polityczną i społeczną w wyższym stopniu, drudzy w niższym stopniu, inni wcale nie. Jedni w dalekiej przeszłości (jak Chińczycy i Indowie) mieli, a później stracili tę zdolność, drudzy później, inni teraz dopiero — ale wszyscy i wszystko się przemienia i faluje jak morze. Na cóż więc przemocą i rewolucją lub reakcją zwierzęcą się spierać, zamiast ewolucją łagodną a roztropną do spełnienia swego przeznaczenia się kierować?

Młodzież wiecznie sądzi, że coś nowego zdobyła, że Amerykę nieustannie odkrywa! Ależ, Panowie, toż wy jeno praktycznym zastosowaniem stopniowych doświadczeń poprzedników waszych wojujecie! A rdzeń duchowa i intelektualna ludzkości zdolną i pojętną zarówno była przed wiekami, jak teraz! Który z was ośmieli się powiedzieć, że Sokrates i Platon nie mieli umysłów zdolnych do pojęcia wszystkiego, co pojmujecie wy? Który z was, dobrodziejów ludzkości, ośmieli się powiedzieć, że jakakolwiek dusza, w jakiejkolwiek epoce na tej ziemi żyjąca, fakultatywnie zdolną nie była w godzinie śmierci do odgadnięcia wszelkiej doskonałości, wymagalnej od innej duszy, przystępnej innemu sumieniu?

Dusza człowieka, Boskie zwierciadło Stwórcy, wyższą jest nad wszelki rozum i nad wszelki dorobek cywilizacji. Dusza ludzka, w świetle wiekami jej objawionej prawdy, wyższą jest nad wszystkie zuchwale i sztuczne twory rozumu współczesnego i nad czysto materialny dobytek dzisiejszej cywilizacji.

Dawniej, przez całe 1700 lat po narodzeniu Chrystusa Pana, patriotyzm polegał na państwowości, na wierności monarchom, wodzom, cesarstwom lub jakiej Rzeczypospolitej, bez względu na szczepy, z których się te państwa składały, ani na pochodzenie rządzących nimi książąt.

Duma też wtedy więcej rodową, niż indywidualną była. Grecya, niektóre miasta włoskie, Szwajcaryja i Polska, stanowiły wyjątki historyczne.

Ale te z okoliczności ówczesnych wyrosłe poglądy i pojęcia praktyczne, nie stanowiły nigdy ani niższości, ani niezdolności do pojmowania inaczej. Ze doświadczenia wieków do innych nas doprowadziły konkluzji, to nie wirtualnej wyższości umysłów obecnych je zawdzięczamy.

Z Rewolucją francuską dopiero wzięło swój początek poczucie rdzennie narodowe i separatystyczne, oraz duma i odporność osobników wśród najrozmaitszych kast. Sparta-cusy i Wilhelmy Telle byli w historii rzadkimi, niemal fenomenalnymi zjawiskami.

Oczywiście, pojęcia te nowe, tak samo jak pojęcia dawne, mają swą względną, szacunku godną wartość. Ale ludzi się nie wolno. To wszystko jest przejściowem. Przyszłość do ogólnoludzkiej miłości należy. A niech mówi kto chce, co chce — miłość ta nie może być inną, niż starą, bo Chrystusową — inaczej nie byłaby ani miłością, ani sprawiedliwością.

Przemija już powoli skrajność w pojęciu nietykalnej do tej pory, wszechmocnej państwowości, czerpiącej swą chwałę i honor w upokarzaniu i osłabianiu ościennych państw. I duma rodowa powoli ustępować musi godności rodowej.

Pojęcie również ekskluzywności narodowej z czasem ustąpić musi bardziej miłosiernemu i chrześcijańskiemu

uczuciu solidarności ludzkiej, uwzględniającej godność prawa i właściwości słabszych i mniejszych narodów, bez naszego pogańskiego lub faryzeuszowskiego przesądu wykluczającym dobrodziejstwo kojarzenia się (przez małżeństwo przyjaźni i ekonomiczno-społeczne stosunki) ras i narodowości między sobą.

Jedynie wielka bezstronność, dobra wola i wzajemna dobroćliwość mogą do tego skutecznie doprowadzić. Tą tylko drogą z czasem przy łasce Bożej i rzetelnie przyjętem świetle z góry, w duchu pokoju, nie gwałtu, powoli można dojść do wykorzenienia wad dziedzicznych w rasach i narodach i do spotęgowania w jednostkach i pokoleniach zalet, właściwych różnym rasom i narodom, a stanowiących skarb moralny ludzkości.

Złośliwa przewaga jednego narodu nad drugim, jednej klasy nad drugą, czy to przewaga mędrzej i bitniejszej mniejszości, czy brutalniejszej i materialnie pracowitszej większości, każda niechrześcijańska, nieofiarna, nierzetelnie miłościwa przewaga, to nieszczęście, rodzące nowe nieszczęścia na przyszłość, to szkoła złości i nadużycia.

Nie łudźmy się! Hodowane na żądzy zemsty i krwawego odwetu ofiary wczorajszej doby, nie potrafią utrzymać w upojeniu powodzenia i przewagi dzisiejszej doby — ideałów swych: braterstwa, wolności i równości na dobę jutrzejszą. Gorszymi będą tyranami robotnicy-miliarderzy bez wiary ani miłości, niż byli nimi „panowie“, krępowani bądź co bądź zawsze wymaganiami religijnego sumienia i rycerską etyką honoru.

Parlamentaryzm już po części zawiódł. Oszukaństwo i wyzysk bliźniego panuje do najwyższego stopnia w obecnej francuskiej demokratycznej Rzeczypospolitej. I któż nas zabezpieczy od „nepotyzmu“ rzekomo idealnych rządów przyszłości?

Gorszymi będą dla braci innego plemienia hajdamacy-parweniusze lub rządy Łotyszów-bandytów, niż były kiedyś ustroje państwowe, zaprowadzone w Polsce, Francyi, Brytanii. Najtwardsza dla nędzarzy, pomimo prawnej równości

i otwartego zarówno dla wszystkich pola do rozwoju, jest pseudo-demokratyczna plutokracja amerykańska.

Wszędzie i zawsze bardzo drogo i bardzo twardo sprzedawał człowiek człowiekowi swą opiekę, swą naukę, swą pracę. Wzysk wzajemny i nieufność wzajemna — to przekleństwo i rozkładnik chroniczny ludzkości. Wszystkie fanatyzmy, wszystka pycha, wszelka skrajność, są zgubniami.

Niechże sobie raz człowiek rozsądny i poczciwy powie, że każde zwycięstwo, szkodliwe choćby dla jednej słabej jednostki lub grupy jednostek, jest Pyrrhusowem zwycięstwem, gdyż siebie krzywdzi każdy zwycięski członek ludzkości w bólu i szkodzie, jaką ponosi ludzkość cała w osobie każdego ze swoich pokrzywdzonych!

Do dobroci, do kredytu moralnego, rzetelnie otwartego wszystkim przez wszystkich, nawoływać trzeba bezustannie.

Spółczesność współczesna anti-chrystusową krucyatę prowadzi, a jednak dlatego tylko do dziś dnia, po 2000 latach, nie doszliśmy do błogosławionej równowagi między narodami a narodami, kastami a kastami, rodami a rodami, jednostką a jednostką — żeśmy nigdy całkowicie, całopalnie, szczerze, ofiarnie nie zastosowali ewangelijnego moralu i nauki Chrystusowej do życia. Nie spełnialiście nigdy w pełni prawa Jego, a skarżycie się, że On do szczęścia waszego nie wystarcza. Spróbujcie a zobaczycie!

O gdybyście wiedzieli, ekonomiści i socjologowie, narodowej separatyści i samoluby indywidualiści, ilebyście bogactwa i szczęścia przysporzyli drugim, a przede wszystkim sobie, gdybyście kochali bliźniego jak siebie samego, gdyby jego ból was bolał, gdyby was dławił chleb, póki ktokolwiek łaknie, gdyby was wstydziły zwycięstwa i odznaczenia upokarzające innych, gdyby grzech cudzy rumieniec wstydu i własnej odpowiedzialności na czole waszem wywoływał — gdyby życie społeczne, narodowe i rodzinne stało się *un combat de générosité* (konkursem wzajemnej ofiarności), gdyby łączne siły ludzkości skupiły się nie dla zabezpieczenia się jedni od drugich, ale dla zmuszania gleby do zdwojenia swej

produkcji, gdyby wojska, zamiast zwalczać się wzajemnie, walczyły z wrogą i skąpą przyrodą, nawadniały, irygowały stepy sybirskie, użyźniały Sahary, kanalizowały rzeki, kierowały Golf-Streamem dla rozgrzania tundrów borealnych, gdyby klęskom żywiołowym zapobiegały, odgradzały wulkaniczne ziemie od nurtującego, filtrującego, powodującego wzbuchy i trzęsienia ziemi, morza!

Gdybyście wiedzieli i poznali raz, co to znaczy, zamiast mieć jedno własne serce, jedną własną troskliwość dla myślenia o sobie, mieć w zamian za dar własnego serca i troskliwości o drugich — miliony serc dobrych za sobą i dla siebie!

Cóż za cudowny przyrost serca i dobra upiększyłby nam świat i życie?!

Dlaczego nie? Czy to niemożliwe? Czy ludzkość na tyle obrazu i podobieństwa Bożego w sobie nie mieści?!

Czy to ciepło, czy to szczęście nie warte wysiłku i próby?

O gdybyście wiedzieli każdy, każdy z klęskowych samolubów, ciężających na piersi świata, jaka niewypowiedziana rozkosz się mieści w tem dla wielu niezrozumiałem słowie: „Świętych Obcowanie!“

Przedsmak znaczenia tego wielkiego słowa zakosztowała ongi na Podlasiu!

Gdyby tak być mogło! Gdyby tak się stało? Gdybyśmy choć trochę ku temu dążyli — a nie odwrotnie ku bratobójczej, ku samobójczej walce i zagładzie!

Porządek wszechświatowy, ruch konstellacyj w dłoni Wszechmocnego i Wszechwiedzącego, niezmiennym jest. Następstwa tego harmonijnego ruchu: pory roku, przemiany dnia i nocy, wpływy klimatów, ciągle powodują znikome poczęcie, rozwój i zanik kwiatów, zbóż i owoców, zwierząt i ludzi, mających swój okres życiowy w odmiennym stopniu i trwałości.

Tak samo dzieje się z państwami, pojęciami praktycznymi, z cywilizacją: rodzą się, dobiegają do pełni swego rozwoju, słabną i umierają.

Jedno tylko zasadnicze prawo moralne dobra i miłości w porządku Bożym jest niezmiennie. Wszystko, co ziemskie, mija. A jedynie, trzymając się szczerze, pokornie i wytrwale, z duszą uważnie i pobożnie zwróconą ku zamiarom i drogom Opatrzności, spodziewać się można utrwalenia swojego bytu mocą nadprzyrodzoną nad przyrodzonymi prawami.

Szczęście człowieka i szczęście społeczeństwa o tyle tylko posiadają rękojmię trwałości, o ile wiernie i łagodnie łączą się z myślą Nieśmiertelnego i Nieskończonego i trwałość swoją z Jego trwałości biorą. Wszelkie inne zarozumiałe wysiłki daremne są i przyspieszają tylko bolesny swój rozkład i upadek. Gdyż bez Boga każdy człowiek samolubem będzie, a maluczki dzisiejszy stanie się tyranem jutra, którego znów zgładzać wypadnie.

Podlaską epopeę, tak cudownie zwycięstwem tych słabych ukończoną, drogowskazem, znakiem zbawienia, gwiazdą przewodnią na Niebie, Bóg miłosierny nam postawił, nam hardym, nam zbłąkanym, nam zwaśnionym, starszym braciom! Za nią więc, za nią, za tą gwiazdą... do celu!!!



## SPIS RZECZY.

|                                  | Str. |
|----------------------------------|------|
| Przedmowa . . . . .              | 3    |
| Rozdział I . . . . .             | 9    |
| Rozdział II . . . . .            | 15   |
| Rozdział III . . . . .           | 24   |
| Rozdział IV — rok 1874 . . . . . | 34   |
| „ „ „ 1875 . . . . .             | 35   |
| „ „ „ 1876 . . . . .             | 39   |
| „ „ „ 1877 . . . . .             | 43   |
| „ „ „ 1878 . . . . .             | 45   |
| „ „ „ 1879 . . . . .             | 48   |
| „ „ „ 1880 . . . . .             | 49   |
| „ „ „ 1881 . . . . .             | 53   |
| „ „ „ 1882 . . . . .             | 64   |
| „ „ „ 1883 . . . . .             | 67   |
| „ „ „ 1884 . . . . .             | 70   |
| „ „ „ 1885 . . . . .             | 71   |
| „ „ „ 1886 . . . . .             | 74   |
| „ „ „ 1887 . . . . .             | 76   |
| „ „ „ 1888 . . . . .             | 84   |
| „ „ „ 1889 . . . . .             | 91   |
| „ „ „ 1890 . . . . .             | 95   |
| „ „ „ 1891 . . . . .             | 99   |
| „ „ „ 1894 — 1895 . . . . .      | 100  |
| „ „ „ 1896 — 1897 . . . . .      | 100  |
| „ „ „ 1898 . . . . .             | 101  |
| „ „ „ 1900 . . . . .             | 102  |
| „ „ „ 1904 . . . . .             | 103  |
| List Wasyla Lewczuka . . . . .   | 104  |
| Epilog . . . . .                 | 107  |

## LUDOWY ŚPIEWNICZEK

przez włościan podlaskich w czasie 33-letniego prześladowania  
Unii pod zaborem rosyjskim używany.

|  | Str. |
|--|------|
| Przedmowa . . . . .  | 119  |
| Dumka . . . . .  | 125  |
| Marsz . . . . .  | 126  |
| Pieśniarze nasi . . . . .  | 129  |
| Unicka pieśń majowa . . . . .  | 130  |
| Do Matki Boskiej Kodeńskiej . . . . .  | 132  |
| Bolesna piosnka unickiego lirnika Rusina do Rosyan<br>i do niegodnych Unitów . . . . . | 133  |
| Wstęp do zaczętego poematu Niedoli . . . . .   | 134  |
| Jozafat Spuś . . . . .   | 135  |
| Kaplica zamknięta . . . . .  | 140  |
| Słowiki . . . . .  | 141  |
| Powołanie . . . . .  | 142  |
| Michaś . . . . .   | 143  |
| Non erravisti . . . . .  | 145  |
| Alleluja! resurrexit, sicut dixit. Kwiatki podlaskie . . . . .                         | 149  |
| Excelsior Podlaski . . . . .   | 149  |
| Końcowe słowo . . . . .  | 153  |